

Józef Weyssenhoff

Gromada

POWIEŚĆ



Józef Weyssenhoff

Gromada

POWIEŚĆ

Armoryka
Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce obraz wygenerowany przez fotor-ai

Tekst wg edycji z roku 1925.
Zachowano oryginalną pisownię.

© Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo Armoryka
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-100-6

I.

Nie była to ani wieśniacza chałupa pomnożonego rozmiaru, ani siedziba właściciela znacznej przestrzeni ziemi w stylu zachodnio-europejskim. Był dwór polski. Jak porost, któremu by przyroda skąpo odmierzyła kres wybijania ku niebu, lecz nie kładła granic krzewieniu się na wszystkie strony po ziemi, domostwo rozpełzło się kilkunastu izbami w linie łamane ścian i dachów, spojone wszelako przez ideę wygodnego dworzyszczu. W dach rozłożysty wbudowano pośrodku niby mniejszy domek, kolumnowy od podjazdu i gnieźdzący w sobie piętrowe salki na dwa fronty; gdzieś z boku wyrosło też nieśmiałe, gościnne piętorko — naogół jednak dwór, gdy go się oglądało zdaleka, miał pozór pokrywy jakiegoś ogromnego naczynia, ukrytego pod ziemią.

Tak sobie ten kojec mieszkalny ulepiły stopniowo liczne pokolenia Bronieckich, dziedziców Sławoszewa z atynencjami; tak go zachował i rozparł jeszcze sobą pan Józef Broniecki, mąż krzepki, wdowiec zaledwie czterdziestokilkoletni, który mieszka tu z dorosłą już córką, Mańką. Bronieccy pieczętują się zdawna herbem Przyjaciół, przedstawiającym, jak wiadomo, serce na talerzu. I nigdy to godło uprzejme nie było noszone właściwiej, jak przez obecnego, ósmego pono z rzędu dziedzica Sławoszewa. Serce, gotowe do usług, było powodem, że pan Józef nie żenił się powtórnie, choć pragnąłby może męskiego potomka; tak się bowiem zdarzało, że serce wdowca brała w niewolę coraz to inna kobieta, niestosowna na żonę: to zbyt młoda, to wietrznica, to znowu mężatka. Nie chciał też pan Józef dawać macochy ukochanej córce, jedynaczce, I tak się żyło szeroko, pożytecznie i wesoło; żyło się sercem, zużywaniem dla siebie i dla bliźnich, a przecie tego klejnotu jakoś nie ubywało.

Przypatrzeć się tylko Bronieckiemu, gdy stoi, o wschodzie słońca, w pobliżu dworu, na skrzyżowaniu dróg „pałacowej“ i folwarcznej, opromieniony radością lipcowego poranka na jasnej alpadze ubrania, na twarzy czerstwej, szerokiej, w miarę wąsatej, tryskającej energią z uśmiechniętych oczu 1 wydatnego podbródka.

— Hej, byki! — woła na fernali, prowadzących konie do wodopoju w rzeczce — mówiłem: pompować wodę w koryta, a nie rozmamływać mi burty końskimi i waszemi kopytami!

Bez urazy, owszem, ze skwapliwymi uśmiechami cofnęli fornale konie od brzegu rzeczki i jeśli pompować wodę w koryta, praktycznie ustawione do pojenia.

Na dzwoniący przez podwórze potężny głos dziedzica wytrysnął ze swego domu rządcą, chudy młodzieniec, ubrany do konia z austrjacka po angielsku, elegant, nieco stropiony, ocierając chustką usta po kawie.

— Panie Wierzbowski — przywitał go Bromecki, podając mu dwa palce z dłoni, dzierzążcej laskę, jakby chciał mu dać poczuć razem fawor swój i berło — lepiej zawsze być na nogach, zanim słoneczko wygramoli się ze swych puchów — o! Jak już wylezie, a nie zobaczy pana w tych angielskich majtadałach, gotowo się zasmucić — a potrzebne nam bardzo na chyże podebranie tych kiosków — o!

Ponieważ młody rządcą przyjął reprimandę z godnością, lecz bez buntu, mówił pan Broniecki dalej już bez ironji:

— Weźmiesz mi, panie Karolu, dwa gąsiory gohy od panienki dla żniwaków, ale nie dawać im, dopiero wieczorem, jeżeli dozną do macicznego rowu. Na południe ani kapki! — niech się chłopyszki zwijają i oblizują na wieczór, Tylko wodę świeżą do picia trzymać ciągle w beczkach przy żniwie, bo termometr gotów znowu dzisiaj wybryknąć na trzydzieści w cieniu.

Skłonił się posłusznie Wierzbowski, poczem ze swej strony przedstawił kwestję dzienną do rozstrzygnięcia:

— Męczy mnie, panie dziedzicu, Barbara Zimna, parobczycha, że jej podczas ostatniej ulewy krupy w komorze zawilgły z powodu dachu, który zaciekał na tamtej stronie ośmioraka.

— Dach przecie poprawiony?

— Ale krupy tymczasem spleśniały, panie dziedzicu.

Broniecki zamyślił się na chwilę, pochylił i laską na kurzu ziemnym kreślił jakieś znaki. Poczem krótki wydał wyrok:

— Wstrzykniemy jej tróję.

A gdy młody rządcą, niedawno praktykujący w Sławoszewie, trochę się rozdziawił.

— Cóż to? — parsknął Broniecki — nie rozumiesz pan po polsku? — wyasygnujemy jej trzy ruble odszkodowania — co tu długo gadać?

— Ach, tak...

Tymczasem osiodłano konia dla pana rządcy, który go dosiadł pośpiesznie i, nie trafiwszy w prawe strzemię, oddalił się krzywym targanym cwałem. Pył za nim wstawał po drodze wydłużonym obłokiem, fioletowym od porannych promieni, i leżał leniwie w bezwietrznym spokoju, aż powoli zaczął przeciągać na prawo, na tłusty łąn zielonego jeszcze jęczmienia, i rozwłóczać się nad nim coraz rzadszą mgławicą.

— Jeździ niebożę, jak małpa na pudlu — mruknął Broniecki — to i szkapę dopasowałem rarytną do kawalera: Cygany ją dwa razy kradły i porzuciły, jako

dla siebie niezdatną. Ale chłop nie najgorszy...

Mówił tymczasem sam do siebie, gdyż na okólniku przeciągały tylko stworzenia bezmowne, niemniej jednak zajmujące, jak oto krowy, kroczące falistemi przegubami ciał prawie jednobarwnych, popielatych — sto głów dostojnych, wydłużonych w pyski antylopiego wdzięku, z pięknymi oczyma, przymrużonemi arystokratycznie. Zarodowa obora w Sławoszewie była jedną z chlub Bronieckiego — to też głaskał spojrzeniem lśniącej skóry swych ulubienic, obejmował okiem ogromne ich, mlekodajne wymiona — aż minęły wszystkie w nieposzlakowanej paradzie i starszy pastuch, zaganiający stado, przypadł do ręki dziedzicowej. Ubrany był dziwacznie, na głowie w lisiej czapie, której nigdy nie porzucał, nawet w najcieplejsze upały, podrygujący i krotofilny, pomieszany trochę na umyśle, ale taki majster do krów, tak szczęśliwy do przychówku, że go nikt nie myślał oddalić od stada, którego zresztą doglądał wybornie.

— Jakże, Kobuzek, będzie pociecha z wczorajszego cielaka od Cybeli?

— Proszę jaśnie dziedzica, Cybula jeszcze mi nic nie mówiła.

— A powie ci, myślisz?

— Kuzda mi mówi.

— I jakże to, naprzykład?

— Kiedy myczy: mu-mu-mój — cielak będzie dobry na chów, A kiedy stęka, kiej Świnia, i ogonem odgania — cielak dobry tylko dla Żyda, abo na stół pański.

— Dobrze, Kobuzek; jak ci krowa powie, co będzie z tego cielęcia, to i ty mnie powiesz.

— A juści, kiej powie — — heta! heta, bydlaki! — zawołał na krowy, miarkując, że niektóre zboczyły na lewo, ku rzeczce, i namyślały się, czy ulec pokusie chlipnięcia połyskującej wody. — I poleciał za swym codziennym towarzystwem.

Dzień się rozgwarzał coraz głośniej. Z gęgań, kwakań i piał cała kapela buchała od strony małego ptasiego okólnika; konie, pozostawione w stajni, dawały znać oburzonem rżeniem, że im także należy się wolność pohasania przez ziemię rozkwitłą, pod niebem szafirowem. Turkoty wozów, rozgłosne zrazu na brukach podjazdowych i na mostach przy domu, ucichały potem na drodze miękkiej, ale trwały w powietrzu drżeniem tak lekkim, że je rój pszczoł, osiadający lipy, zagłuszał. I wilgi, zwiastunki upału, już wzięły prym w ogrodzie, pomimo hecy najrozmaitszego ptactwa, od maleńkich szaraczków, szczebioczących gminnie, aż do lirycznych, rozgruchanych pod niebem turkawek. Zdaleka, gdzieś od rozkoszy pastwisk, dolatywał czasem groźnie spazmatyczny ryk buhaja, albo pisk jakiś samiczy — może piosenka dziewczyny.

Zasłuchał się Broniecki w całej tej, tak dobrze znajomej muzyce i poił się nią, jak czemś swoim, a nawet niby własnym utworem. Jużci, gdyby nie on, chlebowadca tylu ludzi, hodowca tylu zwierząt, rolnik sławny i ogrodnik, nie byłoby tak pełno, tak wonnie, tak szczęśliwie w Sławoszewie, choćby nawet lipiec wystąpił ze swym dniem najpiękniejszym. Triumfalnie więc spozierał na słońce, współgospodarza, chwalać dzieła jego, ale i sam oddając sobie sprawiedliwość.

Dobry to właściwie los gospodarza na dużym, własnym kawale ziemi, może najlepszy z losów. Masz w nim zadowolenia władzy, użyteczności publicznej i własnego pożytku. Nad setkami istot panujesz prawie bez konstytucji i możesz je łatwo uczynić szczęśliwymi; możesz sadzić sobie laury obok złotodajnych buraków. Wolno ci zmuszać twą ziemię do wydawania tego, co każesz, czy zechcesz mieć wielki plon zboża, czy dla oka najmielsze widoki. Wolno ci urządzić sobie ze swego kraiku pustelnię, albo zaludnić go setkami ludzi szczęśliwszych. Wszystko ci wolno...

— O, psia! — ten nowy cyrkularz o szkołach ludowych! — potknął się Broniecki dotkliwie o kamień graniczny swej wielmożności.

Zepsuło mu to rozkosz porannego obejścia gospodarstwa i przyśpieszyło powrót do domu. Ale tu, zaraz od progu, powrócił humor panu Józefowi żywiołowo, bez kompensaty jakichś wyjątkowo pomyślnych zdarzeń, poprostu dlatego, że zdrowie fizyczne i moralne było stanem jego codziennym.

Stwierdził raz jeszcze z głębokim zadowoleniem, że dom był wygodny i wesoły. Nawet plastry z trucizną na muchy, świeżo przywiezione z Łowicza, działały wybornie: much pozostało tylko tyle w pokojach, ile było potrzeba dla przyjemnego pobrzęku w razie zupełnego braku towarzystwa. Na ścianie przedpokoju, nad zegarem pradziadowskim, który chodził, jak słońce, roztaczał sążniowe skrzydła wypchany orzeł. Takiego orła nikt w Polsce nie zabił, oprócz pana Józefa Bronieckiego. W jadalni jasne meble jesionowe z ozdobami rzeźbionymi z czarnej gruszy były dużo weselsze, niż ten ponury styl gdański, za gęsto już spotykany. I cały pokój pachnął kawą — nie bylejaką spalenizną, lecz cudowną mieszaniną ziarn Mokki, Cejlonu i Jawy z małą domieszką kawy ligowej.

Jakoż pan Broniecki zasiadł nie zwlekając do stołu, nachylił kolejno do filiżanki dziobki naczyń, sączących płyny, szyldkretowy i biały, ocukrzył, pociągnął z rozkoszą. Ze srebrnego koszyka wziął jedno z ciastek brunatno-złocistych, posypanych solą i makiem, jakichś nowych w zawiązaniu wężła, i skosztowawszy, zawołał:

— Rany Boskie! co za obwarzanki!

Chrupał i chlipał zajadłe, aż pełnemi ustami musiał odpowiedzieć Mańce,

która wpadła do jadalni. Powitanie, pocałowanie ojca w ramię, wręczenie mu zamkniętej depeszy — odbyło się, zanim przełknął.

— Dzień dobry, Mań... co to?

— Depesza.

— Niam, niam... — przełknął i odetchnął. — Zobaczymy.

Podczas gdy otwierał, Mańka z za krzesła zaglądała wesołemi, sprytnemi oczętami, podrygując na palcach, a biła od niej taka fala dziewczęcej niecierpliwości, że ojciec ją poczuł i odwrócił się na krzesło.

— Poczekaj, Manieczko! może coś wcale nie dla ciebie.

— Ee, proszę tatki! stara już jestem, mogę wszystko wiedzieć.

Żywy prawie, jak córka, ale raczej podległy tyranji Manieczki, niż nad nią panujący, pan Józef powstał żwawo z krzesła, poszedł do okna i przeczytał dla siebie tekst depeszy: „Przyjedziemy Sławoszewo czwartek południe w wiadomej sprawie. Sprowadźcie Rykonia. Jerzy Godziemba — Aleksander Leśniowski — Czesław Młocki“.

— No, możesz to wiedzieć, Maniuś, a nawet koniecznie: trzech druhów przyjeżdża do nas pojutrze o południu. Potrzebne: obiad, kolacja i pokoje gościnne.

— A widzi tatuś, że mogłam odrazu... Cóż to za panowie?

— Dwóch od Sasa — statyści, jeden od lasa — fircyk. Nie wiem nawet, jak się z tamtymi zabrał.

— Który? który?!

— Proszę, proszę... zaraz mi do fircyka córuchna... No, Leśniowski Oleś — nawet sławny tancerz.

— To będzie i zabawa! — klasnęła w ręce Mańka — zaprosićby i Drobińskich? — We dwie panie można już potańcować.

— Gdzie zaś? — Dopominają się o Rykonia, będzie narada o domu ludowym.

— Ale po naradzie?

— No, wieczorem, przydałaby się i pani Kara Drobińska dla ożywienia towarzystwa. Można jeszcze kogo...

— Tak, tak, tatusiu! coś i dla Mańki!

— Pomyślimy.

Tymczasem Mańka stanęła przed dużym lustrem, sięgającym posadzki, i przyglądała się swej postaci, bardziej strojnej młodością, niż perkalową sukienką i fartuszkiem białym, poplamionym karnazynowo przez wiśnie, gotowane na konfitury.

— W fartuszku tym nie pokażesz się gościom, córuś.

— Gdzieżby znowu!

Odpasała fartuszek błyskawicznie i stanęła w całej ozdobie swej postaci niezbyt wielkiej, ale smacznej w proporcjach, szczerze obiecującej przez niekunsztowną sukienkę. W twarzy gładkiej, mocno barwnej, jakby z dwóch wydętych płatków róży złożonej, nikły drobne rysy, tylko wszystko w niej się śmiało: niebieskie oczy, białe ząbki, poczciwe i energiczne dołeczki. Jasne, jedwabne włosy skręcone były tak pośpiesznie, że gdzieś na wierzchu głowy, trochę na lewo, sterczała płowa kitka, niby obfity kłos dojrzałego zboża.

— I włosy trochę inaczej — dodał Broniecki, wpatrując się z lubością w córkę — najlepiej tak *à la grecque* — wiesz?

— To mam znowu te fałszywe karakuły przyczepiać?! — niecierpię tego!

— Masz tobie! karakuły! — parsknął Broniecki — wszystko, co usłyszysz, powtarza, jak papużka! To ja o pani Drobińskiej mówiłem, bo ma włosy czarne, jak heban. Ale gdzież do twoich jasnych kudełków karakuły?! Trochę zawsze loczków przyczep, córuchno, kiedy taka moda. Trzeba im pokazać, że jesteśmy Europejczykami — o!

— A na obiad niema ryby! — zawołała Mania tragicznie.

— Musi być! Od czegoż mam córkę sławną gospodynię?

— Pójdę sama łapać.

— Łap, co chcesz, byle mi ciebie nie złapano zaraz z domu.

— Nie tak łatwo, fiu, fiu! — zagwizdała Mańka zarozumiale, choć oczy jej śmiały się zbyt odważnie do niebezpieczeństw.

Młodszy służący, Wicek, oznajmił, że bryczka dla jaśnie pana zajęła. Broniecki dopił kawę i siadł w małą, jednokonną bidkę, którą sam powoził. Chciał osobiście dojrzeć żniwa.

Świeżo jeszcze było na drogach i polach, póki rosa nie oschła. Ulubiony kasztan Bronieckiego niósł go tak rączo przez napojone woniami rozłogi, że zdawał się wymykać z obłoku pyłu, który podnosił, a mknąc przez dziedzinę samych tylko czystych, roślinnych zapachów, zaprawnych trochę wonią domową i przyjemną świeżo smarowanego juchtowego fartucha. Furkała bida, mało podskakując na dobrej drodze, ciągnęła ku sobie oczy ludzkie, zrzadka rozsiane po krainie, i nikt, zblizka, czy zdaleka, nie mylił się:

— Patrzajta! — dziedzic ci wyrywa.

Bo ktoby tak gnał i w tak wybornego kasztana?

Trzeba być zatwardziałym ekonomistą, aby się cieszyć tem ogromnem spustoszeniem krasy polnej, które nazywamy żniwem. Gdzie jeszcze nie przeszły wężowo syczące kosy ręczne, gdzie nie grasował rytmiczny kościotrup kosiarki, najbogatsza odzież ziemi pyszni się i połyska wierzchnią pozłotą, wabi w swe niskie gąszczce, w których słońce więźnie płowym mętem. A tu już zabójcze narzędzia uczyniły ogromny wyłom i odcięły od fali żywej zżęte pole

umarłe. Wesołe to poprawdzie umieranie: kładzie się pokolenie kłosów w bujne Pokosy, przetkane kwieciami i badylem, z ledwie dosłyszalnym szmerem, niby westchnieniem; za zgrzytem siekącego żelaza idzie słodki śpiew dziewczyn, wiążących snopy, lekkomyślnych pomocnic śmierci.

Broniecki nie dumał tak po literacku, gdy, dotarwszy do żniwa, oddał konia z bidą karbowemu, a sam dochodził piechotą po świeżem, soczysto chrupiącem pod butami ścierniu. Tylko, gdy zauważył, że gwary i śpiewy ucichły za jego zbliżeniem, zawołał energicznie i wesoło:

— Drzyjcie się dalej, dziewczuchy!

I stwierdziwszy, że żniwiarka, pod osobistym nadzorem pana Wierzbowskiego, działa wzorowo, podcina równo i nisko, że kosiarze ręczni docinają też prawidłowo skrawek pola, nieobjęty przez maszynę, wyprzedził cały roboczy szwadron i poszedł miedzą aż do macicznego rowu, który przecinał ogromny łąn pszenicy i miał być kresem dzisiejszego zadania żeńców. Nad obiema burtami zielonego wądołu stało jeszcze murem złote zboże, cicho pod upałem; tylko skoczny pokrzyk przepiórki rozlegał się w niem przenikliwie, tłómaczony przez obłudnego człowieka, jako:

— Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć! a w istocie znaczący zupełnie co innego.

Staął sobie Broniecki na brzegu polnego kanału samotny, zasłonięty zupełnie przez wysoką pszenicę od widoku żeńców. Może tam tylko dziedzicowy kapelusz wyglądał do nich zdaleka nad powierzchnią łąnu i straszył — nie straszył, lecz przecie trochę napominał do pośpiechu. Zadumał się Broniecki nad żniwem: po wierzchu jego duszy migał przypuszczalny rachunek, ile też pszenica „Banatka”, sprowadzona z Węgier, sypnie mu korcy z morgi — ale na dnie duszy śniło inne rojenie. Jeszcze w pełni lata ściele się już droga po ściernisku nadciągającej jesieni. — I on sam, jeszcze w pełni wieku, chylić się zacznie wkrótce ku smutniejszej życia porze, która się już nową wiosną nie odmłodzi. — Te ci psiakość, grzeszne cielsko rozrasta się niepotrzebnie, aż rozpycha ubrania, które przez lat dziesięć nie wychodziły z formy. Brzucha niema? — nie, ale kości jakoś się rozszerzyły, czy co?...

A tu krew kipi jeszcze, jak za młodu, kiedy dobierze się kompanja przyjazna i wino zacne, albo kiedy znówu zawabi jaka samiczka, mniej czuła na podrygi fircyków, a bardziej na męskie, dojrzałe zalety i... pozycję. Jeżeli przypomni się natrętny dziedziczny artretyzm, chluśniesz na niego winem i odpędzisz; jeżeli powikła się tam miłosne przedsięwzięcie, potarga trochę za serce i nerwy — to forda! W każdej życia chwili, codziennej, czy świątecznej, wczesnej czy późniejszej, jest coś godnego kochania. Zachować w sobie tylko mocne przekonanie, że świat jest dla wszystkich, nie tylko dla niedorosłych fircyków, którzy nie wiedzą nawet, co piją, gdy piją.

I oddał się cały rozkoszy chwili. Upał, niby lotny, miód, ogarniał go zewsząd przedziwną, bez prądów, kąpielą. Czy z powodu mniej dokładnej przy rowie uprawy, czy przez propagandę pogranicznej dzikiej darni, zboże było tu podszyte doborem kwitnących chwastów, niemiłych sumieniu gospodarza, ale silnie kuszących zmysły, jak wszelkie posiewy Szatana. Barwne miodowniki i kąkofo buchały pijanym zapachem, a wiotkie chabry zerkwały kobiecym błękitem; od stoku rowu wpełzały głęboko w zboże szlaki stokroci i kępy końskiego rumianu — całe pokolenia wesołych, grzesznych kwiatów, gorszących uczciwe zboże. Broniecki, srogi agronom, lecz nie całkiem pochłonięty Przez zimną rachubę, użalił się nad kwiatami, które dziś zginą pod kosą, z pszenicą pospołu — legł na stoku rowu i rwał garściami najbarwniejsze. Przydadzą się na wiązanek Manieczce, a nawet te niezapominajki z dna rowu cudnie przystroją serwis kryształowy, który dobędzie się dla zastawy stołu na przyjęcie gości.

Tymczasem w gęstwie łądyg pszennych zamigotał przy ziemi jakiś ruch szary, dostrzegalny tylko dlatego, że cały łąn stał nieruchomy — na krańcu zboża, przy rowie stanęła kuropatwa, skulona w swem gładkiem futerku, osłupiała. Od świtu prowadząc swe tegoroczne pokolenie znajomymi ścieżkami przez stepy pszenne, oddalała się od zgiełku żniwa ku bezpiecznym przepaściom wielkiego kanału. Aż gdy do nich dotarła, widzi: na zielonym stoku leży ogromny człowiek. — Spojrzała mu trwożnie w oczy i ptasim, jednak przezornym mózgiem pojęła: niezły jakiś człowiek, uśmiecha się i rwie kwiaty — pewno mu do pożywienia potrzebne, jak nam poronione przez kłosa ziarenka — frunęła mu prawie ponad głową na przeciwległy brzeg rowu i zapadła blisko, dając znać swemu potomstwu stłumionem huknięciem, że można tędy. Więc za nią kurki mniejsze wysypały się z pszenicy szarem gronem, niby tłustych bałków wierzbowych i, mniej do lotu skore, przewinęły się różańcem po zielonych kobiercach rowu na miejsce, gdzie wabiła je matka.

A Broniecki leżał cicho, uśmiechnięty, myśląc o rzeczach pogodnych, jak oto, że dużo będzie kur na jesienne polowanie, bo stada liczne i zdrowo już teraz podrosły — że to ładne, a nie często się uda widzieć z tak bliska — że dobrze człowiekowi przy samej ziemi, na jej łonie żywnem, matczynem, pospołu ze zwierzem i kwitnącem zieleń.

Naraz przypomniało mu się, że pojutrze ma naradę, na którą trzeba nawet trochę się przygotować i zaprosić jeszcze paru mądrali — —

— Na ten upał sprawy publiczne! — Żeby choć po naradzie dobrze pić chcieli — ale to wszystko, żal się Boże — abstynenty!

II.

Tegoż pięknego poranku Jan Rykoń wyszedł bardzo wcześnie z kosą na swoje pole. Było tam sporo do skoszenia, dziesięć bez mała mórg żyta już dojrzałego, a póki się to zbierze, już i pszenica na pięciu morgach dojdzie. To też Rykoń miał do pomocy dwóch parobków: Ignacego Fudałę i Michała Bembenistę, chłopów tęgich, chociaż Bembenista trochę się rozwydrzył, chodząc dawniej na miejskie zarobki, i gębę miał skorą do polityki, ale, gdy się szczerze jął kosy, silniej robił, niż Fudała.

Dobrze się posiliwszy mlekiem i chlebem z masłem, szli we trzech, ubrani jednakowo w filcowe kapelusze, spencerki amarantowe i koszule, puszczone na parciane portki, bez wierzchniej odzieży, ze względu na prażący już ze wschodem słońca upał — I niebawem stanęli przed łąnem żytnim, siwym zupełnie od dojrzałości, ugiętym po wierzchu okrągłą falą pochylonych kłosów.

— No, w imię Boże — —

Zaciął pierwszy Rykoń od między gracko, zajmując kosą prawie sążen szerokości, i ciachał tak, sporo przystępując, aż się oddalił od między na długość pręta.

— Tera, Michał, zażynaj!

Machnął Bembenista o sążen na prawo, docinając do usłanej już drogi Rykoniowej, a gdy wysięki nową prętowej długości, na trzeciego ruszył Fudała. Świstały zgodnie kosy, rzadko kiedy minęły się głosem — i słał się w głąb żyta gościniec szeroki, czołem postępujący w trzy schody, przekreślony dwoma nasypami bujnych pokosów. Gdy doszli do końca łąnu, Rykoń stanął, wyjął z za pasa osekłę i zaczął ostrzyć żelaziec. Za jego przykładem poszli parobcy i rozległ się po cichem polu ostry zgrzyt metalu, urągający powietrznej melodji skowronków.

— Docinaj-no, Michał, jak się patrzy! — warknął Rykoń, odrzucając butem pokosy Bembenisty i okazując pod niemi zbyt wysoki grzebień ściernia. Patrzaj! Ignac zgoilił, jak brzytwą.

— Ale nie ma tej szerokości zajęcia co moja bronił się Bembenista.

— Bo tyli nie urósł, co ty. No dalej!

— A nie ciągnijcie-no za sobą tak ostro, gospodarzu — aż dech zapiera — wypraszał się znowu Fudała.

— Widzicie go! pochwalić tylko, już go zapiera!

Zagrały znowu kosy potrójnym świstem, żeńcy wcinali się coraz głębiej w łąn, poważnie i zajadle, — A pies Kasztan, pozostawszy na między, spoglądał za

kosiarzami i długo się namyślał: poco on tu przyszedł? Był z rodu Owczarskich, ale że owiec gospodarz nie trzymał, Kasztan nudził się trochę w Rykoniowej zagrodzie, jak każda istota bez zajęcia i wykolejona. Przeżywić się w bogatej chacie było nie trudno, ale pies nie miał ani szacunku, ani miłości u ludzi. Nie wesoły też był, ani dowcipny; lisią swą mordą zdawał się wyrażać namysł jakoby o zmianie służby. Pokłusował teraz napowrót do chaty ze zwieszoną głową, powłócząc ogonem. I nie znalazł tam nic, oprócz codziennych, obojętnych wrażeń.

Z chaty wyszli gospodarz i parobcy, a dziewczka służebna była też na podwórzu przy obrządku. Tylko stara Pawłowa, matka Jana, wielka mistrzyni od tkactwa przędła już od rana na kołowrotku. Choć niedawno wszyscy wstali, chata była pięknie uporządkowana: pościel na łóżkach piętrzyła się bogato; długie, nakształt wańtuchów, poduszki rozpychały białe poszewki, okazując na krótkich bokach barwne swe wnętrzości, zasznurowane siecią wąskich wstążeczek, żółtych, czerwonych, zielonych i srebrnych. Przy angielskiej kuchni stał godny piec kaflowy na cztery boki — oboje teraz zimne, jako najmniej rozgrzewane w te upały. W alkierzu oszklona szafa okazywała szeregi kwiecistych talerzy, sztorcem ustawionych na półkach, i cynowe łyżki, zatknięte w otwory specjalnie na to przygotowanej deszczki. Nad komodą obraz Częstochowski jaśniał złotem sukienek Matki i Dzieciątka, między dwoma płaskimi bukietami z papierowych kwiatów. I między innymi obrazami wisały powycinane „stroje“, to w kształcie skrzyżowanych kwiecistych pasów z frendzlami, to jako kwiaty pojedyncze, przypięte do ściany. Wisały też między świętościami i w przystroju wypukłe medaljony Mickiewicza i Kościuszki.

Dobrze pachnęło w izbie i niezbyt jeszcze było w niej gorąco, bo okna otworzyła za pierwszego świtu stara Rykonina, która sypiać nie mogła tak twardo, jak młodzi, i wstawiała razem z zorzą. Więc nabrało się do izb świeżości nocnej, mocno ziołami i zbożami zaprawnej, i świeżość ta topniała w chacie powoli. Teraz od strony rozgorzałego słońca przymknięto okiennice z zewnątrz, a okna otworzono do środka, więc światła było skąpo, tylko od szpar w okiennicach szły przez izbę dwa świetlne kroje, mętne w powietrzu, jaskrawe zaś na czystej podłodze i na barwnie ozdobionych ścianach.

Dochodziły z za ścian do wnętrza chaty różne głosy: kłopotliwe gadanie drobiu, opozycyjny pomruk świń, czasami dziarskie rzenie ogiera albo gwałt podniesiony przez psa z niewiadomego powodu. Głosy te słyhać było tuż za ścianą, albo dalej i dużo dalej, bo osada Rykoniów leżała pośrodku wielkiej wsi Mielna. — W izbie zaś szeptał cichutko, jak przez sen, dobrze naoliwiony kołowrotek, i parę pszczoł, zabłąkanych z sadu, grało altowym akordem.

Przypomniały się Pawłowej drogocenne, białe kury, sprowadzone przez Jana

aż z zagranicy. Sama ich doglądała, aby dogodzić synowi, któremu prowadziła gospodarstwo kobiece z pomocą najętej dziewczki, gdyż Jan, pomimo że minął już trzydzieści lat, dotąd nie ożenił się. Różnie gadano, dlaczego — ale matka musiała wiedzieć, bo na wszelkie w tym względzie zapytania odpowiadała milczeniem tajemniczym a pogardliwym.

Zabrała tedy w zapaskę resztę krup jęczmiennych „na dodatek“ dla owych kur i wyszła z chaty przed drzwi główne. Zanim okrąży domostwo i uda się na podwórze, spojrzy na dzień boży radosny. Stała przed drzwiami na brukowym podjeździe, prostokątnym i wzniesionym nad poziom głównej drogi wiejskiej naksztalt tarasu. Znała ten kraj już od lat z górą pięćdziesięciu, bo w Mielnie się rodziła. Ale za jej pamięci zmienił się i wypiękniał. Zamiast drogi krętej i błotnistej, dobrej znajomej z lat młodszych, jaka ci teraz szosa galanta! — będzie jej ze dwie wiorsty w klamrę, I chat już niema tych dawnych, małych, z szerokimi okapami na kroksztynkach, same dzisiaj domostwa pod sznur wyrzutowane, „bielone na niebiesko”; a jakie bramki, a sztachety, a murki z kamienia naokoło osad! Osady zaś Rykoniowej i poznaćby trudno, gdyby tu kto od lat dziesięciu nie bywał: sad, szkółka owocowa, pasieka i dachów sześć, z których jeden osobny na parnik paszy dla bydła!

Dziwowała się Pawłowa coraz nowym przeistoczeniom wsi rodzinnej, ale nie gorszyły jej bynajmniej. Tak być musi, bo do tego prowadzi jej syn ukochany, Jaśko, któryby już i wójtem powinien być, gdyby nie naród sąsiedzki ciemny. Pomagała mu całą siłą rąk, jeszcze sprawnych i niewygasłego matczynego serca, starczyła za młodą gospodynię w domu i około domu, a już co do zamiarów szerszych, robót gromadzkich, gdzie Rykoń był naczelnikiem wszędzie, matka patrzyła tylko z uwielbieniem w oczy syna, czego on chce i dokąd prowadzi.

Dobrze jej było wprowadzić z dostojeństwem jedynej gospodyni w chacie, lepiej jeszcze, niż za nieboszczyka Pawła, ojca Jaśkowego, ale nie zamyślała nigdy stawiać przeszkód, gdyby Jan wybrał sobie nareszcie żonę. Nie wybrał dotąd — to było dla matki prawem. Tymczasem dla gospodarstwa prawie że lepiej: matka w niem pracowała gorliwiej, niż dla siebie, bo dla ukochanego syna; jako starucha, nie potrzebowała zabaw, ani strojów; reszta domowników była najemna. Jeżeli tylko dwaj parobcy albo dziewczka chybią w robocie lub uczciwości, można ich odprawić. Rykoń był stateczny i majątek rok rocznie pomnażał: już dokupił do czterdziestu dwóch mórg ziemi, a inwentarza ciągle przybywało. Więc, widać, Bóg błogosławił gospodarce, choć w stanie kawalerskim.

Przechodziły czasem Pawłowej wątplenia przez serce, czy Jaśko, ciągle zajęty pracą dla siebie i dla innych, zawsze samotny w swem łóżu, jest należycie szczęśliwy? — Przepytywała się o gospodarskie córki co przedniejsze, upatrując

między niemi kandydatkę na synową, ale Rykoń nie spojrział na żadną. I niedziw, bo któraż była go naprawdę godna? — Żarliwa troska o zadowolenie syna naraiła już nawet matce pomysł nie całkiem bogobojny: niby nieumyślnie przyjęła w roku zeszłym za dziewczkę do pomocy Maryskę Szustaczkę, córkę komorników, więc na żonę dla Rykonia wcale niemożliwą, ale bardzo gładką i zalotną. Niechta ma synaczek choć na co czasem popatrzeć w chacie, dla wesołości. Próba udała się niefortunnie: gospodarz nie zwrócił uwagi na dziewczkę, chociaż go na pokusy wodziła ciągiem, to w lecie ze śpiewką po nocy, to w zimie przed świtem paląc w piecu podłóża, gdzie Jan spoczywał. Zato wyszło na jaw wkrótce, że Maryska zadała się z parobkiem Wieteską. Zmuszono Wieteskę do ożenku z Szustaczką i oboje wydano z chaty. Późem stara Rykonina przyjęła na służbę Anastazję, dziewczkę mocną, pracowitą i skromną, ale tak pokraczną, że jej nawet Bembenista, chłop rozwyrzany po miastach, nie zaczepiał. A matczyśko myślało sobie o synku: musi tam on już święty być, albo inne mieć pociechy, kiedy z domu wyjeżdża?

Miała syna ciągle na pamięci, przeczuwając go raczej, niż rozumiejąc. I teraz szukała go oczyma w wiadomym kierunku, gdzie poszedł dzisiaj kosić, pod Kościelnem, zamykającym świat od północy szeregiem dachów i wieżą świątyni, wzniesionej niedawno przez gminę, a tak wspaniałej, że i z kolegiatą Łowicką o prym walczyła. Ale darmo było wypatrywać na wiorstę oddalenia i przez mur żyta wysokości tęgiego chłopca. Jeny słały się po polu barwy, mokro połyskujące, jeno płynęły wonie natężone.

Zręby domów bliższych, pociągnięte niebieską farbą, często rzeźbą ozdobne na drzwiach głównych i na okiennicach, błyskały radośnie. Szeregi dalsze zlewały się w poziomy pas lazuru, odcięty od nieba tej samej barwy szarym pasem strzech, to znowu pokreślone słupami drzew przydrożnych, przetkane zielenią sadów. A wewnątrz tej ogromnej klamry z lazuru, popiołu i zieleni iskrzył się pasiasty kilim zbóż rozmaitych, dziany amarantem koniczyn, mlecznym szmaragdem jęczmion, szczerym majem lnu, na przeważnej osnowie zbóż płowych i złocistych. Tu i owdzie ludzie, drobni, jak owady, toczyli kobierzec żniwiarską robotą, ścieląc za sobą prostokątne, wyżarte plamy.

Niemłoda była już Pawłowa, już o szczęściu dla siebie bezpośrednio nie myśląca, a jednak ją w taki piękny dzień nosiło. I tak się zagawroniła przed siebie, w zbożową dal, zamiast krupy nieść kurom, aż nie spostrzegła, że do jej progu zdąża po głównej wiejskiej drodze jaskrawa postać kobieca. Dopiero gdy kobieta doszła do pierwszego słupa Rykoniewego frontu, Pawłowa jęła się jej przyglądać badawczo:

— Kie lichy? — przybrana z gostyńska, a z parasolką? — —

Dorodna dziewczyna miała na sobie sukienkę jednobarwną zieloną z czarną

aksamitką, naszytą na wysokości kolan i stanik z adamaszku „bladego“ [włóścianie z pod Łowicza i Gostynina nazywają „bladą“ barwę różową] w złote kwiaty. Czerwone sznurowadła obciskały jej zgrabne trzewiki aż do łydki. Tylko zapaskę miała w „brązki“ [różnobarwne tęczę wąskich pręg na tle zasadniczym, zwykle żółto-pomarańczowym. Brązki = prążki (także „mrążki“)], łowicką, bo i w Gostyńskim noszą takie same — i obcisłą na głowie „salinówkę“ [lekka chusta wełniana lepszego gatunku] z końcami, puszczone na plecy, wedle wspólnej mody obu ziem sąsiednich. Nie zwracały też na siebie szczególnej uwagi, gdyby nie wyjątkowa świeżość ubioru i parasolka rozpięta nad głową. Bo że śmigła była i gładka, że weseliły się ciemne oczy, a usta jakoby drapieżne śmiały się do życia — to nie dziwota w okolicy, gdzie pięknych dziewczyn jest tyle, co maków w polu.

Doszła do progu i Rykoninę pocałowała w rękę. Dopiero się stara ocknęła z podziwu:

— Na wieki... Ano tak i myślałam se: Magdusia ze dworu. — Cóżecie się to panna tak wystroili po naszymu?

— Mówcie mi, matko, po imieniu — toć od dziecka wam znajoma. — A kiedy idę do Rykoniowej chaty, jakżebym szła, jeżeli nie po naszymu.

Gospodyni spoglądała niby łaskawie, ale z odcieniem niedowierzania:

— Z czym przyszłaś?

— Dziedzic mi oddał list do waszego syna.

— W polu je, przy żniwie.

— A kędy?

— Daleko, o tam, pod Kościelnem... Pismo ostaw, to się wieczorem odczyta.

— Kiedy mi dziedzic kazał przynieść zaraz odpowiedź —

— To się przy okazji pośle w pole, a z odpowiedzią znajdziemy posłańca do Sławoszewa.

— Kazali mi samej,...

Pawłowa patrzyła na każdą młodą, dorodną dziewczuchę ze stanowiska, czy mogłaby to być żona dla Jaśka. Ale stosowała przy oględzinach tak wysokie wymagania, że jej się właściwie nie podobała żadna. Magda zaś Olczakówna, córka ubogich rodziców, nie Księżaczka, służąca przy panience w Sławoszewie, mogła mieć pewien polor towarzyski, mogła umieć czytać i pisać — kobiecie to mało na co zdatne — ale pewnikiem już się rozbałamuciła na dworskim lekkim chlebie — ani wiana, ani gospodarskiej godności nie posiada. I bardzo jej jakoś pilno do osobistej rozmowy z Janem.

— Jakżeś to panna przeszła tyli kawał drogi, że i kurzu nie znać na trzewikach?

— Podwieźli mnie do chaty Gładocha, a stamtąd już do was niedaleko i szłam

ostrożnie.

— Patrzajcie, jaka alagantka! — — a zapaska to chyba u nas tkana?

— Nie, matko, w Sławoszewie, mojej własnej roboty.

Pawłowa ujęła w doświadczone palce wełnę Pasiastego fartucha, pomacała, pogładziła i nie znajdując nic do zarzucenia tkaninie, pokiwała poważnie głową.

— No, wejdz se do izby dla odpoczynku. Ja tylko te krupy kurom rzucę.

Magda wchodziła tu po raz pierwszy. Rykoniów znała z kościoła, Jana widywała nierzadko u dziedzica w Sławoszewie, ale w chacie ich nie była. Ogarnął ją półmrok tem gęstszy, że przez godzinę miała w oczach jaskrawy blask słońca. Cisza, ład i zapach zielny przejęły ją uszanowaniem niby religijnem; spotkawszy oczyma złoty obraz Częstochowski, mimowolnie pochyliła głowę i przeżegnała się. Dużo chat widziała w życiu, pochodziła z chaty, ale to wnętrze wydało jej się najdostojniejszym, choć zimnem. Trudnoby się tu rozśmiać, albo zaśpiewać, jak w garderobie w Sławoszewie, pełnej gwaru, gałganków, wstążek i zapachu prasowanej bielizny. Tutaj chyba tylko pracować i modlić się... Dopiero łóżko bogato zasłane, z pewną zalotnością, przypuszczalnie łóżko gospodarza, wywołało uśmiech na usta Magdy:

— Także ci chłop dziwny...

Powróciła do izby Pawłowa i zaczęła się znowu certacja o doręczeniu listu.

— Pozwólcie mi, matko, iść tam, gdzie koszą i list oddać. Mówiła mi panienka, że stoi tu o ważnej sprawie, nie dworskiej, jeno waszej.

Pawłowa ujęła się za podbródek i dobre pięć minut namyslała się, spoglądając to na wystrojoną dziewczynę, to na list, który ona dobyła z kieszeni, to na zegar. Aż z ukrytych przesłanek wyłonił się głośny wniosek:

— Ano, chyba weźmiesz mi dla nich dwojaki ze śniadaniem? — — Tobym już nie szukała, przez kogo posłać.

— Zaniosę, zaniosę — odpowiedziała chętnie Magda.

— Poczkaż jeszcze z pół godziny.

* * *

Drózką polną, napoły zarośniętą, szła Magda z dwojakami, pod parasolką, w kierunku do Rykoniowego żniwa. Tu i owdzie kosiarz przerywał sobie robotę i, wsparty o drzewiec, przeprowadzał zadziwionemi oczyma niezwykłą służebnicę w wyszukanych szatach. Starszy chwiał głową, zgorszony, że takie ci obyczaje nastały; młodszy się rozdziawił, albo i huknął ochoczo, bo co mu tam ubiór taki, lub owaki, kiedy dziewczyna śmiga gracko, a szeroka jest w biodrach, a z oczu żar sypie, aż go czuć i przez upał niebieski. Dopiero gdy Magda, powiadomiona o Rykoniowym dziale już do niego się zbliżała, zamknęła parasolkę, uczepiła ją

sobie za taśmę fartucha i szła rączo w złotych haftach swego stanika, w obfitym tulipanie nawieszonych kiecek i wełniaków, podobna do dzwonka, któryby sunął polem i ogłaszał wesele.

Siekąc mur żyta potrójnym wrębem, Rykoń, Bembenista i Fudała przystępowali do Magdy powoli, mocno, w rozkołysanych na boki pokłonach;; ona zaś szła do pierwszego na czele Jana, lekka i radosna zwiastunka odpoczynku. Już ją spostrzegł i poznał, lecz nie przerwał roboty, tylko skinieniem głowy ją powitał. Dopiero, gdy zbliżyła się na pół pręta, ostatni, potężny pokos srebrnego żyta podesłał jej pod nogi i stanął.

— Dzień dobry, gospodarzu. Przynoszę wam śniadanie z chaty i list od dziedzica ze Sławoszewa.

— Dzień dobry. Za jedno i za drugie dziękuję wam, Magdalena.

Uznojona dłoń otarł o bieliznę i podał dziewczynie, Z ociekającym potem, całej wygolonej twarzy, oczy mu błyszczały uprzejmie, lecz wyniośle, wargi z pańska rzeźbiły wyrazy. Pan ci to był choć w przemokłej do nitki koszuli, chociaż z kosą w ręce, drżącej od wysiłku. I śmiała dworska dziewczyna spuściła przed nim oczy.

Na zielonym stoku rowu, pod chudym cieniem gruszy, otoczonej tarniną, legli wszyscy na trawie około dużych dwojaków, rozwiniętych z płachty. Okazało się, że zawierają jajecznicę i kwaśne mleko.

— Nie pogardzicie naszą strawą, Magdaleno — rzekł Rykoń.

Zapraszał tak stanowczo, że Magda, choć syta jeszcze po śniadaniu w Sławoszewie, nie śmiała odmówić. A że brakło dla gościa łyżki, Rykoń podał swoją dziewczynie, która zaczerpnęła z garnka mleka i przegryzła chlebem. Mleczny puch otoczył jej czerwone wargi, znacząc miejsce najponętniejsze w twarzy. Poczula to Magda w roziskrzeniu ciemnych oczu Bembenisty, zwróconych na jej usta, i otarła je śpiesznie odwrotem dłoni.

Tymczasem Rykoń biegle przeczytał list Bronieckiego i rzekł do Magdy:

— Powiedzcie panu waszemu: będę. I dajcie objaśnienie, jakoście mnie zastali w polu przy kosie, więc że na list pismem odpowiedzieć nie mogłem.

— A chybabyście patykiem, w czarnej ziemi umaczanym, pisali na koszulce oto tej panny — wtrącił Bembenista i zaśmiał się, ale sam tylko, bo inni słuchali uważnie, co dalej powie Rykoń.

— I powiedzcie jeszcze, że ja sam od siebie radził będę, bo między sąsiadami są nieuświadomione i ciemne, a ja plenipotencji od gromady nie mam. Spamiętacie?

— Cobym nie miała spamiętać? Przyjedziecie i powiecie sami, jaka wasza rada.

— Dobrze i tak — machnął Jan ręką.

Magda dodała zalotnie:

— A teraz jedzcie, gospodarzu, bo wam te kawalery całą jajecznicę sprzątną.

I szukała oczyma, o coby tu otrzeć łyżkę, którą dopiero co jadła. Ale Rykoń wyciągnął rękę:

— Nie chcecie już? to dawajcie łyżkę.

I jadł nią bez wszelkich pozorów wzruszenia że łyżka zachowała jeszcze trochę ciepła i śladów ust pięknej dziewczyny.

Magda przyglądała się Janowi i myślała:

— Jakiś człowiek z kamienia...

Dopiero gdy przejrzało dno garnków, ozwał się Fudała, chłop przemyślny i nieco leniwy, dla przedłużenia odpoczynku:

— Oj, dobrze mówicie, gospodarzu, że naród nasz ciemny! Nie wam to być wójtem, zamiast Skierskiego, który tyle, że siwy i gębę ma dla naczelnika pochlebną.

— Dobry i Skierski — odrzekł Rykoń — żeby tylko lepiej czytać umiał i pisarzowi nie dał się za nos wodzić.

— Toć wam i gadam: żebyście wy byli, inakszeby czasy nastały.

— Nie do wójtostwa mnie pilno, jeno do pospólnej roboty.

— Oj, do roboty! — ziewnął Bembenista — zawsze do roboty! Żeby to człowiekowi kiedy jaką pospólną zabawę „ustroili”!

— A my właśnie jutro w „Sławoszewie o takim domu radzić będziemy, gdzieby i zabawa była, i nauka, i miejsce zebrań dla całej gromady.

— Furda! — krnąbrnie zawołał Bembenista — co wy tam z panami uradzicie? Oniby nam, wedle swojego gustu, taką poradzili zabawę: zabawcie, się, chłopcy, w koniki i zaciągnijcie nasze buraki do fabryki — o!

— Ja tę gadkę już słyszałem od pana Czemskiego z Niespuchy. Pewność, Michał, z nim gadał? — spokojnie, lecz twardo rzekł Rykoń.

— A żebym i gadał, to co?

— Można z nim gadać, bo człek przychylny; ale młody i głupstwo palnąć potrafi.

— Ho, ho! kończył ci on szkoły już za granicą i o prawach tamtych robotników wie dobrze — bronił Bembenista Czemskiego.

— A jednak w mowie chybia. Już tych panów niema, coby w nas, jak w bydlęta, orali. A ni my głupi dać się zaprząć, ani oni głupi, żeby wierzyli, co im się to uda. Tylko wam mówię, bom sobie mocno to rozmyślił i zsumował: każdy, chłop czy pan, ma swoją sprawę przy skórze, a inną większą mają wszyscy razem. Tę my i z panami mamy pospólną.

— Toście mądrze powiedzieli — przytwierdził pochlebca Fudała.

Ale Bembenista przypomniał sobie o swoim rozumie, w miastach i na

bandosach wyszkolonym, z którego był dumny, i bez względu na powagę gospodarza zawołał:

— Ja tam do panów, ani do księży nijakiej potrzeby nie mam! Chcą nas napowrót w niewolę brać, a mądrale z naszych jeszcze im ta pomagają!

Zerwał się na nogi Rykoń, stuknął drzewcem o darń, aż kosa zadzwoniła, i z warg zaciętych sypnął słowem, jak grad ostrem:

— Stul pysk, kiedy nie rozumiesz, co ci w uszy kładą i, jak kto w cię dmuchnie, tak bręczysz, kiej ta trąba!

Spojrzał Bembenista od ziemi na Rykonia, który mocny był i żylasty, jak koń, a rzadko się gniewał.

— Ja przecie nie do was, gospodarzy...

— I lepiej, że nie do mnie. — — No, wstawajta! Tu dziś nie rada, jeno robota, żniwo.

Staął na swym wysieczonym szlaku, poczekał niedługo na parobków, a gdy każdy doszedł do swojego, zaświstała znowu rytmicznie kośba.

Olczakówna, o której w ferworze rozmowy zapomniano, siedziała cicho, przyglądając się Rykoniowi, jak czytał, jak gadał, jak robił kosą. We wszystkim chłop naczelny! Tylko dziwnie na jej w dzięki nieczuły. — — Toć wiedziała przecie, w dwudziestym roku życia, jak to mężczyźni zerkają zpodełba, a kręcą wąsa, a przestępują z nogi na nogę, a czasem i głupieją, gdy na którego spojrzy po swojemu. Nietylko chłopci — nawet sam dziedzic Sławoszewa i jego goście. Każdy, który ją widział, kiedy powraca, zapytuje: czy jest tu jeszcze u was ta ładna Magdusia? A Rykoń — kawaler przecie i chłop setny, tyle tylko, że ją poczęstował śniadaniem i grzecznie gadał — ale tak zimno! — nie pochwalił ubioru, który dla niego przyodziła nic — — nawet na pożegnanie zdaleka tylko głową kiwnął od roboty, powiedział, żeby dwojaków nie zabierała i — ostańcie z Bogiem!

Wzdychała Magda z rozczarowania, odchodząc polną miedzą na przełaj do Sławoszewa.

III.

Słońce, złoty dobrodziej, szeroką poświatą oblewało tego dnia ziemię Łowicką, więc i sąsiadująca ze Sławoszewem i Mielnem Niespucha opływała w słoneczną łaskę. Tylko ten kawał ziemi, mniej wdzięczny, nie odpowiadał słońcu taką bujnością drzew i łąków, jak tamte, nie roił się takim mnóstwem istot żywych. Folwarczek, zdawna zaniedbany, dźwigał się widocznie ku lepszemu bo między kilku budynkami zwietrzałymi stał nowy dom barwy wapiennej i kształtu klatki mieszkalnej, огоłocony z przystrojów zieleni, które gdy się latem do ścian i dachów przytula, śmieje się nawet chata urokiem bezpośredniego dzieła przyrody.

Stefan Czemski, nabywszy niedawno folwark, chciał w nim mieć mieszkanie odpowiednie do swych celów, bynajmniej nie romantycznych, lecz realnych, był bowiem z wykształcenia socjologiem, z powołania szermierzem emancypacji ludu z pod nawału przesądów z pod przewagi klas feodalnych i klerykalnych. Dom, który sobie wystawił, był takim domem, jaki miećby powinien przyszły włościanin wyzwolony. Na reszcie gruntu nie zdążył jeszcze wykonać swych rozległych planów dla cywilizacji okolicy. Tylko że już w przeszłym roku skwar i blask zanadto mu dokuczył, posadził tej wiosny naokoło domu chude klomby, które dopiero okazywały snopy różg zieleniejących.

Nie zajmował się osobiście gospodarstwem, do prowadzenia domu miał gospodynię, piękną Agatkę, którą odebrał prawie przemocą pewnemu proboszczowi z pod Grójca; w gospodarstwie zaś rolnem wyręczał go Maciej Durmaj, chłop uczony. Kilka włók ziemi trzeba było spożytkować tymczasem jako tako, zanim staną się... może fermą doświadczalną dla przyszłej szkoły rolniczej ludowej, może wzorową osadą kilku obywateli, którzyby własnoręcznie ten kawał ziemi uprawiali i dzielili się owocami pracy rąk swoich. Stworzenie tego braterskiego falansteru rolnego natrafiło tymczasem na duże przeszkody: najprzód trudny był dobór towarzyszy równie zapalonych, jak Czemski, do tego pomysłu; powtóre sam Czemski nie umiał ani orać, ani siać, ani kosić. Najwyżej młócićby potrafił — ale miał wątpliwości, czy w ten sposób zużytkowałyby należycie nabyte przez kilka lat studjów wykształcenie uniwersyteckie. Tymczasem Niespucha była sobie najpospolitszym folwarkiem, administrowanym według najstarszej metody.

Czemski miał dzisiaj gościa, profesora Edmunda Owocnego, który przyjechał rannym pociągami z Warszawy i, nie okurzywszy nawet podróżnego ubrania, zasiadł do herbaty i do ożywionej rozmowy.

— Zatem — mówił profesor krótkowidz, badając przez okulary bułkę, jak ciekawy preparat — Pojedźcie jutro na tę radę do Sławoszewa — he?

Czernski wicherzył oburącz czarną, lśniąca czuprynę, marszczył energicznie czoło, to znów rękoma wyrabiał tak, jak gdyby w nich coś miał zawzięcie — i zwlekał z odpowiedzią.

— Jakżeż? — macie zaproszenie; rzecz całkiem naturalna: pojechać.

Czernski powstał z krzesła i przeszedł się po pokoju krokiem targanym, jakby jakieś zobowiązanie wobec ślepego profesora krępowało jego ruchy. Zaoponował jednak ubocznie:

— Co nam właściwie szkodzi, że oni sobie wystawią w Mielnie swoim staraniem dom ludowy? Znowu Edmund Owocny nie odpowiedział, tylko dłonie załamał i kiwał głową, a oszklonym wzrokiem świdrował stół, jakby ubolewał nad niedojrzałością młodego towarzysza.

— Wiem, wiem — zawołał żywo Stefan — takie rzeczy winny powstawać z wewnętrznej potrzeby i z inicjatywy ludu. — Ależ to przecie projekt sam przez się użyteczny, i nie noszą się z nim tylko tacy tam działacze z pod ciemnej gwiazdy, jak Godziemba, Młocki, ale przecie i Jan Rykoń, najtęższa głowa w Mielnie!

— Tu nietylko głowy potrzeba — wyrzekł dobitnie profesor Edmund — trzeba szczerego ludowego serca. Rykoń jest opanowany przez zacofańców i feodałów, choćby przez tego Bronieckiego ze Sławoszewa.

— Broniecki? — wzruszył ramionami Stefan — dobry sobie człowiek; nie żaden generał stronnictwa — stary bursz, pochopny do roboty społecznej...

— Ale zapleśniały szlachcic! I wy, panie Stefanie, pozbyć się nie możecie waszej szlacheckiej duszy, która wam przesłania ideał nowego obywatela w Polsce ludowej.

— Niechże mi profesor nie wypomina mojego szlachectwa, o którym sam nic nie wiem. Nie mam do niego żadnej pretensji. Mój ojciec jest lekarzem, dziad był żołnierzem w powstaniu. To przecie nie wstyd?

— Nie chodzi o genealogję — odparł profesor — lecz o duszę, umytą z wszelkich pleśni przeszłości. Ja na przykład mam to szczęście, że nie pochodzę ze szlachty. Chociaż rodzina moja od kilku już pokoleń jest kulturalna...

— Więc znowu genealogja? — przerwał Stefan.

— Macie słuszość — mówmy o rzeczy. Zaledwie tu przyjechał na przegląd, wynika sprawa zadawnionego i wadliwego typu: kilku obszarników, dobrawszy sobie dla pozorów usłużnego włościanina, zakłada dom ludowy, w którym będą nauczali ślepego posłuszeństwa panom i księżom, urządzają zabawy, jak dla dzieci, odczyty, jak dla idiotów; a w krótko zobaczycie, że w domu zagnieździ się jakiś sklep dla korzystnego zbytu dworskich produktów i spółka

mleczarska dla sprzedaży dworskiego mleka.

— To dopiero zobaczymy — odrzekł Czemski — nie znam całego projektu.

— Wszystkie ich projekty dążą do opanowania ludu, nie zaś do rozwinięcia w ludzie samopoczucia własnej siły organizacyjnej, własnego ustroju. — Czy zapadła na przykład uchwała gminna co do budowy tego domu?

— Nie; urzędowej uchwały nie było.

— A widzicie! Narzucają im swój pomysł, swoje jakieś feodalne dobrodziejstwo za pomocą ugłaskanego Rykonia! To haniebne!

— Phi... zamiar jeszcze niejasny — powątpiewał Czemski — ale skoro akcja niejasna, po diabła mi tam jechać i brać udział w naradzie?

— Jakto?! — aby skierować plan na właściwe tory, albo, jeżeli się wam to nie uda, cały plan rozwalić!

— Rozwalić?... — powtórzył pytająco Stefan.

Przeszedł się znowu nerwowo po pokoju, stanął, jeszcze poczekał i niechętnie jakoś zapytał:

— Jakże to profesor rozumie: skierować na właściwe tory?

Edmund Owocny skulił się, wpatrzył się z natężoną uwagą w swą szklankę herbaty. Tułów krótki, barczysty, głowa i twarz obrośnięte, ale strzyżone ogółem nakształt kosmatej gałki z wytrzeszczonymi fanatycznie oczyma — składały razem postać gnoma — filozofa. Okrągłe to i jędrne stworzenie powinno by, co do swego stylu rysunkowego, mieszkać z latarką, pod grzybem.

Zaczął cedzić przez zęby mniej stanowczo:

— No... skierować na właściwe tory... Czyż was uczyć potrzeba? Pobudzić lud do czynu, jaki się rwie żywiołowo z jego łona... Nie narzucać mu starych form życia, w które się jego duch nowy, historycznie twórczy, nie zmieści... Czytaliście artykuł „Uprzątnąć widma“ w przedostatnim numerze „Ludowca“?

— Czytałem; to ogólniki.

— Jest mojego pióra — przełknął profesor. — Miał sympatyczne oddźwięki w rozumnej prasie i między naszym czytelnikami — otrzymałem list od włościan z waszych stron, Piotra Smagały...

— Nieszczególny człowiek — wrócił Czemski — Pijak i próżniak. Cóż pisze?

— No... cóż pisze — — prosi o bliższe objaśnienia. — Ale tak kończy: „my, ojcuzłku, jesteśmy na każdy czyn gotowi i z wami pójdziemy choć do piekła. Siłę w sobie mamy i chęć. Dawajcie nam tylko światła, a pójdziemy...“ Tak mniej więcej.

— Cóż z tego jest do rzeczy, panie profesorze?

— Poczekajcie... Naprzykład, sprowadźcie na tę radę w Sławoszewie takiego

Piotra Smagałę, albo kilku jemu podobnych.

— To można — błysnął żywiej oczyma Czemski, czepiając się choć jednej rady konkretnej — tylko nie Smagałę, bo nie jest z Mielna, ale innych.

— Oczywiście, znacie lepiej swoją okolicę. I to jeszcze miejcie na uwadze, panie Stefanie: jeżeli kto, oprócz włościan, ma kierować realnie tą instytucją, to jedynie my, szczerzy ludowcy, nie obszarniki i księża.

— A więc znowu zasada kurateli nad chłopem, nie zaś samorzutna ich ewolucja? — rzekł Stefan.

— Zupełnie co innego — odrzekł profesor nie kuratela, lecz pomoc bratnia. My, ludowcy, nie jesteśmy inną klasą, ani nie mamy innych interesów, jak lud. Ja naprzykład jestem zupełnie z ludu... z ludu przyszłości.

— Wszystko to piękne w teorji, ale jak profesor rozumie nasze kierownictwo w przedsięwzięciu cudzem, powstającym bez naszej inicjatywy i bez naszego udziału?

— Właśnie chodzi o inną inicjatywę.

Nadał się profesor od mocnego namysłu i błędnym wzrokiem krótkowidza szukając oczu Czemskiego, zawołał, o ile mógł przymilnie:

— A jakby to było, gdybyście zaproponowali miejsce w Niespusze na postawienie domu naszego typu? — — Wszak nosicie się z myślą oddania waszej ziemi na użytek ludu?

— To jest pomysł! — zawołał Stefan, i oczy mu zapłonęły szczerym zapalem.

— Więc widzicie...

Ale do pokoju wtargnęła Agatka, hoża dziewczyna, z miejska przyodziana, i bez ceremonji zapytała głosem, który ujawniał jej niepoślednie stanowisko w domu:

— A proszę pana, na ile osób ma być obiad, bo już czas o tem pomyśleć?

— Pan profesor zje z nami obiad — odpowiedział Czemski.

Profesor powstał od stołu, zawadził guzikiem o brzeg talerza, ledwie go nie stłukł i, wyciągając rękę w kierunku do młodego głosu gospodyni, rzeki:

— Bardzo mi miło poznać; jestem Owocny — —

Agatka zapytała wzrokiem Stefana i, zachęcona jego skinieniem, podbiegła i podała profesorowi rękę.

— Mój minister spraw wewnętrznych — przedstawił Stefan.

— Powabne sprawy — odpowiedział profesor, opatrując zbliska pełne i zgrabne kształty dziewczyny.

Ona zaś, dobrze usposobiona przyjęciem, zapytała wesoło:

— A coby też panowie chcieli na obiadek?

— Dla mnie wszystko dobre — rzekł Owocny, wznosząc ręce do skroni

nakształt rogów — sam jestem na świecie, nikt o mnie nie myśli, jem, co mi dadzą...

— To pan biedny! — odezwała się Agatka ze współczuciem — no, u nas pan dostanie jeść porządnie.

I ruchem uprzejmym pogłaskała profesora po rękę, aż się działacz rozrzewnił.

— Chcecie panowie krupniku z drobiu?

— Na taki upał? — przymirał się profesor — możeby chłodniczek?

— Ano, kwas jest, śmietana jest, ogórki som — —

— A raki?

— Gdzieby tam! całkiem się od nas wyprowadziły.

— I bez raków dobry będzie, tylkoby dodać trochę cielęciny.

— Może być też. — Potem abo kurczęta, abo schab?

— Kurczęta z sałatką, jeżeli mam wybierać.

Stefan spoglądał pogodnie na tę komitywę, z ironicznym zadowoleniem młodego, pewnego siebie mężczyzny, którego przyjaciółka igra sobie z potworkiem. Dziwiło go to nawet przyjemnie, że Agatka, czasem harda i zbyt obcesowa w obejściu, umie sobie jednać ludzi inteligentnych prostotą i wdziękiem.

Gdy odeszła, Edmund Owocny okazał się zelektryzowanym, pozbył troski o sprawy publiczne i niby odmłodził.

— Dobrze tu sobie żyjecie — mówił do Stefana i ochoczo zacierał rękę.

IV.

Nie pierwszszyną było w Sławoszewie podejmować gości, pamiętano tu zjazdy i po kilkadziesiąt osób — dzisiaj kilkanaście nie napełniło dworu znacznym gwarem, zwłaszcza, że zjechali przeważnie sensaci i statyści z zamiarem radzenia o sprawach publicznych. Zawsze jednak przed wozownią stało kilka cudzych powozów i bryczek, a dym z komina kuchennego buchał obficie. Tylko w samym dworze, po południu, zamiast wesołego próżnowania różnych osób, używających gościny, zasiadło grono skupione do poważnej rozmowy w obszernym, niskim salonie, na meblach w stylu pośmiertnym któregoś z Ludwików. Dwa wielkie lustra naprzeciw siebie ustawione, sięgające od posadzki do sufitu, pomnażały w odbiciach towarzystwo. Na ścianach obrazy ciemne były podobno szkoły holenderskiej, jaśniejsze pochodziły z premiów pism i z wygranych przy losowaniu towarzystwa Zachęty do sztuk pięknych. Przystrój ten niebardzo zajmował radców, czarno i szaro ubranych, lecz paru włościan w białych sukmanach rozglądało się ciekawie w obrazach, a także pani Kara Drobińska, usadowiona na kanapce w kącie, Przenosiła swe piękne spojrzenia ze ściany na ścianę, muskając w tych migracjach wzrokowych coraz to inną postać męską. Druga na kanapie dama, pani Świdowska, bardzo otyła, ze szklami, mozolnie osadzonemi na krótkim nosie, śledziła przebieg obrad z apoplektycznym zapalem. Za głównym stołem, pokrytym adamaszkową serwetą i służącym za biuro prezydjalne, między wytwornym żakiem Leśniowskiego a barwnym, księżackim ubiorem Rykonia, przewodniczył obradom szlachcic — inaczej go nazwać niepodobna — o krótkiej, szpakowatej czuprynie, o postawie i rysach, budzących wizję niezłomnej husarji, pan Jerzy Godziemba. — Józef Broniecki siedział przy drzwiach dla łatwości wyjścia w razie, gdyby go jaki obowiązek gospodarza powołał.

Drzwi były otwarte na mniejszy pokój bawialny, w którego głębi zapuszczona nad innemi drzwiami kotara drgała czasami. Ktoby tam spojrział, zgadłby łatwo, że za tą kotarą ktoś podsłuchuje i podgląda. Był zaś za salonikiem pokój paniński.

Sala rady, poważna i sztywna, była widowiskiem bardzo ciekawem dla pokoiku za kotarą, który Manieczka urządziła sobie na zakrytą lożę. Spuściła rolety okien dla osiągnięcia półmroku i siadła na krzeselku przy rozdwojeniu kotary we drzwiach. Obok krzesła przycupnęła pokojówka, Magda Olczakówna. I dwie dziewczyny, w doskonałym z sobą porozumieniu, bawiły się, jak w teatrze.

— Patrzaj, Magdusiu: ten młody, czarny, co się tak nasrożył, obok tego w sukmanie — to nasz największy nieprzyjaciel! Nie chciał nawet do nas przyjechać — doprawdy! Targował się, stawiał warunki — — dopiero, kiedy mu ojciec pozwolił przyprowadzić paru swoich drabów ze wsi, przyjechał z nimi. — Ale jak ci się podoba? ładny chłopiec, co?

— Ładny, toć przecie nie nowina.

— Znasz go, Magdusiu?

— Któraby tam nie znała pana Czemskiego z Niespuchy? wszystkie zaczepia.

— Taki to on? — no, no — — A tobie, który się najlepiej podoba?

Magda niby obojętnymi oczyma przejrzała salę.

— A już chyba ten, co siedzi za stołem, po środku — —

— Pan Godziemba?! — tak, niby piękny, ale stary. Ja mówię nie jak o obrazie, tylko inaczej — rozumiesz? — — No, któregoś najchętniej pocałowała?

Oj, co też to panienka gada! Rzuciła Olczakówna swą czarną, okrągłą główkę na kolana Manieczki, ukryła twarz w batyście jej sukni, ale panna Broniecka podgarnęła jej rękę Pod brodę i przyjazną przemocą zadarła w górę głowę pokojówki. Mierzyły się tak przez chwilę oczy figlarne, siwe, jasna głowa córki szlacheckiej z oczyma onieśmielonemi, z ponsową twarzą i rozkosznie błyszczącym i zębami córki ludu.

— Co ty, Magdusiu? mnie się wstydzić będziesz? — Czy to pierwszy raz gadamy? — — No, powiedz, któregoś sobie wybrała?

— Oj, joj! — wzdychała jeszcze pokojówka, słaniając się powoli na klęczkach, niby lalka chińska.

Aż rzuciła głową wskazując w kierunku stołu prezydjalnego.

— Co? może Godziembę?!

— To znowu nie — zaprzeczyła Magda.

— Więc któregoś? gadajże!

— Już chyba... Jaśka Rykonია.

Manieczka zastanowiła się głęboko nad wyborem pokojówki i orzekła poważnie:

— Ładny chłop, ale bez wąsów i tak zaciska usta, jakby nie chciał zębów pokazać. — Czemski ma ładniejsze usta i te wąsiki muszą być, jak z jedwabiu.

Zasłuchały się teraz obie. Mówił Godziemba jasno i twardo o koniecznej potrzebie domu ludowego dla Mielna, które dotąd nieposiada sali zebrania, ani sklepu spożywczego, ani nawet porządnej szkoły. Obliczał koszt budowy, wyrażał nadzieję, że tak ludna i bogata wieś łatwo zniesie składkę z morgi; obiecywał też pożyczkę bezprocentową z funduszy ziemiańskich, którymi rozporządzał, i plany gmachu darmo. Czuć było, że mówi na podstawie cyfr

pewnych i pełnomocnictw, które posiada.

Gdy skończył, pan Drobiński zaczął się spierać o wymiary rozmaitych izb i o ich użytek, na co znowu odpowiadał pan Młocki, że trzeba upewnić się najprzód o zgodzie samych Mielniaków, a zatem wysłuchać ich zdania. Znowu Drobiński obstawał przy nakreśleniu uprzednio doskonałego projektu. I trwała przez pewien czas dyskusja dość jałowa.

Dziewczęta za kotarą przestały uważać i powróciły do rozmowy między sobą.

— Jak myślisz, Magdusiu, czy Mielniacy chcą tego domu?

— Widzi mi się, że nie bardzo. Kiedym tam była przedwczoraj, miarkowałam, że Rykoń chce, ale inni to tylko tak: żeby im dom gotowy dać i jeszcze gront pod niego darować, toby wzięli. Naród jest chytry: mówią, że kiedy z panami pospólnie co robić, to panowie bogatsi — niech płacą.

— Ależ dom jest dla użytku wsi, nie dla dworów.

— Już oni tacy, panienko.

Wtem poprosił o głos Stefan Czemski.

— Cicho, cicho, posłuchajmy, co on powie — rzekła żywo Manieczka.

Mówił zapalczywie, chociaż się zrazu hamował:

— Pod jednym względem zgadzam się z wygłoszonem tu zdaniem pana Młockiego, że pierwszą zasadniczą stroną kwestji, a więc i pierwszym punktem dzisiejszych obrad winna być zgoda obywateli, których projekt bezpośrednio dotyczy — włościan wsi Mielna. Właściwie nie zgoda, lecz wola. Czyśmy tę wolę wybadali? Czy wiemy, jaki dom, jaką wogóle instytucję stworzyć chce ta wola zbiorowa, której nawet z głosów paru obecnych przedstawicieli nie znamy? Może oni chcą mieć lokal tylko dla celów towarzyskich? Może wyłącznie szkołę rolniczą lub rzemieślniczą? — Zwykliśmy narzucać braciom włościanom nasze pomysły starożytne, lub naśladowane skąd inąd, nie zawsze zgodne z wolą i z usposobieniem ludu. Lud, gdy chce, wie, czego chce. Gdyby panowie Mielniacy potrzebowali naszej pomocy w jakiejś swojej zbiorowej potrzebie, niewątpliwie udaliby się do nas z własnego impulsu. O tem dotąd nie słyszałem. My zaś, radząc tu o sprawie, jakkolwiek związanej z dobrem ogólnem, jednak nas bezpośrednio nie dotyczącej, dajemy wprawdzie dowód, jak pan prezes Godziemba, tradycyjnej pieczołowitości względem młodszych braci, ale popełniamy też tradycyjny błąd: kształtujemy życie tych braci, kiedy oni nas wcale o to nie proszą, bo potrafią być obywatelami po swojemu, na swoją modłę, niezrozumiałą dla umysłów, nawykłych do zadawnionej szlacheckiej supremacji.

Szmer opozycyjny rozszedł się wśród zgromadzonych; kilku naraz poprosiło o głos.

A za kotarą szepnęła Mańka do Magdy:

— Ładnie mówi ten mój... ten wasz przyjaciel z Niespuchy.

— Zrozumiała panienka? — ja bo ani.

Zanim udzielił żądanych głosów, Jerzy Godziemba skorzystał z prawa przewodniczącego i przemówił interlocutorie:

— Muszę w paru słowach odpowiedzieć poprzedniemu mówcy, a to ze względu na porzytek dzisiejszej narady, której raczyliście mnie szanowni panowie, uczynić przewodniczącym. Z tego urzędu i ze szczerego pragnienia ogólnego dobra śmiem nawoływać, abyśmy się nie zajmowali historjozofją przeszłości i przyszłości, ani rozstrząsali naszych pobudek radzenia tak, lub inaczej. Mamy tu projekt realny, konkretny, który omówić możemy nawet ze stanowiska, które zajął pan Czemski: zapytajmy tego ludu nie o to, czy chce być przez nas „kształtowany“, lecz czy chce mieć w Mielnie dom ludowy projektowanego przez nas typu, czy inny, czy wcale nie chce żadnego. Inicjatywa rzeczy pożytecznej, gdyby nawet pochodziła od wrogów — tak jak w obecnym wypadku pochodzi od szczerych i pewnych przyjaciół ludu — może się zamienić w czyn pożyteczny. Nikt przecie winić nie będzie Poznańczyków, że w swoich urządzeniach praktycznych naśladowali porządki pruskie. Tembardziej nie znajdziemy chyba człowieka, któryby twierdził, że mądre rady Staszica lub Kołłątaja były napiętnowane klerykalizmem, bo pochodziły de facto od księży! — O rzeczy mówmy i jej użyteczności, nie o szlacheckiem, lub nieszlacheckiem pochodzeniu inicjatywy. Rada jest, jak moneta: wszystko jedno, od kogo pochodzi, byle była z dobrego kruszcu. Upraszam więc panów, aby Zechcieli w swych głosach zmierzać do rzeczowego wyjaśnienia sprawy, nie zaś do rozbujania jej na niepewnych falach dyskusji stonniczej.

Zerwał się zaraz Czemski do repliki, ale mu przerwał Godziemba:

— Przepraszam — ma obecnie głos pan Świdorski.

Pomimo katerycznej wskazówki przewodniczącego dyskusja znacznie się roznamiętniła. Nietylko Świdorski, który miał zwyczaj murowania swych wniosków na lapidarnych zasadach, spierał się z Czemskim, ale i cichy Drobiński ozwał się z Protestem przeciwko rozróżnianiu tak jaskrawemu dworu i wsi, niby dwóch ras, mających zgoła odmienne interesy, a nawet Leśniowski w kilku słowach ozdobnych, wygłoszonych jakimś pretensjonalnym akcentem, oświadczył, że jest przyjacielem ludu i w nim widzi przyszłość kraju.

— Perukarz! — szepnęła za kotarą Manieczka — cedzi przez zęby, jak nie swój, tylko skądś przywieziony. Podoba ci się, Magdusiu?

— Ano tak... jak i panience.

Doszedł znowu do głosu Czemski. Rozgrzał się, mając do odparcia atak z kilku stron; trafiło mu jednak widać parę argumentów do sumienia, gdyż w końcu przyznał, że gdyby omawiany projekt powstał „z łona ludu“, niemiałby

nic przeciw projektowi, a na dowód oświadczył, że gotów jest ofiarować kilka morgów z terytorjum Niespuchy gminie Mielno, w razie gdyby gospodarze chcieli u niego założyć jakąś instytucję użyteczną.

Ten wspaniały gest znalazł najprzód odgłos w panińskim pokoiku:

— Widzisz, Magdusiu! Gadał, gadał niby przeciwko, a pierwszy coś daje. Tęgi! co?

Ale rada w salonie przyjęła ofiarę bez zapалу, ogólnem milczeniem. A ponieważ do głosu był zapisany z kolei wójt Mielna, Damian Skierski, pociągnął nosem, pogładził oburącz długie swe, niby nagumowane włosy siwe, koronujące poważnie białą sukmanę — i ozwał się pierwszy głos z ludu:

— Jako miarkuję ze wszystkiego, co panowie radzą, dobre jest dom gromadzki wyszykować u nas w Mielnie, dobre i trochę z tem poczekać. Boć to przecie u pana Naczelnika trzeba będzie dopraszać się o pozwolenstwo i „razreszenie“ na piśmie — i gminny „schod“ trzeba zapytać, co i jak chcieli będą i czy na siebie przyjmą obowiązek z morgi. — A najlepsze to, co rzekł pan Czemski, że nam kilka morgów z Niespuchy podaruje. To te morgi, jeżeliby łaska nastąpiła, przydałby od granicy do naszego pastwiska, które w komasację nie poszło, a chudo go jest dla całej gromady. Będzie, co będzie później, a tymczasem choć nasze bydło się nażre.

— Racja przy wójcie — zawołał zelektryzowany Mateusz Kołaczyński, jeden z tych, których Stefan Czemski przyprowadził z sobą na zgromadzenie.

Ale Godziemba zebrał znowu w mocną garść wymykające się na boki rozprawy:

— Muszę prosić panów powtórnie, aby nie odbiegali od przedmiotu obrad, którym jest wyraźnie dom ludowy w Mielnie, nie co innego. Pan Czemski przez swą krytykę źródła, z którego pochodzi omawiany projekt, a następnie przez szkic projektu zupełnie nowego, zmierza chyba do udaremnienia naszej dzisiejszej narady, gdyż innego celu jego przemówień nie zgaduję.

Czemski prosił o bezpośrednią odpowiedź, powstał i rzekł:

— Nie moja w tem wina, że pan prezes Godziemba, który tak dobrze przenika zamiary ludu, że mu podaje gotowe ich sformułowania, nie może „zgadnąć“ celu moich przemówień, a zarazem zgaduje nietrafnie, jakoby chciał „udaremnąć“ obrady. Pragnę je owszem skierować na właściwą drogę, według mego rozumienia ducha i przyszłości ludu; pragnę wyzwolić lud z pod opieki, gdyż dorósł już do swego pełnoletnia; pragnę...

Szukał przez chwilę jeszcze dosadniejszego określenia swych żarliwych pragnień, gdy Broniecki, porozumiawszy się na migi z Godziembą, wtargnął we środek mowy młodego zapaleńca:

— Pragniemy wszyscy, panie Stefanie! Pragniemy, a będzie nam dano napić

się. Na taki upał nie grzech wcale zdążać do ochłody skroni i gardła pod lipami, gdzie nas czeka dzbanuszek jeden z drugim. Więc nie przedłużajmy rozpraw, bośmy się jeszcze do niczego nie dogadali i nie wiemy naprzykład, co o naszym projekcie trzyma sąsiad Jan Rykoń, a ten już przecie ma niewątpliwie duszę i gębę ludową, i szatki księżackie, i wszystko, co należy do łona prawdziwie ludowego — o! No, sąsiedzie Janie, na was kolej! dobądźcie głosu z łona, abyśmy przestali o was opowiadać to i owo, skoro was mamy tu między sobą.

Zaskoczony przez taki serdeczny despotyzm, Czemski namarszczył się zrazu, ale wkrótce uległ ogólnej wesołości, która zapanowała w sali, i zrezygnował z dalszego głosu.

A Rykoń, wzywany przez gospodarza i przez Godziembę, nie zdawał się onieśmielonym. Tylko twarz, dotychczas skupioną, i oczy siwe, bystro śledzące mówców, rozpogodził teraz uprzejmie. Wstał od stołu, grzecznie się skłonił, a lewą rękę za krawężnik zasadziwszy, mówił:

— Co ja tu jeszcze mam do rady dodać, kiedyście panowie dziedzice i somsiady wszystko już powiedzieli i lepiej, niż człowiek prosty potrafi. To mnie chyba zebrać to wszystko, niby zboże w snop, ziarno z niego wyłuskać, i wedle mego rozumu wybrać to, co nam, Mielniakom, na siew przydatne. A nasamprzaw powiem, że myśl zbudowania w Mielnie domu gromadzkiego nie od kogo do nas przyszła, tylko my ją sami dawno mieli, ja i moi przyjaciele polityczni, gospodarze. Toć mi zaświadczy tutejszy dziedzic, ile to razy wyznawałem mu się ze swojej tęsknoty, żeby to we wsi mieć dom godny, gdzie stary i młody szedłby we święto, albo w zimowy wieczór nie na pijatykę, nie na karty, jeno na pospólną zabawę uczciwą, czy to gawędę, czy to latarnię, czy posłuchać kogo mądrzejszego. A już kiedy dom taki stawiać, to żeby był wielki i wszelkiej użyteczności pełen; żeby przy nim i ochronka i szkoła, i zebrane książki były; a z drugiej strony niechby był sklep nasz własny; a kółko rolnicze gdzieżbyśmy odprawiali, jeżeli nie tam? Potem, da Bóg, i więcej się znajdzie do roboty w tym domu; żeby tylko mury były obszerne, to i ludzi ochota zbierze i myśli im przyjdą. Tera mówi pan z Niespuchy, że nam plac da u siebie. Jeżeli da, podziękujemy pięknie, weźmiemy. Aleć domu gromadzkiego nie postawimy o półtory wiorsty ode wsi, bo nijakiego użytku by nie miał — — jeszczeby łątem pół biedy, ale zimą ani dziecka tyli świat przez pole nie popędzimy do szkoły, ani dorosły się nie pokwapi. Zdawna my już, ja i moi przyjaciele polityczni, upatrzyli dla tego domu gront pusty Gładochowy, wedle kancelarii gminnej, bez gospodarza próżnujący, a który od Krysztofa Gładocha, tego, co w mieście zamieszkał, można kupić za niewielkie pieniądze. Tam niechby stanął ten dom, toby nade wsią górował, niby nasz ratusz, a wedle niego jest miejsce i na rynek, na sklepy różne, na pocztę własną...

Słuchali wszyscy ze skupioną uwagą i patrzyli w twarz Rykonia, która bladła i natężała się coraz energiczniej; oczy ciskały opalowe iskry. — Ale zmiarkował sam mówca, że wkracza w granice dalekiego o przyszłości rojenia, i ton obniżył, powrócił do realnego przedmiotu obrad:

To już gadanie o innych czasach, których niech nam Pan Bóg pozwoli dożyć. — — Tera jeszcze ja tu powiem do swoich ze wsi somsiadów. Kiedyście na radę ściągnęli, radźcież. A kiedy rady nijakiej innej w sobie nie czujecie, bądźcie przychylni tym dziedzicom, którzy nie dla dobra swojego, jeno dla nas Mielniaków tego domu chcą i ofiarują się nam do jego wyszykowania dopomóc. Nie biedaki my, gospodarze, tylko że chudoba nasza cała w tej ziemi, w domach, w żywym i martwym inwentarzu, a grosza gotowego na nową składkę możeby ta w mig i nie znalazł. Toć mówi nam pan Godziemba, który nie tutejszy, ale w szerokim kraju każdemu wiadomy jest i szanowny, że nam panowie ze swoich funduszków ogólnych przyznają pożyczkę na ten dom, a my ją święcie we trzy roky oddamy. I co tu nosem kręcić, zamiast podziękować i brać? Cóż to my z innej gliny powstali, albo z różnych krajów zesłi się na tę polską ziemię, czy co? Zdawna my tu w księstwie Łowickiem każdy na swoim siedzimy, a o poddaństwie, pańszczyźnie, czy jakich krzywdach już i dziadowie nasi nie pamiętają. Tylko jednym ludziom swoim Bóg dał więcej, innym mniej, a kiedy możniejsi spieszą z pomocą mniej uposażonym, toć to według przykazania Boskiego czynią. Od swoich starszych nie wstyd radę brać, ani pomoc. Więc tera mówię wam, panie wójcie i inne somsiady, pokłońcie się panom, jako i ja się im kłaniam z wdzięczności za życzliwe dla nas serca, idźcie na wieś, nieświadomym tłumaczcie, — zwołujmy zebranie gminne i poczynajmy w imię Boże, kiej nam się dzieło pospólnie naraja, a dobre, a niepodejrzane o niczyją zdradę, jako w polskiej ziemi być powinno i czasami bywa.

— Brawo, Rykoń! — zawołał Broniecki i klasnął w dłonie.

Przyklasnęli i inni, szlachta. A Rykoń rozejrzał się po sali i uśmiechnął się szeroko, pokazując białe zęby:

— Ano, kiedy się panom podobало, to chwała Bogu. Żeby tylko wszystkim jednako trafiło —

Mowa Jana podobała się najgoręcej jednemu dziewczęcemu sercu. Magda aż wychyliła się z za kotary, słuchając; czerwona jej twarz z pałającymi oczyma świeciła, jak kwiat wyiskrzony radośnie do słońca. Aż jej Manieczka zwróciła uwagę:

— Nie wychylaj się tak, bo nas zobaczą!

— Bo, widzi panienka, ten ci gadał!

— Dobrze, dobrze — odrzekła Mania, jakby niezadowolona, że Rykoń, nie kto inny, zyskał sobie poklask — dłużej tu zostać nie możemy, już szósta — a

podwieczorek!

Zerwały się dziewczęta i pobiegły do ogrodu, gdzie kamerdyner Ignacy, pływający we fraku niedawno zdegradowanym na niego z tęższych ramion dziedzica, z pomocą kuchcika i paru dziewczek przygotowywał podwieczorek w alei lipowej, która, niechybnym zwyczajem polskim, otaczała kwaterę, dotykającą bezpośrednio do ogrodowego frontu dworu. Właśnie Ignacy ustawił na bitej drodze między lipami dwa stoły, większy i mniejszy, gdy Pędem wpadła w aleję panna Broniecka.

— Poco dwa stoły? — zawołała.

Ignacy, chłop z urodzenia, nabrał w służbie kamerdynerskiej wyższych zasad społecznych, które tutaj zastosował i wyłuszczył:

— Mówił jasnie pan, że zaprosi i tych ze wsi; więc stół dla państwa i drugi...

— Ale nie! zsunąć stoły, żeby był jeden większy — rozkazała bez namysłu Mańka.

Widząc jednak, że kamerdyner ociąga się i głową kręci, Mańka zawahała się i, uznając kwestję za ważną, pobiegła do ojca.

Ode drzwi, przy których siedział, łatwo i bez zakłócenia rozpraw zdołała pociągnąć ojca za rękaw:

— Tatuś! — — Ignacy nakrywa pod lipami dwa stoły, dla nas i dla chłopów. Czy tak ma być?

— Fiksat! — odszepnął Broniecki.

Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, gestem dopełniał swe zdanie, nastawił palce obu rąk dośrodkowo, niby grabie, zgarniał małemi poruszeniami powietrze, nareszcie splótł palce. I dla ostatecznej dobitności dodał kilka słów:

— Kupeczka, córuś! jedność, spójnia i groch z kapustą — rozumiesz?

Po czym rozśmiał się bez głosu, trzęsąc całą staturą, musnął po głowie śmiejącą się też córkę i szybkim skinieniem dłoni odesłał ją do ogrodu.

Mańka z zimną powagą oświadczyła Ignacemu, że ojciec kazał, aby stoły zsunięto w jeden i jednakowo nakryto.

Obrady w Sławoszewie skończyły się uchwałą po myśli przeważnej większości. Postanowiono zwołać zebranie gminy Mielna, któreby projekt domu ludowego urzędownie przedstawiło do zatwierdzenia władzy; Broniecki przyrzekł sprawę poprzeć u naczelnika powiatu, którego „osiodłał“, jak się wyrażał; Godziemba zapewnił pożyczkę w razie, gdyby Mielniacy nie zebrali odrazu składki dostatecznej.

Opozycja jakoś się rozplynęła. Wójt Skierski bez walki przyłączył się do większości. Rzecznicy ludowi, przyprowadzeni przez Czemskiego, nawet obcesowy, lecz małomówny Kołaczyński, pomrukiwali coś niby, że trzymają z Czemskim, że poradzą sami sobie, lecz oszołomieni wymową Rykonia, potem

serdeczną, nikogo nie pomijającą gościnnością Bronieckiego, zaprzestali protestów. Jedyny na głowę pobity, przeto zły i do końca obrad oporny był Stefan Czemski. Gdy po podwieczorku włościanie zbierali się do odjazdu, Czemski chciał się też pożegnać. Nie puścił go jednak Broniecki.

— Bój się Boga, panie Stefanie! Pierwszy raz tu jesteś, nie uczynisz despektu sąsiadowi, zjeżdżając do niego tylko na mielenie gębą, niby kauzyperda. — Sąsiedzi z Mielna jeszcze też posiedzą — co?

Ale zbliżał się zachód słońca, odezwał się Rykoń:

— Toćby tu siedzieć można, jak u króla Piasta, co to aniołów u siebie gościł. Jenó my nie aniołowie, cudów nie mamy na zawołanie jutro skoro świt trza nam stanąć do żniwa.

Owacyjnie przyjęto ten piękny komplement, a Broniecki rzekł do Rykonia:

— No, kiedyście tacy zawzięci na wasze żniwo, nie zatrzymuję. A pszeniczka niezżęta, wiem.

— I sypie się już, panie dziedzicu, na taki żar!

Więc Rykoń pociągnął za sobą wszystkich włościan. Znowu Czemski wyrwał się do wyjazdu pod pozorem, że przywiózł z sobą Kołaczyńskiego, więc nie może go teraz skazywać na powrót piechotą. Zaoponował na to Broniecki.

— Niech bierze waszą bryczkę i odeśle ją do Niespuchy. A moje koniki aż parskają z ochoty do przejażdżki nocą, o chłodku.

Przemówił nagle Jan Godździk, wielki podobno fizyk, ale tak uporczywie kryjący swą mądrość, że ani słowem przy obradach się nie odezwał. Mówił z grubą, staromodnie:

— Po cus to panu brykę zabierać, co? Nie może to Kołacyński zabrać się z wójtem, co jadą sami w półkosku, kiej ten omętra — no!

Nie było rady — musiał Czemski zostać. Został nawet z pewnem zadowoleniem. Chociaż zasadniczo zwyciężony i wrzący protestem przeciw „omotywowaniu ludu przez zacofaną szlachtę“ — tak to sobie z przyzwyczajenia formułował — doznawał też przyjemnego wrażenia od promieniejącej tutaj pogody duchowej. — „Ludzie głupi i zaspani zawsze są pogodni“ — próbował dowodzić — ale zaprzeczał znów sobie, stwierdzając, że nie głupi jest Broniecki, chociaż wszystko w żart obraca, ani Godziemba; tego „mamuta“, przeciwnika i zwycięscę w dyskusji, mocno nie lubił, lecz nie mógł mu nie przyznać konsekwencji i magnetycznej jakiejś mocy. Zato z innych stron doznał zadowoleń miłości własnej, jakby w nagrodę za porażkę parlamentarną. Leśniowolski, młodzieniec gładki i gdzieś tam, jak zapewniał, w uniwersytecie kształcony, siadł obok Czemskiego przy podwieczorku i zaczął rozmowę o przyszłości socjalizmu w Niemczech. Wprawdzie mętne miał o tem pojęcie, ale

gadał, niby z profesorem, słuchając pilnie wyjaśnień i sprostowań W każdym razie człowiek dobrze wychowany.

I panie przy stole były z urody i z zachowania się zajmujące. Czernski znał dawniej tylko panią Świdorską, przyjaciółkę ludu, spotykaną nawet w kołach radykalnych, lecz należącą do płci obojętnej; ale pierwszy raz widział te dwie: panią Drobińską, piękną brunetkę z wymownymi oczyma, i córkę gospodarza, świeże dziewczątko jasnowłose. Obie zajmowały się nim bardziej, niż Leśniowski, kawalerem pokaznym, synem bogatego obywatela. Nawet pani Kara okazywała mu wyraźną ciekawość bliższego poznania jego sposobu życia, poglądów, zamiarów i obyczajów — i to z pewną natarczywością, która zdawała się zadziwiać Bronieckiego, pilnie śledzącego jej ruchy i słowa. Czy tam coś łączy tych dwoje? — zgadywał nawiasem Czernski.

Stefan był dość mocno przeświadczony o swym uroku męskim, ale mało znał kobietę. Miał lat dwadzieścia pięć, niedawno skończył uniwersytet, Pochłonięty był przez plany stosowania swych teoryj. Kobiety chciał traktować po napoleońsku, jako chwilę rozkoszy, mało jej poświęcając czasu. Ta zasada nastęrczyła mu jedynie łatwe zdobycze w rodzaju Agatki; o misterniejszych kobietach nie miał prawie wyobrażenia; patrzył na nie z wysoka, jak mu się zdawało, a rzeczywiście — oczyma dziecka.

Poznane dzisiaj dwie kobiety uznał instyktowo za pojętne, ale oceniał przez okulary swej szkolnej mądrości. Pani Drobińska jest istotnie, jak to mówią, „warta grzechu“, panna Broniecka zaś wręcz przeciwnie: warta raczej cnoty, ustatkowania się, małżeństwa — — Zabawnie byłoby spletać figla Drobińskiemu, safandule, klerykałowi, prezesowi dozoru kościelnego — — Milej jeszcze mieć taką świeżą, dzielną żonkę, jak Manieczka — — Ale oba te zadania nie dla niego, człowieka idei i czynu! To kasta zacofańców, obszarników, wyzyskiwaczy ludu, skazana na zagładę i wymarcie. — Pilno mu do swoich ludzi.

Był zamyślony, nieco tajemniczy, jednak przytomny i w miarę rozmowny; sprawiał wrażenie i ściągał na siebie powszechną uwagę, co go utwierdzało w mniemaniu, że znajduje się między obcymi.

Trochę wino, trochę wieczór letni sprawiały, że nieufność, istniejąca między ludźmi sztucznie do siebie uprzedzonymi, rozluźniała się powoli. Przyroda cudotwórcza, głaszcząc wszystkich narówni powiewem lubego dobrobytu, wygrzewała, z ludzi kielki społecznej życzliwości. Pachnęły silnie miody na lipach i miłosne wonie świeżego siana, ciężkie jak mgły, błędziły po trawnikach. Aż milkła rozmowa, taki koncert dalekich gwarów, chichotów, poryków rozegrał się o zachodzie słońca.

Po wyjeździe włościan zawitał ksiądz Kajetan Mlecz, proboszcz z Mielna;

wycelował swój przyjazd na ukochanego bridge'a i na kolację. Był to człowiek ogólnie tolerowany dla swych zalet i wad sympatycznych; nie nawracał nikogo, ani zbytnio gorszył, nie wymagał też od swych parafjan żadnych cnót heroicznych, ani gorliwej obserwacji, przestrzegał tylko pilnie pobierania należnych Kościołowi podatków w formie dziesięcin od większych obywateli i opłat za obrzędy religijne od drobniejszych owieczek. Ale przy poborach stosował pewne względy i ulgi. Znano w okolicy dużo gorszych księży.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — zabrzmiało pozdrowienie proboszcza krzepko i radośnie.

— Na wieki — odpowiedziało parę głosów.

— Mamy więc bridge'a — pomyśleli Drobiński i Świdorski.

— Jest i klecha! Komplet wybornego towarzystwa — mruknął przez zęby Czernski.

Zaraz zaciągnięto do kart i Młockiego, który ulegał czasem tej pokusie.

— W taki cudowny czas grać w karty! — ubolewała pani Drobińska, zerkając z obawą w stronę pozostałych mężczyzn.

— A cóż, pani dobrodziejko? — odrzekł proboszcz — zagramy sobie na werendzie albo przy otwartych oknach. Wieśniacy jesteśmy, już nam ta piękna natura spowszedniała, jak woda rybnie!

— A kiedy woda księdzu Kajtusowi obrzydła, może mu do kart postawić zieleniaczka? — Pytał Broniecki proboszcza.

— Coś mokrego nie zawadzi po upale.

Ze względu na spóźniony podwieczorek wieczerza miała być późno w nocy. Tymczasem kompanja młodszych używała świeżości ogrodu, majestatycznego pod wysoką zorzą pozachodnią. Symetryczny przy domu, ogród wpadał dalej w tak zwaną „dziką promenadę“, gdzie wąska rzeczulka płynęła między starymi drzewami. Tam podążyły młode panie, Kara i Manieczka, w towarzystwie młodych mężczyzn, Leśniowskiego i Czernskiego. Broniecki, niepoprawnie kochający młodzież, musiał jednak dla proporcji towarzyszyć powolniejszemu z konieczności spacerowi otyłej pani Świdorskiej i Godziemby.

— Czy będzie księżyc? — zapytała pani Kara, wodząc powłóczysem spojrzeniem nie po niebie, lecz po oczach mężczyzn.

Nie wiedział ani Czernski, ani Leśniowski, tylko Manieczka wyjaśniła, że księżyc jest po pierwszej kwadrze i stoi już tam za drzewami, ale blady, bo jeszcze jasno od zorzy.

— Panowie nie gospodarze? — dodała, zwracając się do Czernskiego, chociaż najbliżej asystował jej Leśniowski, który też odpowiedział:

— Owszem, owszem, proszę pani. Tylko siedziałem teraz dłużej w mieście, gdzie się mało zważa na księżyc.

— A pan, panie Czemski? — nalegała Mańka.

— Ja? — rzekł Czemski, odrywając się od wymiany spojrzeń z panią Drobińską — ja także gospodaruję. Ale mam pilniejsze zajęcia; na tym kawałku ziemi w Niespusze zastępuje mnie mój pomocnik, Durmaj.

— Jak się nazywa?! — zachichotała pani Kara.

— Maciej Durmaj, włościanin — odrzekł Czemski z powagą, jakby wymieniał nazwisko jakiego dostojnika.

— Znam i Durmaja — wtrąciła Mańka — nietęgi gospodarz.

Powiedziała to z takim rezolutnym wdziękiem, że Czemski, zamiast się obrazić za swego karbowego, zapytał pogodnie:

— To pani zna i włościan okolicznych?

— Dlaczegożbym ich znać nie miała?

— Bo daleko z wielkiego dworu do chat.

— Parę wiorst, albo kilka kroków. Mamy Wszędzie włościan około siebie.

— Służących.

— Służących i sąsiadów. — Czy pan myśli, że ja nie jestem... postępową?

— Nie zgadłbym... ale skoro pani zapewnia... — skłonił się Czemski z uśmiechem pobłażliwym.

I zwrócił się do pani Kary, z którą w parze Poszedł naprzód.

A Leśniowski, jakiś naraz ukontentowany, towarzyszył panie Bronieckiej, ociągając się coraz bardziej za tamtą parą. Gdy się nieco oddalili, uczynił cichą uwagę:

— Ten pan jest trochę zarozumiały...

— Ma rację — odparła Mańka.

— Jakto?

— Bo tak.

Leśniowski przymrużył oczy z dystynkcją i, korzystając z wyższości swego wychowania, gładko i uśmierzająco zaczął mówić:

— Tak, on jest ludowcem i ma naturalnie w głowie mnóstwo teoryj o ludzie. Ale żeby stosować je praktycznie, trzeba, tak jak pani i ja; jak my wogóle, szlachta zrośnięta z wsią znać ten lud. Ja na paru folwarkach, które mi rodzice oddali, starałem się zaprowadzić najlepsze stosunki z ludem. Rozszerzyłem ich mieszkania, założyłem ochronkę...

— To się wszędzie już robi dla parobków dworskich — zauważyła Mańka.

— Naturalnie. Ale ze wsią właściwą, z gospodarzami, nie uwierzy pani, jakie my mamy przyjemne stosunki. Do mego ojca przychodzą włościanie sądzić się, zapraszają go na każde większe wesele — — A podczas rozruchów 1905-go i 6-go roku, które pani może z dziecinnych wspomnień pamięta, na całą okolicę u nas tylko, w Kościeliskach, nie było strajku. Przyszli parobcy do dworu

„dopraszać się łaski”, dodało im się po korcu ordynarji — i na tem się skończyło. Wsie nasze...

Nie bardzo pilnie słuchała Manieczka, śledząc ciekawie dwie ciemne głowy, Czemskiego i pani. Kary, zbyt ku sobie nachylone.

— Wsie nasze są prawdziwie wzorowe pod względem uświadomienia chłopca. Zdarzyło mi się rozmawiać z włościanami tak przyjemnie, ale to tak przyjemnie i swobodnie...

Droga tu dochodziła do rzeczutki i szła dalej jej brzegiem. Manieczka stanęła nagle i, wskazując na przeciwległy brzeg wody, zawołała:

— Patrz pan! — tam! tam! — robaczki świętojańskie w trawie. Tak późno, a jeszcze są.

Na ten okrzyk odwróciła się i druga para, na przedzie idąca, zeszli się wszyscy i jęli przypatrywać się dwom świetlikom, które tam, za rzeczka, wdzięczyły się fosforycznymi iskrami.

— Żebyście panowie wiedzieli, jak to ślicznie wygląda w naszych włosach! — zawołała pani Kara.

— A tak, próbowałam — jak brylanty! — powtórzyła Mańka.

— Leśniowskiemu strzeliła do głowy myśl rycerska: przyniesie te żywe brylanty swojej damie, Cofnął się o kilka kroków, wziął rozpęd i przesadził zręcznym skokiem dobry sążeń rzeczutki.

Zaledwie panie zawołały „brawo”, już pędził ku rzeczce Czemski i przeskoczył ją nie gorzej od Leśniowskiego. Osadzili się jeden na prawo, drugi na lewo od miejsca zjawienia świetlików i pochyleni pilnie szukali ich w trawie; ale robaczki, może zatrwożone wstrząśnieniem gruntu, zgasiły swe latarki.

Wtem rozległ się tętent potężny na drodze, plecami młodej kompanji, i zadyszane wołanie:

— Cze... czekajcie!

Odwrócili się wszyscy Broniecki, jak koń rozbiegany, pędził na wodną przeszkodę. — Krzyknęły zlekka damy, mężczyźni, szukający w trawie odskoczyli od siebie, bo groźny ciężar celował między nich dwóch. Dopadł wody, zawisnął nad nią imponującym balonem i osadził się aż za daleko na tamtym brzegu. Pobiegł jeszcze parę kroków pochyło, lecz nie upadł, odwrócił się triumfalnie i deklamował urywanym głosem przed oniemiałymi słuchaczami:

— Bo widzicie... Godziemba mi prawili... że nie nam już skakać — — Taki głupi rowek — spróbujcie tam dalej... ja i tam...

Dopiero teraz Manieczka, widząc, że ojciec wyszedł z niezwykłego manewru bez szwanku, zawołała rozżalona:

— Co tatuś najlepszego zrobił! Zaorał butami właśnie tam, gdzie siedziały robaczki!

— Jakie robaczki? — dziwił się Broniecki, rozglądając się po butach i po ich głębokich śladach w murawie.

— Dwa świętojańskie robaczki były właśnie w tamtem miejscu.

— O psia —! — powstrzymał pan Józef w pół drogi ulubione przekleństwo — a panie chciały do włosów? Znam to, znam! lubi pani Kara paradować, jak Djana, z kawałkiem księżycy na główce — — Nic to, znajdziemy więcej, kiedy się ściemni.

— Gdzież tam! — sprzeczała się Manieczka — pod koniec lipca? — To były dwa ostatnie!

Tymczasem Godziemba i pani Swiderska zrównali się z towarzystwem i wszyscy wzięli udział w śmiechu z powodu wesołej tragedji.

Czemski, jakby przy skoku otrząsnął z siebie ciężką i sztywną zbroję społecznika, poczuł się naraz wesołym i zadowolonym. Powróciła mu niedawna studencka fantazja, ożywiły się oczy wśród śniado zarumienionej twarzy, roztrzęsły się włosy na głowie w wyższe i mniej regularne pasma, zęby z pod ciemnego wąsa raz po raz łowiły blask zorzy wieczornej. Mówił, śmiał się nareszcie, jak młody, niepomny przybranej pozy.

Wtedy Manieczka nabrała przekonania, że trzeba się z Czemskim porozumieć wyraźniej, i, korzystając z chwilowej konstelacji przechadzki, pozostała z nim na końcu pochodu.

— Słyszałam, jak pan przemawiał na zebraniu.

— Słyszała pani?! nie była przecież w sali?

— To moja rzecz, gdzie byłam, ale słyszałam wszystko. I rozumiem pana stanowisko.

— Czyżby pani była mojego zdania przeciw całej ogromnej większości?

— Nie zupełnie. Ale podobało mi się, że pan mówił z zapalem — — jak student.

— Doprawdy? — miernie ucieszył się Czemski — a pani mnie ocenia ze stanowiska... profesora?

— Nie, nie — zaśmiała się Mańka bez urazy — ja także jestem studentka.

— Bardzo mi przyjemnie poznać koleżankę. Podajmy sobie ręce — —

— Owszem! — i nie na żarty — odrzeka serdecznie Manieczka, wyciągając dłoń do Stefana.

Aż klasnęły złożone dłonie, aż obejrzeli się starsi na dwoje młodych, co oni tam wyprawiają przy zapadającej nocy.

V.

W tydzień później Stefan Czernski jechał po północy od stacji kolei do Niespuży.

Wracał z Warszawy, gdzie napisał się tak zwanej „publicystyki”. Rekapitulował przeżyte wypadki.

Redaktor „Ludowca”, nadąsany na równoległe działanie „Ojczyzny” w sprawach ludowych, starał się dowiedzieć w artykule pod tytułem „Zatory”, że nietyle system rządowy hamuje uświadomienie ludu, ile stek przesądów, przechowanych w obozie „Ojczyzny”, z których istne barykady układa ten wrogi organ wpoprzek rwącej rzeki postępu. Przechodząc od alegorii do rzeczy, dawał do zrozumienia, że redaktor „Ojczyzny” jest podejrzany o zмовę z rządem, może z policją? — i poświęca sprawę publiczną dla podtrzymania swej mocno zakwestionowanej nieomyślności „papieskiej dla owieczek, lecz niezdolnej uśpić czujności psów pasterskich”.

Zagrzmiał nazajutrz redaktor „Ojczyzny”, bijąc alarm na zdradę kraju i oblekając się w najwspanialszą swą togę, ozdobioną znakami zasług obywatelskich; nie omieszkał też skorzystać z nieostrożności przeciwników, którzy sami nazwali się psami, i zdefiniował ich rasę..., jako żydowską.

„Monitor Codzienny”, organ pojednawczy, streszczając w dwa dni później polemikę „Ludowca” z „Ojczyzną”, nazwał ją „wysoce znamienną”, gdyż każda ze stron wypowiedziała się do głębi swych przekonań i zmusiła najobojetniejszych nawet obywateli do namysłu nad sprawą, która „Monitorowi” oddawna leży na sercu. Zacytował Wreszcie genialną strofę wiersza X:

„Co jest pszenne, w mąkę miś!
Co miłością — w serce weź!”

Postawił tę maksymę zamiast wniosku, który można było rozumieć, jak się komu podobało.

Pomimo tę pacyfikację „Monitora”, posypało jeszcze dużo replik i duplik, oraz artykułów Pism pomniejszych, z których każde wlażyło innemu na kark, aby okazać swą wyższość. Doszło nawet do paru wyzwania, ale że żaden z Horacjuszów, ani z Kuracjuszów nie został nawet do krwi zadraśnięty, wrogie obozy stoją dotychczas jeden przeciw drugiemu, gotowe dalej rozjaśniać sprawy publiczne.

Czernski przez tydzień warszawski zmęczył nerwy, czuł kwas i żółć w ustach.

Fizycznie tęsknił do wsi, ale na wsi czekała go także walka, i to z tymi, z którymi tak sybarytycznie obcował w Sławoszewie! Mielno wymyka się z pod wpływu — trzeba będzie zwowu drzeć się, odrabiać, Zamiast budować. — — —

Parę gwiazd na wschodniej nieba stronie, gdzie już świt się przecierał, przypomniało mu naśle robaczki świętojańskie w ogrodzie Sławoszewskim. Rozśmiał się:

— Jak ten stary sadził przez rzeczkę!

A zarazem dobry zapach pól dyszących świeżością nocną, sprowadził wspomnienie dwóch kobiet. Te groszki czy kąkole więdnące, podcięte razem ze zbożem, pachną, jak pani Kara... A ta płowa Broniecka niczem nie pachnie? Owszem, trochę, jak miód koniczyzny...

Lecz i te kobiety, zapewne nie zdolne do żadnej pracy społecznej, należały do sfer i ponęt zakazanych.

Wolno mu było tylko kochać przyrodę rodzoną, obejmującą go przenikliwie mądrym spokojem, przyrodę bezpartyjną. — Jak tu cicho! — — pospały się już i sprzeczne chóry żab i monitory — derkacze; na krańcach widoku różaniec chat, świecących zielonkawo ścianami, nakrytych siwymi strzechami pod światłem księżycowem. To Mielno, ogarnięte snem bez wszelkiej agitacji, bez jednego ogniska nerwowego czuwania. Stróżują poprzód wsią topole, śpią stojąc, pod czubami srebrnymi. I tylko jedna przez ten kraj snu kołacze się bryczka Czemskiego, konie opuściły głowy senne, nie ściągane lejcem drzemiącego woźnicy, nogami szłapią chyba automatycznie. Sam tylko spać nie może Czemski, choć upojony durem spokoju i woni, bo w myślach się nie pogodził z przyrodą bezpartyjną.

I dworek w Niespusze zamknął wszystkie powieki okiennic. Nie widać nawet stróża nocnego, tylko pies czujny przychodzi, łaszac się do znajomego pana, woźnicy i koni poziewających.

Zadzwoił Czemski, grzmotnął potem kilka razy pięścią we drzwi niecierpliwie. Po ich otwarciu ukazała się w sieni Agatka, zaledwie czemś na koszuli obrzucona, ze świecą w ręku.

— Cicho, panie, profesor śpi.

— Jaki u licha profesor?

— Ano ten, co już był. Miałam go za drzwi wyrzucić, czy jak?

Zgrzytnął Stefan zębami; należał mu się nareszcie odpoczynek od osób, kierujących ludem! Z nietajoną złością pytał dalej:

— Gdzież go w trzymałaś?

— Gdzieżby? — do pana pokoju, jak tamtym razem.

— Do stu diabłów! przecie i ja chcę spać! Agatka, przywykła do różnych humorów Stefana, nie ulękła się, owszem, uśmiechnęła się troskliwie i poufale:

— Pościelę panu w kancelarii... albo może do mnie?...

Oczy jej błysnęły fosforycznie — — Popatrzył na nią Czemski pogardliwie:

— Nie — daj mi pościel do kancelarii.

* * *

Nie dospał, bo słońce zazierało niebronną do kancelarii już od godziny czwartej. Skoro tylko oczy otworzył, zamiast radości przebudzenia, tak promiennej za młodu i w słońcu, doznał przykrego uczucia, że coś go gnębi. Tak jest — profesor!

Zajrzał do sąsiedniego, sypialnego pokoju. W zacisznym cieniu spoczywał mędrzec na wznak, odymając swą krótką postać środkiem wygodnego łóżka. Twarz jego bez okularów przypominała jakąś włochatą, prosto z ziemi dobytą okopowiznę — burak pastewny. I w pokoju panował mdły, obcy zapaszek.

Pomimo obowiązującej gościnności i szacunku, należnego zasługom pokrewnego działacza, Stefan czuł w sobie niecierpliwe wrzenie: trzebaż nareszcie mieć choćby jeden dzień wolny, odpisać na listy, obejrzyć przynajmniej własne gospodarstwo!

— A co mi nagada ten warchoł... no nie — zawsze porządny człowiek — to już wiem z góry.

Do kancelarii weszła bez pukania Agatka, wyświeżona, pachnąca dobrem mydłem, które Stefan przywiózł dla siebie z Warszawy.

— O, mój Boże, jak się pan wymizerował!

— Et, pleciesz! — Daj mi kawy.

— To nie razem z profesorem?

— Niech sobie śpi jak najdłużej; nie mam do niego wcale interesu.

— On zaraz wstanie; ma nawet przy sobie taki zegarek z dzwonkiem. O szóstej wstaje legularnie, pije kawę, a o siódmej chodzi se codzień piechotą do Mielna.

Czemski zdumiał na dobre:

— Jakże dawno on tu siedzi?

— Będzie już trzecia... nawet czwarta noc, że u nas sypia.

— Któż ci kazał przyjmować go tutaj na mieszkanie?

— Bo to z panem kiedy co wiadomo? — rzekła Agatka, dyndając komicznie mocnymi biodrami — myślałam, że przyjaciel polityczny, jak to mówią.

Miała właściwie słuszość. Cała wina, niedelikatność, bezczelność pochodziła od profesora.

Wtem rozdzierający głos budzika zaalarmował z sypialnego pokoju. Czemski rzucił się do drzwi uchylonych, zamknął je ostrożnie i cicho, desperacko

rozkazywał Agatce:

— Daj mi prędko wodę i ubranie. Nie chcę widzieć, aż się i on ubierze. — —
Gdzie on kawę pija?

— Do łóżka mu przynoszę.

— Dawaj do łóżka, tylko przez inne drzwi — masz tam wejście od kuchni.

— Dobrze! leczę!

Zafertała się Agatka ogromnie widać uradowana z pomnożenia męskiej kompanji we dworku.

Ubierali się przyjaciele polityczni w dwóch sąsiednich pokojach na wypródkę, Agatka zaś, zwinna jak fryga, nosiła dzbanki, ubrania i wieści między pokojami. Dowiedziawszy się o przyjeździe Czemskiego, profesor Owocny zapragnął śniadać pospołu; więc Stefan, odpowiadając na to życzenie, kazał podać kawę na ganku, obecnie zacienionym, na świeżem powietrzu.

Gdy się tam zjawił, już profesor czekał; nadzwyczaj mało używał czasu na ubranie; zdawało się, że cały jego aparat toaletowy nakładał się odrazu, jak futerał, poczem na twarz lekko spryskującą Wchodziły okulary. Był też zawsze ten sam, jak spżu ulany, tylko dzisiaj nadzwyczaj radosny i rumiany. Szukając wytrzeszczonemi oczyma oczu i dłoni Czemskiego, przemówił:

— Nadużyłem waszej gościnności dla bardzo ważnych spraw, które się wyłoniły niespodziewanie w okolicy.

— Ależ proszę — odpowiedział zrezygnowany już Czemski. — Jakież to nowe powstały sprawy?

— Jeżeli pozwolicie — potem. Pijmy najprzód klasyczną kawę nieocenionej panny Agaty. — Niema jej tutaj? — dodał, wietrząc raczej, niż szukając ślepemi oczyma.

— Niema. Pijmy kawę.

— Co to jednak wieś! — rzekł po kilku łykach profesor — jakie balsamy!

— Doskonale! — myślał Stefan, popijając także — jakoś go wieś udobruchała i oniemiała. Nie będzie mi tyle głowy suszył „sprawami”.

Ale z profesorem trudno było właściwie mówić o czem innem; na szczęście długo nic nie mówił, pijąc i jedząc łakomie. Gdy skończyli, odezwał się Czemski:

— Mówiła mi Agatka, że profesor ma zwyczaj odbywać codzień rano przechadzkę do Mielna?

— Przechadzkę? — nadał się Owocny — tak się to zdaje niewinnemu dziewczęciu!

— Chce pan powiedzieć: Agatce? Ona jest dosyć... cwana.

— Ej, nie wierzcie temu — odparł profesor — rozmawiałem z nią sporo temi dniami: to natura kryształowa... Bo, że, myśląc o swym losie, poszła za jednym i

drugim mężczyzną, to mnie przecie nie gorszy. Nie jestem starożytnym moralistą...

— Ho, ho! — Uśmiechnął się Stefan — widzę, że profesora zajmują kobiety?

— Cóż? człowiek nie jest wyłącznie maszyną do myślenia o pożytku cudzym, drogi panie Stefanie.

— Zapewne... Pójdziemy więc do Mielna? co? — odprowadzę pana tylko do mojej granicy, bo mam trochę roboty dla siebie.

— Chodźmy — —

Zaledwie wyszli za okólnik folwarczny, zaczęli sobie znowu chwalić urok odpoczynku na wsi po nerwowem życiu miast.

— Ta polemika „Ludowca” i jej kulisy, w których się błąkałem, zmordowały mnie — mówił Czemski.

— Jaka polemika? — zapytał ciekawie Owocny.

— Jakto?! nie czytał pan artykułu „Ludowca” pod tytułem „Zatory” i odpowiedzi „Ojczyzny” i znowu replik? — — nie zna pan całej chry?! —

— Nie znam — bąknął profesor.

— Miałeś pan przecie choćby „Ludowca” w Niespusze — —

— Nie czytałem.

— Cóżżeś pan więc tu robił? —

Spoglądał z podziwieniem na twarz Owocnego, podobną do mordy czerwonej żaby. Oczy, zwykle wybałuszone zagadkowo, mrugały teraz niby wstydliwie. Po chwili odezwał się:

— Miałem bardzo pilne zajęcie w Mielnie.

— Ale przecie... czy pan nie był w Warszawie od czasu, jak się poprzednio widzieliśmy?

— Nie byłem — wykrztusił profesor. — Rzeczywiście, może zanadto zabrnąłem w tę sprawę lokalną z uszczerbkiem centralnych...

Zdjął kapelusz i podrapał się po szczecinie, Przez którą świeciła lakierowana różowa czaszka.

— Powiedzcież mi w krótkości, o co tam poszło?

— A nie! mam tamtego dosyć. Niech sobie profesor odczyta dzienniki, które zebrałem i przywiozłem. — Wolałbym się dowiedzieć, co tak ważnego jest do roboty w Mielnie?

— Jakżeż! nie rozumiecie? — zawołał profesor, odzyskując swą niezależność — ta wasza uchwała Sławoszevska jest bezecna — trzeba ją odrobić!

— Znowu tam bezecna! — wzruszył Czemski ramionami — może niezupełnie pomyślna, ale gdyby nawet dom stanął staraniem Bronieckich, Godziembów i Rykoniów, można go potem pilnować i wziąć w swoje ręce.

— Nie, panie Stefanie! Przekleństwo urodzenia nie pozwoli temu domowi

rozwinąć się w przybytek myśli odrodzonego ludu. Narzuca im przecie swoje warunki, wezmą w niewolę księżą i szlachecką. — U podstaw, u korzenia trzeba podciąć ten jadowity porost! — Zdawał mi sprawę z tego matactwa Jan Goździk, który tam milczał, ale pilnie słuchał. Mówiłem i ze Skierskim, i z Kołaczyńskim. Znajdziemy wielu innych prawdziwych włościan, nie obrobionych przez szlachtę! Nie przekupią ich, jak Rykon! A rozsądek naszej myśli we wsi tak wielkiej i bogatej, jak Mielno, to nie bagatela, to sprawa lokalna, ale bardzo ważna, panie Stefanie!

Zapał profesora nie udzielał się Czemskiemu. Szedł z pochyloną głową, nie odpowiadał. Owocny, po wypaleniu oracji, trochę ustał, ale gdy się już zbliżano do granicy Niespuchy, zagadnął ciekawie:

— Powiedzcież i wy, jak tam było w Sławoszewie? — Kiedy już profesor wie wszystko od Goździka i innych —

— Ale niby... jaka atmosfera, jaki dwór, jakie przyjęcie?

Czemski odetchnął: będzie można mówić wreszcie o czymś ludzkim, mniej zaprawnem nienawiścią.

— Jaka atmosfera? — zaczął — życie wiejskie, duża kultura ekonomiczna — — oprócz włościan zebranie ludzi typowe, myślące o swoich dochodach i o zabawie. Wiesz pan przecie, kto był — — Nie brakło i księdza.

— Ksiądz? był i ksiądz?! — nie mówiono mi o tem!

— Przyjechał już po obradach proboszcz Mlec. Ale cały czas tylko jadł, pił i grał w karty.

— No, to jeszcze mniejsza — uspokoił się Owocny — był na swoim miejscu.

— Poznałem też parę pań, dwie ładne: panią Karolinę Drobińską...

— Wiem, wiem! — — Ja ich przecie znam wszystkich! Bywałem u nich, chciałem z nimi pracować, ale kiedym się przekonał, co to za jedni, że zawsze pójdą za podszeptem swego interesu klasowego, porzuciłem ich i stworzyłem własny kierunek... Znam ich, znam! — — Ta Drobińska, żona kretyna, klerykała.

— Dobrze — odparł Czemski — to on taki, ona przecie nie jego krewna z urodzenia.

— Przypuśćmy, że inna, A druga ładna która?

— Córka Bronieckiego, już dorosła.

— Widziałem! — zawołał profesor z rosnącym zapałem — przejeżdżała tędy niedawno; wysoka, czarna, sucha...

— Ale gdzież tam! — przerwał Stefan prawie z oburzeniem — świeżutka blondynka, raczej okrągła, średniego wzrostu.

— Może być; ja, rozumiecie, mam wzrok trochę... Więc do którejże tam

dobieraliście się?

— To znowu nie — odrzekł Czemski z pewnym niesmakiem — panna Broniecka jest na wydaniu, ale nie za mnie. Mocno rezolutna, nie uszanowałaby powagi samego profesora, gdyby go spotkała — ale wcale nie głupia i nawet tak... wygląda na dobre dziecko.

— Jednym słowem: ananas nie dla nas. A ta druga, Drobińska?

Czemski parsknął nerwowo. Zapomniał, że profesor nie jest stosowny na powiernika. Przedmiot go uniósł.

— Ta... wie pan? — — jakby to powiedzieć? — — Gdyby uczynić jej stanowczą propozycję, uciekłyby od męża dzisiejszym kurjerem. To się czuje...

— Prawda?! — zawołał profesor rozpromieniony — kiedy kobieta ma do nas pociąg, to się czuje...

Czemski odął wargi pogardliwie, spoglądając z góry na drobnego towarzysza, który się z nim równał, jako zdobywca kobiet. I przerwał rozmowę.

Ale Owocny rzucił nagle zapytanie, dziwnie brzmiące w jego ustach:

— Jakiego jesteście zdania: czy, zmawiając się z kobietą... cudzą, należy natychmiast uprzedzić o tem dotychczasowego jej towarzysza, czy... post factum?

Zdziwiony Czemski aż się zatrzymał w przechadzce:

— O jakim towarzyszu pan mówisz: o mężu, czy o kochanku?

— Wszystko jedno — to kwestja formalna. Jakżeście uczynili na przykład z Agatką, biorąc ją od tego proboszcza? — — Bo podobno od proboszcza? — —

— A, wie kochany profesor, że to pytanie... Jakoś to się stało... sama chciała zmienić służbę.

— Ale proboszcz nie chciał? co?

— Może i nie chciał. Byłem od niego młodszy...

— Ha! — zawołał Owocny z pewną goryczą — więc za rozstrzygające uważacie tu prawa młodości?

— Bywa tak, bywa inaczej; niema w tych sprawach kodeksu — odrzekł Czemski trochę niecierpliwie.

I ponieważ dochodzili do granicy Niespuchy, pożegnał profesora aż do obiadu, po którym Owocny miał nareszcie wyjechać do Warszawy.

Tymczasem, powracając do domu, Stefan rozmyślał:

— Nie poznaję mego profesora — — miałem go za maszynę do wyrabiania teorii, ale zarazem za gorliwego działacza. A on tu siedzi tydzień dla agitacji w Mielnie w sprawie przesądzonej... nie wie wcale o burzach w swym obozie... i filozofuje na tematy, wcale mu nie przystojne... W piątkę goni, czy co? — — —

VI.

Wiedział Czemski, że 20 sierpnia ma się odbyć w Sławoszewie wyjątkowo świetne okrzęzne, które się poniekąd należy służbie folwarcznej i najemnikom, bo zboża zebrano dużo, a robota była ciężka z powodu upałów. Wiedział także o zaproszeniu osób, które nie brały udziału w dworskim żniwie. Z Mielna miało pojechać na tę ucztę kilku gospodarzy z żonami i córkami, będą tam najbliżsi sąsiedzi Sławoszewa: Drobińscy i Świderscy. On, Czemski, nie dostał zaproszenia, czemu się nie dziwił, bo nie nawiązał dotychczas towarzyskich stosunków i raz tylko był w Sławoszewie na owych obradach przy końcu lipca. Ale miał szczerą chętkę zobaczyć wielkie okrzężne.

Jakiej on właściwie słodyczy życia zażywał na wsi, siedząc w swym dworku bez ogrodu, nie zajmując się bezpośrednio rolą, ani hodowlą, żyjąc ideą, o której rzadko z kim mógł nawet pogadać. Przecie nie z Agatką! — Chyba, że odwiedził go ktoś ideowo spowinowacony — byle nie znowu profesor Edmund Owocny; tego miał tymczasem dosyć! — Rozwijać propagandę pośród ludu było trudno, nawet w tem ogromnem Mielnie. Gdyby tam naprzykład stał już dom ludowy, gęsto odwiedzany, wtedy co innego: możnaby spotkać wieczorami, lub w święto gromadę ludzi. Ale teraz? — — chodzić po chatach pustych w dzień, śpiących od zmroku w ten czas natężonej roboty — —? Do karczmy Czemski iść nie chciał.

Od niedawna stały mieszkaniem wsi, przyzwyczajony do życia miejskiego, które karmi ciągle mózg mnóstwem spotkań i wrażeń towarzyskich, nie umiał jeszcze dobrze żyć po wiejsku, czyli posnać się z przyrodą. Nie posiadał też po temu dobrych warunków w Niespusze. Mieszkał niby w typowym domu przyszłego włościanina, ale nie miał żadnych jego zajęć. Włościanin przyszłości będzie przecie formułował ani rozpowszechniał idei, tylko z niej, już wcielonej, korzystał. Ma być człowiekiem, mądrze działającym, nie „działaczem“. Zaczynał to spostrzegać Czemski.

Młodemu potrzebne pole wesołości, przyjazna kompanja, pobudka do wymiany myśli i uczuć. Więcej jeszcze — chce mu się poezji żywej, czegoś szczytnego, co drga w sercu niewysłowione, nie tylko samotnych pragnień i cudzych wzruszeń, spisanych w książkach. O, naprzykład w Sławoszewie życie jest bujne, słodkie i użyteczne zarazem, boć to i najlepsze gospodarstwo w powiecie, i siedlisko rozkoszy w porównaniu z Niespuchą! — — Jaka szkoda, że nie mieszka tam ktoś, ideowo pokrewny! Byłoby Eldorado — —

W takich namysłach tonąc od czasu pierwszych odwiedzin Sławoszewa, a

gdy się zbliżał dzień dożynków, Czemski rozważał projekt, który chciał ułożyć misternie, lecz w istocie bardzo prosty: pojechać do Sławoszewa z wizytą sąsiedzką, nie na żadną sesję, i wybrać przypadkiem dzień 20 sierpnia — — ? Trochę to będzie przezroczyste i nazbyt skwapliwe — Broniecki nie oddał mu jeszcze wizyty — no, i pierwsze odwiedziny w Sławoszewie były tylko z powodu narady nad domem ludowym. — — Niby dobrze i trochę źle, jak w każdej sprawie ludzkiej.

Czemski, zazwyczaj łatwo się decydujący, wahał się w tej konjunkturze. Wreszcie zbuntował się przeciwko własnemu wahaniu:

— Do licha! nie jestem w zakonie, ani w wojsku. Wolno mi odwiedzić ludzi, którzy nie są przecie zdrajcami kraju.

I pojechał do Sławoszewa po południu, dnia 20 sierpnia.

Im bliżej do wielkiego dworu, tem weselej było na drogach od jaskrawości ubiorów, białych i czarnych sukman, kapeluszy męskich, okolonych pstrokaczną tasiemką, staników kobiecych, sypiących iskry haftami i bursztynami, głów wykwitających, jak zawiązki owoców z obłonek. A niby herbowa tej ziemi barwa, ogniście żółta, tęczowo pręgowana, błyskała zewsząd z ubiorów mężczyzn i kobiet. Unikając kurzu, ciągnęli ostrożnie zatrawionemi skrajami gościńca, pod cieniem sokorów, albo ścieżkami, przez pole wąsko udeptanemi. Jechał i długi wasąg, obrzucony na siedzeniu herbowym łowickim kilimem, pełny radosnej drużyny.

A przez okólnik dworski dziewczuchy, wystrojone jeszcze piękniej, śmigały raz po raz pędem, jak rozszalałe cewki, dziergające szarą osnowę w pijane wzory.

Gdy Czemski zajechał przed drewniane kolumny podjazdu, ujrzał odrazu na ganku zgromadzonych domowników i gości, już widać oczekujących dożynkowego pochodu. Zaledwie wyskoczył i zdołał wymówić pół zdania, określającego, cel wizyty bezinteresowny, już go Broniecki ocmokał powietrznie po obu policzkach i oniemiał zniewalającą wymową:

— Zuch z pana Stefana! Nie dzikus namurmuszony, za jakiego chciał dotąd uchodzić. Wie, czem radość sprawić sąsiadom, którzy już tak się na tej ludnej polskiej ziemi znarowili, że człowiek łgnie do człowieka, gdy się chce poweselić. No, chodź-że bliżej, kawalerze miły, i chlipnij z nami tego złocistego „renia“, którym studzimy sobie upały. A jest w nim niby jakaś słona duszyczka, która się wybiera do nieba zalotnem bulkotaniem... O, zobacz i spróbuj — —

Manieczka ucisnęła dłoń Czemskiemu mocno, jakby młodszy kolega, i nagle roziskrzoną twarzą zaświadczyła, że cieszy się szczerze z przyjazdu. Pani Kara Drobińska wzrokiem, mieniącym się od rzewności i ciekawości, zapytywała: „czy dla mnie?“ — Swiderski i Drobiński przywitali się uprzejmie, wójt Skierski z uszanowaniem, a nawet ksiądz Mlecz wydał się Stefanowi nieszkodliwym w

swej promieniejącej uciechą życiową postaci. Poczuł się zadowolonym Czernski pośród otaczającej go życzliwej ludzkości, radował się i śmiał, Jakby odnalazł w tych prawie nieznanym — dawno szukanym bliźnich.

Po półgodzinnej żywej gawędzie na ganku, wzmożony gwar i chichoty od strony zabudowań folwarcznych zwiastowały wybuch święta. Przydrgnął pod ganek pastuch Kobuzek, wywijając nad głową nieodstępną lisią czapą, niby dworski błazen:

— Proszę jaśnie pana... proszę jaśnie pana... chcom iść — —

— Niech idą! — odrzekł mocno Broniecki, zapiął i obciągnął na biodrach granatowy surdut kroju wojskowego i stanął między dwiema kolumnami.

Wytrysnęło z ciszy parę głosów kobiecych, jaskrawo niezgodnych, rozdzierających uszy, tak elektrycznych, że dreszczem dotkliwym ucięły po skórach słuchaczy. Dziecko jakieś zapłakało, przerażone.

— Skrzeczą dziewczuchy, jak sójki na deszcz! — rzekł Broniecki do bliskich siebie, trzęsąc brzuchem nie bez emocji.

Powoli pieśń harmonizowała się, rosnąc. Prym wiodącej starej Walentowej, już podpiłej, ktoś zatkał gębę, wypłynęły na wierzch głosy czyste, same kobiece, uczynił się pisk mniej więcej zgodny, surowy i ostry, ale już przyjemny, jak bez stada owiec. Tylko słów jeszcze nie można było wyrozumieć. Stugłowy pochód płynął do ganku, radując oczy natłokiem barw jasnych.

Dwie przodownice, ubrane przepyszenie, niosły na głowach wysokie, zamknięte korony: pszenną i żytnią, a czując się widać kapłankami obrzędu, szły w skupieniu, sztywne i uroczyste. Jedna wybrana dla swej piękności, Kaśka Jagiełłówna, była służącą u pisarza; druga mniej ładna, Zosia Pełczanka, dostała wyboru dlatego, że była córką karbowego.

Teraz już można było zrozumieć słowa pieśni. Zwrotki zrywały się z pojedynczych piersi i ciągnęły za sobą stopniowo chór tłumny, rozlewały się po ogrodzie i podwórzu, jak wielkie westchnienia rozkoszne.

A roztwórzcie, strózu, szeroko wierzeje,
Bo już się na polu pszeniczka nie wieje —
Plon niesiemy, plon — —

A roztwórzcie, strózu, dworskie okiennice,
Prowadzimy przecie z pola przodownice —
Plon niesiemy, plon — —

A nasz jaśnie dziedzic niemały, nieduży,
Stoi se na ganku, kieby kwiatek róży —

Plon niesiemy, plon — —

Broniecki śmiał się, niedowierzał pochwale swej świeżości, zachęcał do dalszych przyśpiewków; osobistych.

Zaśpiewano dla Manieczki:

U naszej panienki puchowe poduszki,
Zjeżdżają się swaty od granicy pruskiej —
Plon niesiemy, plon — —

Ale potem zabrakło trochę pomysłów. Panią Drobińską i księdza proboszcza porównano znowu do róży. — Gdy jednak Wierzbowski, wyprzeziwszy pochód, stanął na gankowych schodach, wiecznie do konia ubrany, Broniecki zawołał:

— Cóż będzie na pana rządce?

Zaraz huknęła Walentowa:

U naszego rządcy poły cości kuse,
Bo ze sztuki sukna dużo dał dziewczusze —
Plon niesiemy, plon — —

Rozśmieli się wszyscy, oprócz przodownic, które, przejęte swem stanowiskiem, spocone pod ciężarem koron, stały wciąż kamiennie. Nareszcie powołał je do siebie Broniecki, zdjął wieńce z głów i wsunął w rękę po złotej monecie.

Potem krótką miał przemowę dziękczynną do swych pomocników w gospodarstwie, zakończoną sułtem rozdawaniem nagród pieniężnych.

Był to dopiero pierwszy akt uroczystości. Nastąpić miał poczęstunek, tańce w opróżnionej wozowni i jeszcze uczta w nocy. Broniecki lubił wogóle wielką skalę w zabawie, jak i w robocie.

Kiedy już fala ludu odpływała od ganku, dali się dopiero widzieć zdaleka gospodarze z Mielna, Rykoń, Workowski i Selwestrowicz, zaproszeni na okrężne, jak i wójt Skierski, który już siedział na ganku. Broniecki zawołał:

— Cóż to sąsiedzi kryjcie się, jak pokraczne panny? Nie łaska do nas tutaj?

Zaczem swobodny i piękny Rykoń, ospowaty Workowski i sążnisty Selwestrowicz, wszyscy w białych sukmanach na kompletnym stroju łowickim, przyszliz wolno do ganku, zajęli miejsca i napili się pałacowego wina. Byli to, razem z wójtem, bogacze i wiejscy statysci.

— A gdzież to Kołaczyński, Orlik, Maryniak? Nie zabrali się z wami? — pytał Broniecki..

— Nie widać jakoś — odrzekł Rykoń.

Workowski, który oczy miał świdrujące, zwrócił się do Czemskiego:

— Już to pan wie, dlaczego nie przyszedł Kołaczyński, albo i Maryniak — —

— Nie wiem, nie mówiłem z nimi o tem — wyparł się Czemski.

Broniecki zaś urwał tę rozmowę, stawiając inne pytanie:

— A wasze żony? córki? — nie mówię tu do was, Janie, bo wy się na przeora w Miedniewiczach kierujecie, jak słyszałem.

— Ej tam, zara na przeora, panie dziedzicu! — odrzekł Rykoń, — człowiek i tak służyć może Bogu, gdzie go postawił.

Okazało się, że bab i dzieci nie przyprowadzili gospodarze na okrężne. Dwie tylko córki najstarszego Selwestrowicza, hoże dziewczyny, wmieszały się już w grono młodzieży.

Gdy wkrótce Mielniacy poszli odwiedzić rządcę i Wierzbowskiego, Czemski trzymał się jeszcze donieckiego, który mu zaimponował swą reżyserską umiejętnością i pewną władzą nad ludem. Nietylko czeladź, lecz i niezależni sąsiedzi gminni z ochotą poddawali się przewadze wesołego pana na Sławoszewie; kobiety z zapalem całowały go po rękach, wszyscy patrzyli mu w oczy z zaufaniem. Szlachcic całował co ładniejsze dziewczyny po głowach i skroniach, bronił się od przyjmowania nadmiernej czołobitności parobków, witał sąsiadów gospodarzy ze wspaniałą swobodą, panował faktycznie nad zgromadzeniem.

Czemski tak się bał pochlebstwa, że z powodu tej obawy zapomniał często o uprzejmości. Pomiął tedy dodatnie wrażenia, których doznał, i wystąpił z krytyką:

— Jednak ten lud niezupełnie zapomniał jeszcze tradycji poddaństwa — —

Broniecki zerknął trochę ironicznie na pełnego teoryj młodzieńca:

— Pozwól mi pan nie zapominać tych tradycji, które tu pan widzisz. Cóż ja? orzę niemi, czy ich karmię i uczę? Jak sądzisz, panie Stefanie?

— Nie, nie... ja wcale nie o panu — cofał się Czemski — mówię o ich nawyknięciach, o ich biernej uległości dworom, o pewnej uniżoności...

— Tere-fere, panie Stefanie! Rykoń nie jest uniżony, ani Workowski na przykład. A innych będę tam uczył, czy mają mi się kłaniać do ziemi, czy tylko do pępka? Furda! panie znawco ludu! Wolę ich uczyć czytać, pisać i orać. Lubię ja ich i oni mnie; grzeczny jestem dla nich i oni dla mnie po swojemu — cała rzecz w tem.

Czemski zamilkł, choć mu do głowy przychodziły restrykcje. Broniecki przekonywał go jednak pogładowo do niektórych sposobów porozumiewania się z ludem.

Odezwał się zdaleka skoczny brzęk bębenka z przygrywką skrzypiec.

Manieczka zatrzepotała się do tańca.

— Powoli, córuś, powoli! — powstrzymywał ją pan Józef — oni tam dopiero próbują instrumentów; jeszcze pierwszy poczęstunek nie mógł się skończyć. Przynieś-no lepiej te paczki dla dziewczyn i dzieci.

Furknęła Mańka w głąb domu i zaraz powróciła z Magdą, ubraną dzisiaj wspaniale po chłopsku; każda niosła po kilka papierowych pudełek, Broniecki otworzył największe, nabrał z niego różnobarwnych szpulek z nawiniętymi na nie wstążkami, napchał sobie kieszenie, a nie mogąc pochłonąć całej zawartości pudła, zwrócił się do Czemskiego:

— Bierz pan także; to nasz wydział, a panie zajmą się rozdawaniem cukierków dzieciom. Ksiądz Kajtusia nie będę tam ciągnął, ani panów Piotra i Leona, bo już widzę, jak się chyłkiem skradają do karciat — kostery!

— Bo i prawda — odpowiedział proboszcz — nas tam nie potrzeba: tańcować nie będziemy, a ludek mamy zawsze z sobą.

Zatem ksiądz Mlecz, Drobiński i Świdorski Pozostali w domu, szukając sobie rozkosznego miojsca na partię „z dziadkiem”, a Broniecki z Czemskim i paniami poszli ku wozowni, przed którą na świeżem powietrzu odbywał się poczęstunek.

Gadał tam gwar paruset rozweselonych głosów, nabrzmiały grubem dogadywaniem karbowych, dziergany brzękiem i piskiem instrumentów, przegrywających już na ochotę. Przy dwóch stołach zastawionych gąsiorami z wódką, bułkami i porcjami smakowitej kielbasy z czosnkiem, dwaj karbowi nalewali raz po raz kieliszki „czystej“ dla chłopów, „słodkiej“ dla kobiet, przystępujących dwiema kolejkami do stołów. W kolejce męskiej panowała raczej powaga, ale w kobiecej było dogadywań i chichotów co niemiara. Jedne „wstydzono“, że piją, drugie do picia namawiano. Zwyczajnie młódka stawiała przed karbowym ze spuszczonemi, albo zasłoniętymi ręką oczyma, wychylała potem kieliszek niespełna, resztę chlustała o ziemię i uciekała szybko w stado. Starsze zaś baby szły do picia odważnie; gruba Walentowa już trzeci coś raz:

— Dajcie-no, Wawrzon, chłopskiej, bo me już słodka mgli...

— A to przebierzcie się w portki, jeżeli się w które zmieścicie — odpowiedział karbowy, lecz mimo to nalał czystej.

Walentowa przełknęła gładko i zaraz ochrypłym głosem zaśpiewała:

Prosimy Wawrzona o większy kieliszek.

Bo nam przeszłoroczny nie doszedł do kiszek.

A karbowy monitował znowu cisnących się zbyt skwapliwie do kolejki:

— Nie napirajta mi na stół, bo się wywali. Z bruku będzieta wódkę lizać — co?

W tej wesołej bójce o „wodę życia” brała udział tylko służba dworska. Gospodarze zaproszeni stali na uboczu z rządcą.

Gdy dostrzeżono dziedzica, gwary i dogadywania ucichły. Ale Broniecki, któremu dobrze było w gwarze bachicznym, nie chciał go przerywać. Zbliżył się do barwnej, nabitej grzędy dziewczyn i, dobywszy z kieszeni szpulę, zawołał radośnie — snadź lubił tę zabawę z dziewczynami, jak dziewczyny lubią wstążki:

— No, sikorki, która mi pierwsza złapie w garść szpulę i pokaże — jej wstążka!

Nad głowy stadka cisnął całym rozmachem szpulę, przytrzymując koniec wstążki w drugiej ręce; czerwony wąż furknął i zamigotał w powietrzu.

Podniosło się kilkanaście rąk, rozległ się pisk tak rozigrany, jakby wszystkie naraz dziewczuchy ktoś załaskotał po żebrach — — Z zakotłowanego stadka wytrysła po chwili zaciśnięta mała pięść Kaśki Jagiełówny.

— Ja! ja!

— Aha! przodownica! — śmiał się do łez Broniecki — łatwo takiej, bo śmigła, jak topola. No, zwijaj-że ją sobie do kieszeni. Teraz druga — —

Puścił serpentynę, tym razem zieloną; ominęła ta jakoś nastawione ręce dziewczyn i upadła na ziemię, Rzuciło się po nią kilka na klęczki.

— A nie potargajcie się tam, panny, przed tańcem! — Nawoływał wesoły rozdawca.

Wkrótce wyniosły się nad głowy dwie naraz ręce, kurczowo zaciśnięte około szpulki:

— Proszę pana — zawołała płaczliwie jedna z dziewczyn, walczących o wstążkę — ona mi z rąk wydzira!

— No, masz tam drugą taką samą — cisnął Broniecki szpulę bez węża.

Znowu niebieską wstążkę chwyciła w lot Stańczakówna, a „bladą” Świątkowska.

— Rzucaj-że też, panie Stefanie! — zapraszał Broniecki.

Czemski spróbował, ale choć silnie rzucił, nie rozwinął węża, uderzył szpulą Jagnę Banuszanę, stojącą w pierwszym rzędzie, aż się poskrobała w ramię, ale szpulę podniosła skwapliwie.

— Musiał pan się wprawiać do tego sportu? — zawołał Czemski z przekąsem.

— Nie, kawalerze. Talencik! talencik do ludu, widzi pan — o!

Szmyrgnął znowu węzowym rzutem, aż zawarczało. Ale gdy szpulę dosięgła po raz drugi Kasia Jagiełówna, Broniecki zaprzestał rzucania i rozdał resztę wstążek dziewczynom do rąk, podstawiając tym, które w lot chwyciły, ich zdobycz. jako naddatek.

Teraz pani Kara i Manieczka rozdawały cukierki dziatwie roślejszej, skorej już do biegu i chwytania, i zupełnie drobnej, do której przypadły matki, forytując im do obłowy rączyny. Namnożyło się tam cichej, osłupiałej rozkoszy i smakowitego mlaskania.

Pastuch Kobuzek, wielki muzykant, który dotąd rzępolił tylko zcicha na skrzypicy od czasu do czasu, jakby na oskomę do tańca, urznął nagle od ucha oberka. Zawtórzyły drugie skrzypce Antka Nowotnego i basetla Dzieciola, pomocnika organisty, a w bębenek zadudnił Franciszek Wąs, który głuchy był, ale takt trzymał niechybnie, miarkując po ruchach reszty muzykantów.

Więc posypała się młodzież ku otwartym narozcież trzem bramom wozowni, a Kasia Jagiełłówna, ośmielona przez swą godność przodownicy, przysłała zaprosić samego pana dziedzica do rozpoczęcia z nią tańców. Pocałowała go w rękę, i w całym blasku swej urody, podniesionym przez piękny, archaiczny strój łowicki, oczekiwała na zgodę. — Broniecki pokręcał węża, wpatrywał się dość długo w niebieskie oczy, uciekające spojrzeniami na boki, w niecierpliwe do śmiechu usta dziewczyny, jakby się namyślał, czy nie będzie przy niej śmieszny w tańcu. Wreszcie, zwracając się do Czemskiego i pani Kary, rzekł:

— Jakże tu odmówić, gdy zaprasza sama Katarzyna Jagiellonka?

I poszedł z nią w taniec wstrzemięźliwy, jednak regularnie odmierzony, z ochoczym podrygiem, z lekkim hołubcem, z zatoką prawej nogi oznaczającą przyklękanie.

Poznając swój taniec, wyrywały się już do niego inne pary, lub patrzyły z serdeczną aprobacją na dziedzicowe płasy, a niejednen pod nosem już i w takt podśpiewywał.

Wicek od cugowych koni, wyrostek, jak świeca, wypomadowany godnie i w butach od lakieru, lustrzanych, pokłonił się pięknie panience do tańca. Nie namyślała się Manieczka ani chwili. — Wicek drobił z początku, kręcąc głową i wypatrując miejsce i chwilę popisu, aż jak zarwał od kąta na odsiebkę, obleciał całą wozownię w samych przykłęczkach. Manieczka, mocno w tył przegięta, z rozwianym od wiru warkoczem, dopisała wybornie tancerzowi.

Zerwały się inne pary, teraz już hurmem. A że pod ściany natłoczyło się widzów, więc uczynił SLS tłum, którego ośrodek wirował kołem tanecznem. Taniec postępował parami w koło powoli, cały w lekkich podrygach rąk i ramion, czasem tylko ochocza para, upatrzwszy trochę luzu, wyrwała się do kilku rozhasanych obrotów i powracała znowu do zacieśnionego ordynku.

Pani Kara i Czemski, nie tańczący oboje z różnych powodów — ona, że miała zbyt obcisłą sukienkę, on że z zasady (?) nie tańczył — stali poza wozownią. Ale przez bramy otwarte patrzyli na obraz płynący: pasiaste wełniaki łowickie, jednobarwne jupki gostyńskie, bławaty na białych koszulach kobiet,

amarantowe lub ciemne z błyszczącymi guzikami lejbiki mężczyzn — sunęło to wszystko oślepiającym korowodem.

— Ostatecznie arlekinada! — odezwała się pani Kara, sądząc, że ta uwaga podoba się Czemskiemu, który patrzył namarszczony.

— Wie pani, że nie powiem... ma to wiele charakteru i żywiołowej estetyki. Widzę po raz pierwszy takie okrzęzne.

— Tak, to rozumiem pana zaciekawienie. Ale naprawdę dosyć pierwotna zabawa.

— Jednak zabawy pierwotne dają najsilniejsze wrażenia — rzekł Czemski, spoglądając wesoło na panią Karę.

A ona chwyciła w lot nitkę ciekawszej konwersacji:

— Gdy są szczere, silne i uprawiane przez ludzi wyrafinowanych — —

— Przestają już wtedy być pierwotnymi — oponował Czemski.

— A mnie się zdaje, że można brutalność zabawy połączyć z finezją uczuć, a nawet... zmysłów.

— Można rzecz nazywać, jak się chce, gdy się jej chce —

— Albo nie nazywać wcale, tylko... iść za swym marzeniem, za instynktem — dodała pani Kara głosem rozedrganym.

Patrzyli sobie w oczy, ona romantycznie, on ciekawie, oboje nie bez ironji.

Wtem z tanecznego tłumu wypadł Broniecki zhasany, a za nim Manieczka z głową obwiązaną chłopską „salinówką“, i Magda pokojowa bez chustki na włosach. Panna była rozbawiona ogniem; czerwona chusteczka przy jasnej sukni czyniła ją podobną do chłopki.

Napadła bez ceremonji na Czemskiego:

— Czy się pan nie wstydzi?! — Taki młody i żeby nie tańczyć! Chodź pan — zatańczymy.

— Ależ ja nie mam pojęcia, zwłaszcza o tym tańcu — tłumaczył się Stefan energicznie i wesoło, ujęty śliczną postacią i swobodną życzliwością Mańki.

— To tak łatwo! o! niech pań patrzy — —

Na bruku podjazdowym do wozowni wykonywała solo w takt muzyki, unosząc trochę sukienki, aby okazać zgrabne trzewiki, rzeźbiące popisowo oberka.

— No, niech pan spróbuje — —

— Może później? — wypraszał się Czemski z pokornym, jak na niego, uśmiechem.

— Dobrze, później, bo teraz bardzo mi gorąco. Widzi pan: włosy mi się rozleciały od zawracania na odsiebkę, wzięłam na głowę chustkę od Magdusi —

—

Niesztucznym swym, ale szczerym wdziękiem pociągnęła ku sobie

Czernskiego, który bez namysłu podążył za nią ku dworowi.

A pani Drobińska, idąc wolniej z Bronieckim, goniła doświadczone, trochę niechętnym spojrzeniem tamtą parę zmówionych nagle z sobą sprzymierzeńców.

— Rozruszał się nasz filozof z Niespuchy — zauważył pan Józef.

— Nic szczególnego — odeła usta pani Kara — ma się za filozofa, którym nie jest, i ogromnie pewny swego uroku.

— To i do kochanej pani trochę, że się tak: wyrażę, tokował?

— Żeby mu tylko pozwoliła — —

— Ci młodzi, to cielęcina; prawda, pani Karusieńko?

— Sama przecie zawsze to mówię — —

Blady, ale dobrotliwy uśmiech zakwitł na jej twarzy, zwróconej łaskawie do przyjaciela, który gorąco ucałował jej rękę.

Odtąd trzymali się razem, Czernski zaś z Manieczką. Trzej sąsiedzi grali zawzięcie w bridge'a.

A na balu włościańskim rosła coraz ochota w miarę zbliżania się ochłody i rozkoszy nocnej. Już zapalono w wozowni dwie lampy ścienne, oświetlające słabo, zato tajemniczo, taneczne koło. Lecz salą balową stawała się cała okolica, folwark, ogród, drogi, osadzone drzewami, pola rozległe tu i owdzie aż po las, za którym zgasła wielka lampa dnia, zostawiając na niebie jaskrawą, już tęskną, już rozmarzającą zorzę. Taniec w wozowni przycichał, mdlał, znowu zakipiał i znowu mdlał — czeredy polotne i rozchichotane, pary ciche rozchodziły się szeroko po ziemi parującej woniami, powracały znowu do środka pospólnej zabawy, gdzie głośno lub mżąc odzywała się muzyka. I nie zliczyć tych wszystkich uciech, tych mocniejszych, niż uciecha, pragnień, które wzbierały w piersi tej i owej, a niby krzyki ciche pobudzały rozedrganą pierś tłumu. Dusze i zmysły powinowate szukały się nawzajem, każda istota miała coś do zwierzenia innej, a także ze zbiorowego szczęścia pragnęła swego udziału. Rodziły się zaś i miłosne plany zupełnie określone, powstawały starania i zabiegi.

— Jeżeli się dziś nie zmówię z Jaśkiem Rykoniem — myślała Magda Olczakówna — to już nie wiem...

Miała trochę roboty we dworze przy panience i pozwołoną zabawę w wozowni; więc raz po raz przebiegała przez podwórze, na podziw strojna i piękna, w szatkach swych ludowych, dobranych wybornie gustem dworskim — i starała się zaczepić Rykonia. Najgorzej, że się trzymał ciągle z poważnymi gospodarzami i z Wierzbowskim, którzy nie tańczyli. Więc wszystkie zalotne spojrzenia i migania się Magdy przepadały, bo tylko rozsiewał się do niej Wierzbowski, zdawna już na nią łakomy, a to nie było jej po myśli. Nareszcie przydybała Jana, zaglądającego do wozowni, gdzie znowu tańce się wzmogły. Dopadła go i dygnęła przed nim dworską modą:

- Proszę pięknie pana gospodarza do tańca.
Uśmiechnął się zębami i oczyma, a młodo, a uroczo:
— Ii... co mnie tam? Już zapomniałem.
— A żeby was nasza panienka poprosiła w taniec, tobyście poszli?
— Nie poszedłbym. Jeżeli już, to ze swoją.
— To chodźcie — —

Obejmowała go prawie wyciągniętymi ramionami. Jan chwycił ją nareszcie mocno w pól — poszedł w taniec. Spostrzegłszy takiego dostojnika w białej sukmanie, muzykanci dobyli z siebie żaru i urznęli od ucha polkę, wiele par przestało się kręcić, aby ustąpić Rykoniowi miejsca. A on krążył swobodnie, gracko, jakby nic innego nigdy nie robił, aż radował wszystkich patrzących nie mniej, jak kiedy dziedzic poszedł w taniec. Pyszniły się parobki i dziewczuchy, że sam Rykoń z Mielna z nimi się pospolituje. I ktoś z wielkiej uciechy huknął figlarny przyśpiewek do polki:

Nie daj się, dziewczyno,
Z rozumu wywodzić,
Bo ci ładnie i przystojnie
We wianeczku chodzić.
Biegaj do ogrodu,
Przypatrz się makówce,
Jak jej ładnie i przystojnie
W wianeczku na główce.

Gdy skończył taniec Rykoń, choć nagabywany przez wiele innych tancerek, wyszedł z wozowni. Olczakówna czepiała się go za ramię, to go w pól brała, jakby chcąc swój triumf okazać jak najszerszym kołom.

— Oj, dobrze z wami, Jaśku! — mówiła szeptem miłującym — wzięlibyście mnie do siebie w dom, to jużbym wiek cały ostała.

— Nie pora mnie żenić się — odparł stanowczo Jan.

— Ja na służącą do was pójdę, na wszystko, co każecie — —

Rykoń spojrzał jej w oczy bystro i z zajęciem:

— Kiedy to tak letko mówicie, to już wy chyba nieraz godziliście się na cudze chęci?

— A nie prawda! Znacie-li kogo takiego, cobym mu się pozwoliła, to gadajcie!

— Nie znam i nie moja rzecz — — jeno wy mnie do nijakiej potrzeby: w chacie matka siedzą i wszystkiego pilnują.

— Toć trzymacie dziewczkę, Anastazję?

— Tyle tylko, że popychadło.

— Jabym na ten sam kawałek chleba do was się zgodziła.

Zdaje się wam, Magdalena... Życie u mnie smutne, a wy już tu przywykli do łatwego: z panienką se gadać, ubrać się — jak do pana, to po pańsku, jak do chłopca, po chłopsku. I nie grzech — tylko wy już nie na służącą do gospodarza.

Ledwie nie zapłakała Olczakówna; przejrzał ją chytry Jan, że dla niego się wystroiła, podejrzewa ją, może słusznie, o zalotność — —

— To mi wymawiacie, że się po naszymu ubrała?

— Gdzie zaś?! nie grzech, mówię. I wyglądacie, jak ten pierwszy kwiat, co go się ujrzy na wiosnę.

Pocieszyło to znacznie Magdę, zwłaszcza, że Rykoń błysnął zębami wcale inaczej, niż wypadało surowemu moralistcie.

— A kiedy kwiatek, czegoż się ode mnie boczycie, jak od pokrzywy?

— Brałbym ja was, Magdusiu, za żonę i za matkę dzieciom, żeby mnie wolno było — —

— Wam nie wolno? cóż to?! — zadziwiła się bezmiernie Olczakówna.

— Kiedy człowiek sam sobie czego zakazuje, najtwardszy zakaz jest.

— Ale mnie powiecie, dlaczegoście tak poanowili? — wdzięczyła się całą siłą swej ponęty, całym żarem spojrzenia.

— Nie powiem.

— Jabym na szczęście i zbawienie duszy się zaklęła...

— Nie trzeba, Magda, bo nie powiem.

Stała znowu Olczakówna przed czymś niepojętem, co broniło dostępu do Rykonia.

Ustawiano na krzyżakach długie stoły pod gołym niebem, przy szpalerze grabowym. Bezwietrzna pogoda pozwalała nawet na zapalenie lamp. Nakryto regularnie na pięćdziesiąt osób samej starszyny z wieku i z urzędu. I nowy gatunek zamętu na podwórzu, przycichnięcie muzyki w wozowni — zapowiadały nowy oddział uroczystości. Kuchnia pałacowa i czeladnia łypały obiecująco rozświeconymi oknami, a dym z kominów buchał wysoko, zalegał jedynymi chmurkami na niebie pogodnym.

Od dworu zbliżała się kompanja pałacowa w komplecie, nawet zawzięci karczarze mieli zasiąść do wspólnej wieszerzy. A jednocześnie z kuchni wysunęły się ogromne przykryte naczynia, półmiski, brytwanny i saganki, niektóre aż siłą czworga rąk i klusem czworga nóg niesione. Zrazy polskie i kasza, gdzie przeszły, zaprawiały powietrze pożywną wonią.

Trzeba było szukać po omacku i zwoływać dostojniejszych biesiadników, bo już noc zapadła. Broniecki obrał sobie miejsce na krótkim boku stołu, posadził obok siebie proboszcza dla tradycji i Rykonia dla wyróżnienia go osobliwego.

Drobiński, Świdorski usiedli dalej na przemian z gospodarzami z Mielna. Pani Drobińska znalazła się z małym zadowoleniem przy proboszczu, a Czernski, nikogo nie pytając, usiadł przy Manieczce. Następnie zasiedli do stołu prawie sami tylko mężczyźni, bo Mielniacy bab swoich nie przyprowadzili, a ze służby dworskiej tylko szafarka i dwie żony karbowych zasłużyły na wyróżnienie. Ale szafarka przysiadła tylko z brzegu, dla honoru wspólnego stołu z panami, i zaraz podążyła napowrót do kuchni, gdzie czynna była przy gotowaniu wieczerzy. Dzbany z piwem, kosze z chlebami i misy pełne owoców ubierały stół dostatnio i niesztucznie, przypominały obrazy uczt jakichś legendowych.

Ucichła muzyka, ucichły nawet rozmowy, wszyscy jedli nie na żarty, starszyzna przy głównym stole, a reszta na ławach przed wozownią, pod kuchnią, pod oknami rządcy. Zaledwie krzątanie służby przerywało ciszę, która się rychło sprzyrzyła Bronieckiemu. Nie chciał mieć mowy do zebranych — samo przyjęcie mówiło za siebie — zaczął dogadywać bliższym i dalszym biernikom:

— Hej tam! Wawrzon! cały rok pilnujesz cudzej roboty, dzisiaj bez dozoru potrafia chłopyski odrobić sumiennie, co im zadane. Pilnuj swojego talerza i szklanki! Nuże — napijmy się, stary!

Podniósł swoją szklankę, a karbowy wstał, kłonił się i wypił swe piwo duszkiem, Do drugiego karbowego przepił z innej beczki:

— A tobie, Stachu, życzę, żeby ci się wnuki zdrowo chowały. Macie już tam jaką pociechę z córki, która wyszła za Kutno?

— Dał już Pan Bóg dwoje, panie dziedzicu.

— Odrazu?

— A jedno w kwadrans po drugim.

— Będą mieli zaraz z sobą zabawę. Niech zHą szczęśliwie!

Zwrócił się do gospodarzy z Mielna:

— Myśmy już sobie we dworze świadczyli. Chyba, że wypijemy z wami za rychłe zbudowanie tego domu w Mielnie, który nam wszystkim na sercu leży?

Wypili w kilka osób naczelnych przy stole. Odezwał się Workowski z przytykiem do wójta:

— Wypić dobrze, ale piwem domu nie podmuruje. Niech-no Damian powiedzą, kiedy to zebranie gminne będzie, po waszemu „schod”?

— Miało być po niedzieli we czwartek, kiedy jeszcze od naczelnika niema „razreszenia” — odrzekł Skierski.

— Zwołujcie na czwartek; ja naczelnika zaraz jutro poproszę na kuropatwy i obrobię — zapewniał Broniecki.

— Można to tak? — powątpiewał wójt — bo i pisarz będzie mantyczył...

— A czy pisarzunio kartofli w tym roku nie potrzebuje ode mnie? — zapytał

Broniecki figlarnie.

— Zaraz jutro „nakażę” — zdobył się Skierski na akt władzy.

Sporo było jeszcze gadania przy stole o wielkiej sprawie Mielna, Rykoń się ożywił i przemawiał za nią, choć wiedział, że mówi do kilku sprzymierzeńców i do reszty obojętnych, jak naprzykład służba sławoszevska. Ale argumentacją swą chciał trafić do proboszcza i zwrócił się nareszcie wprost do niego:

— Żeby tak przy kazaniu w przyszłą niedzielę przemówił ksiądz proboszcz dobrodziej przychylnie o naszym domu, dużoby luda się do tego przekonało i zebranie gminne lżejby poszło.

Skrzywił się ksiądz Mlec, jakby muchę połknął z piwem. Zanim odpowiedział, Broniecki poparł Rykonia:

— Dobrze mówi Jan. Mógłby ksiądz Kajetan (unikał nazywania go „Kajtusem” w liczniejszych zgromadzeniach) nawet z ewangelji o włodarzu sprawiedliwym; albo o wypędzaniu przekupniów ze świątyni wysnuć aluzyjkę do naszego domku — chwała Boża i ludzki pożytek na temby zyskały.

— Najprzód — bronił się ksiądz Mlec — inne są teksty na przyszłą niedzielę...

— Drobnostka, proboszczuniu. Właśnie w tem dowcip, żeby, zaczawszy od byle czego, trafić tam, gdzie potrzeba.

— Przedmiot zupełnie świecki — wymigiwał się proboszcz.

— O wa! mało to świeckich rzeczy z ambony się mówi! — wtrącił Rykoń dosyć krnąbrnie — toć ksiądz dobrodziej niedawno mnie z ambony wypomniął, że ja dozór kościelny buntuję, a nie tak było tylko tam kobiety dobrodziejowi nagadały. — —

Zaperzył się ksiądz Mlec:

— Wy. Janie, macie zawsze skłonność do kontrolowania proboszcza. A co powie proboszcz, to rzecz święta!

Jakoś ten pewnik nie wszystkim trafił do przekonania. Milczeli, niejeden się uśmiechnął. Uratował sytuację Broniecki:

— Właśnie świętą rzecz masz, księżu Kajetanie do powiedzenia. Taki dom zmniejszy pijaństwo, przysporzy nauki i zabawy będą ludzkie — o!

— Panie Józefie łaskawy! Kiedy dom stanie, poświęcę go darmo, będę do niego zaglądał — ale, żebym do składki namawiał z ambony, jeszczeby władza w to się wmieszała i dostałbym nosa.

Dano proboszczowi pokój; pomoc jego była wątpliwa, a nie chciano rozdmuchiwać sporu między nim a Rykoniem, chłopem pobożnym, ale w sprawach gminnych nieustępliwym.

Pastuch-skrzypiciel Kobuzek pierwszy pono skończył swą wieczerzę na ławie pod wozownią i już znowu rzępolił skocznie. Namiętne lubił podniecać

zawieruchę tańca, brać w niej udział oczyma, ręką, prym trzymając, i nogami, w takt podrygującemi. Zapatrzył się na nogi Kobuzka głuchy Franciszek Wąs i jał wtórować na bębenku z fantazją i rytmem, nie gorzej od basetlisty Dziecioła, który i słyszał dobrze, i z nut coś nie coś rozumiał. Na zaraźliwą przegrywkę muzyki zrywała się młodzież z podwórza i ciągnęła napowrót do wozowni, ten i owa rwąc jeszcze zębami słodkie jabłka „papierówki“, dane na wety. — Aż i starszyzna powstała od stołu. W mig się ułożyło nowe kolisko taneczne i deptało tłumnie parami po wozowni; czasem tylko przytupnięcie siarczyste, albo pokrzyk, objawiały niecierpliwość i wzmożoną ochotę. Szał dobierania się w pary, przyciskania piersi do piersi, biodra do biodra, pohulania we dwoje — ogarniał już nietylko wozownię, lecz całe podwórze i okolicę, owianą wonnym czarem nocy świątecznej. Wicek z cugowej stajni złapał karbowiankę na powietrzu i, jak z nią zaczął wywijać obertasy na brukowanym podjeździe, spadli z niego razem i potoczyli się po murawie, ku wielkiemu śmiechowi patrzących. Inne pary wymykały się z wozowni, nie rozłączając splecionych ramion, i krążyły po podwórzu, szukając cieniów. Taniec, skoczny pod dachem, rozpływał się coraz szerzej w wolniejszą przechadzkę pod drzewami, pod niebem wyiskrzonem i namownem. Ośrodek brzęku i gwaru pozostał w wozowni, ale falistemi promieniami rozpełzał się aż do alei ogrodu, rozcieńczał się w chichoty jawne, dalej w stłumione, jeszcze dalej w szmery i szepty. Niby wielki twór, żyjący wirem w swem jądrze świetlnem i gwarnem, a rozpostarty mackami przez kraj śmiechu, aż do dziedziny westchnień i omdleń.

Kompanja dworska rozplynęła się gdzieś i przepadła; karciarze powrócili zapewne do bridge'a — Broniecki odprowadzał przed chwilą panią Karę do domu, ale niema ich w pokojach — muszą zapewne być w ogrodzie — — Manieczka poszła ich szukać z Czemskim.

Zaszli w tę „dziką promenadę“, gdzie przed miesiącem upatrzyli świetliki. Przypomnieli to sobie z uśmiechem; ale Manieczka była dzisiaj daleka od rezolutnej szczebiotliwości tamtego wieczoru, Stefan zaś, także małomówny i swem milczeniem niepokojący, jakby w gardle zatrzymywał słowa niebezpieczne. Nie od niego jednak, lecz od tej nocy, przepojonej zmysłową rozkoszą, płynęło coś zbyt silnego, coś obrażającego panienkę. Zdaleka dochodziły dźwięki muzyki, ciemność była nasycona śmiechem łaskotliwym i wybuchami hulaszczey piosenki. Z pobliża usłyszeli wyraźnie:

Ola, ola, kole pola
Kole olszyny,
Pobiły się dwa chłopaki
Wedle dziewczyny — —

Ha, ha, ha!

Spotkali znowu samotną parę: Staśka Woźniaka, młodego fornała, z piękną Józią „żołnierką”, której męża wzięto do wojska na Kaukaz. Szło sobie powoli tych dwoje, trzymając się w pół, jak do oberka, a gdy spostrzegli Czemskiego z Manieczką, rozłączyli ramiona, zeszli im trochę z drogi, ale minęli bez ukłonu. Nie mogło tam być uczciwej zmowy między nimi, bo Józia przecie zamężna. I błysnęli oczyma jakby zuchwale ku młodej parze ze dworu, posądzając ją może o koleżeństwo. Gdyby było jasno, Stefan ujrzałby na twarzy Manieczki silny rumieniec oburzenia.

Im dalej w las, tem gorzej. Ani on, ani ona nie wiedzieli, o czym mówić. Czemski, oszołomiony całą orkiestrą wrażeń zmysłowych, czuł się teraz niezdolnym do swobody. A tak się dobrze gadało cały wieczór z tą śliczną panią, nawet o ludzie i o jego przyszłości, nawet o kwestjach drażliwych — Teraz, w tej nocy rozmiłowanej, trzeba było mówić jedynie o miłości — a Stefan nie poczuwał się do takiego prawa wobec Manieczki. Ona zaś, możeby i tego chętnie słuchała, tylko nie tutaj — — tu jest strasznie, wstydliwie, grzesznie — —

Ponieważ poszła szukać ojca, szła dalej, pchana przez inercję tego niewczesnego projektu. Aż jakieś głosy, nie chłopskie, wyróżniły się z innych gwarów.

— Zdaje mi się, że słyszę głos ojca pani i pani Drobińskiej — rzekł Czemski.

— Tak, zdaje się — odpowiedziała Manieczka wcale nie radośnie.

Postąpili jeszcze trochę w głąb ogrodu. Rzeczywiście, słychać było głosy Bronieckiego i pani Kary. umiejscowione tam, gdzie Manieczka wiedziała, że stoi zaciszna altanka nad rzeczką. Głosy nagle ucichły.

Dziewczyna stanęła, zachwiana we wszystkich swych postanowieniach. I po jej ruchu, pomimo ciemności, zrozumiał Czemski, że ona chce stąd uciec. Wiedziony tem przeczuciem, odezwał się stanowczo:

— Wie pani co? powróćmy do domu.

— Ach tak! jaki pan mądry i domyślny!

Stefan nie zaprzeczył i zawrócił, milcząc, w drogę powrotną. A Manieczka, czując przypływ do serca ogromnej ulgi i swobody, sama tłumaczyła swój wykrzyknik:

— Bo pan nie jest, jak wszyscy, którzy dlatego, że określne... że taka noc... zaraz głupieją i tytko im głupstwa w głowie? — Pan ma ideę... pan coś robi dla kraju... zaraz tak pomyślałam, kiedyśmy się poznali.

— W każdym razie — odpowiedział Czemski głosem szczerym i dobrym — może pani z zaufaniem oprzeć się na mojem ramieniu.

VII.

Wrzesień dłużył się i przykrzył Czemskiemu w Niespusze, choć był radosny na ziemi, ozdobionej krasą męskiej dojrzałości, sposobny do pracy zadowolonej dla tego, który kochał pracę wiejską. Ale Czemski właśnie się do niej zniechęcał z powodu ciągłej sprzeczności między tem, co było rzekomo jego powołaniem, a tem, co się na przekorę jego programowi zdarzało. Co to znaczyło właściwie: uświadamiać i budzić lud? — — Rozpowszechniać „Ludowca“ i pisemka w duchu pożądanym — to zajmowało zaledwie parę dni na kwartał. Trzebaby najprzód nauczyć czytać mnóstwo nieumiejących, założyć szkołę według innego planu, niż obecny, zły, bo popierany przez ludzi przeciwnego obozu. Gdzież na to środki? — Chodzić po wsi i rozpowszechniać pożyteczne idee? — Jest to drażnienie kamienia zapomocą kropli wody — szkoda czasu i sił rwących się do pracy skuteczniejszej. A gdy się zdarza robota wyraźna dla dobra ludu? — na przykład, ten dom ludowy w Mielnie, jak trudno tę robotę obrócić na triumf pożądanej idei samodzielności ludu! Zawsze jakieś лихо tym chłopem owładnie i napędzi go powrotnie pod jarzmo starych nawyków. Ile się ten profesor Owocny naagitował po wsi przeciwko projektowi, a jednak Mielniacy uchwalili na zebraniu budowę domu według typu i planu, podanych przez Godziembę. Mówią, że ze składką będzie gorzej — ale Broniecki, jak obiecał, „obrobił” naczelnika na polowaniu, naczelnik pozwolił na zebranie gminne, a Rykoń z przyjaciółmi przeforsował żadaną uchwałę. Triumfowali zacofańcy, wściekał się profesor Edmund.

— Odbudowujemy Bastylję! — wołał, rozdzierając szaty.

Czemski nie brał tego znowu tak tragicznie, bo jeżeli gmina uchwaliała budowę, to widocznie większość jej chce, i rzecz powstaje już z woli ludu. A dom ludowy nie jest Bastylją, można go będzie owszem wyzyskać z czasem dla oświaty i dobrobytu ludu. Skrycie nawet przyznawał się do ulgi, którą mu ta porażka przyniosła; intrygować przeciw istniejącej już uchwale gminnej nie będzie, bo na to nie pozwala mu sumienie; a dla siebie osobiście także coś zyszcze; pozbędzie się profesora, który zapewne ma co innego do roboty, niż przesiadywać w Niespusze i płakać nad utratą wpływu w Mielnie.

Ale co do tej pociechy miał Czemski doznać zawodu. Profesor, choć się był prawie pogniewał na Czemskiego za jego obojętność, okazaną po zgubnej uchwale, w kilka dni później powrócił słodki, filozoficzny i niosący lekarstwa dla zaślepionego Mielna.

Tym razem Stefan, pod pozorem nagłej sprawy rodzinnej, wyjechał na trzy

dni, zostawiając profesora w Niespusze, a gdy powrócił, już go u siebie nie zastał. Dowiedział się natomiast, że właśnie podczas jego nieobecności przyjechał do Niespuchy pan Broniecki ze Sławoszewa, kazał się kłaniać i dał rubla Agatce za nic, za otwarcie drzwi, bo do domu zajrzał tylko na prawo i na lewo przez ciekawość, jak się tu mieszka.

— Dobry pan — mówiła Agatka — mało takich w bliskości.

— Widzę, Agatko, że nabierasz gustu do starych. Już ci profesor wpadł w oko, teraz znów Broniecki.

— A bo pewno! starszy pan uważa sobie kobietę, kiedy jest warta.

— Cóż to? źle ci tutaj?

— Iii — mówiła dość kwaśno — pan ciągle wyjeżdża, nijakiej kompanji niema — —

— Miałaś przecie przez trzy dni profesora.

— Tyle tylko, co ten poćciwy prefesor kiedy przyjedzie.

— Może chcesz do niego na służbę? — lekko zapytał Stefan.

— A bo co? — spojrzała Agatka bystro i ciekawie.

— Bo nic; bo widzę, że coś mi kaprysisz.

— Jeżeli pan nie będzie mnie traktował, jak równą towarzyszkę, to pewnie, że sobie pójdę.

— Któż cię tak pięknie gadać nauczył? Może profesor?

— On, czy inny, z panem się nigdy dogadać nie można.

— A dajże mi święty pokój! — przynieś mi obiad.

Te humory Agatki, coraz częstsze, nie przyprawiły o rozpacz Stefana; były raczej jeszcze ładnym zgrzytem więcej w rozstroju ogólnym, który zapanował w jego życiu zewnętrznym i wewnętrznym.

— Co to za towarzyszka! — zżymał się — zwyczajne bydlę! nawet niewdzięczne — —

I błyskawicznie przeciwstawił ją w myśli innej młodej istocie, takiej miłej i sprytnej, z którą wymiana słów najprostszych budzi w sercu harmonję i siłę — — Ale pomimo swych napoleońskich na kobietę poglądów, wzdrygnął się, gdy porównał pannę Broniecką — z tą dziewczką.

— Szkoda, że Broniecki nie zastał mnie w domu — pomyślał dalej — znalazłaby się może okazja odwiedzenia Sławoszewa, a przyznam się, że stronić od ludzi życzliwych — no i dodatnich — dlatego, że nie wyznają jednego ze mną katechizmu społecznego... to idjotyzm!

Rozwagał następnie, co jest wstecz, a co naprzód? — — To pojęcie względne, zależne od różnych katechizmów. — Broniecki jest bezwarunkowo siłą pobudzającą lud do ulepszeń bytu. Ma wyborne gospodarstwo rolne, służy więc za wzór i nawet za rozsądnik postępu ekonomicznego.

— Że tam z przyzwyczajień i z nałogów należy do starego typu — co mnie to przeszkadza? — Jest zato uprzejmy, zręczny, umie sobie jednać ludzi — to są także atuty w każdej akcji. Niejeden z naszych Katonów jest tak kanciasty i kolczasty, że od siebie i od idei odstręcza.

Tęsknił poprostu do sprytnego śmiechu pana Józefa i do młodego wdzięku Manieczki. Ale nie miał żadnego powodu powrócenia do Sławoszewa, a nawet okazji spotkania jego mieszkańców. Błądzić po drogach i wypatrywać — to śmieszne. Pojechać zaś w niedzielę do kościoła, w którym nie bywał — to poniekąd odstępstwo od zasad — —? Miotał się w rozterce sprzecznych pragnień i zajęć.

W tę niespokojną ciszę, jak dźwięk dzwonka, wpadł list Jerzego Godziemby. Prezes przypominał Czemskiemu wyrażoną na obradach w Sławoszewie chęć oddania części Niespuchy na cele ludowe i zapytywał, czy Czemski nie zechce obecnie przyczynić się do projektu realnego, który powstał w gronie ziemian, mianowicie: do założenia w Niespusze szkoły rolniczej dla włościan. Dla omówienia tego projektu zapraszał Godziemba do siebie, do Modrzewca, gdzie zbiorą się ludzie, zarządzający znacznym kapitałem, przeznaczonym na powyższy cel oświatowy.

List zadziwił Stefana, ile że z Godziembą nie miał innych stosunków, jak dyskusja, dość kwaśna, w sprawie domu ludowego w Mielnie, ale pochlebiała młodemu działaczowi pamięć o jego słowach z przed paru miesięcy i sama propozycja, świadcząca bądź co bądź o zaufaniu do jego dobrej woli obywatelskiej. Zaciekawiony i pobudzony Czemski odpowiedział odrazu telegramem, że stawia się na wezwanie, i wyjechał do Warszawy, gdzie przenocował. Nazajutrz rano wsiadł do pociągu nadwiślańskiego, dążącego na północ Królestwa.

Zdobywszy kąt przy oknie w przedziale wagonu, pomiędzy ludźmi nieznanymi, przetrawiał jakby w samotności niesmaki swego wewnętrznego życia, a powierzchownie łowił oczyma widoki.

Ziemie polskie wydały mu się tak do siebie podobnemi, jakby jeden gospodarz nakreślił i obudził topolami te drogi, porozrzucił te dwory i kościoły, wyciągnął sznurami te wioski. — Są i różnice, ale tylko przy dużo bliższem wpatrzeniu się. Naogół wyraz wsi jest wszędzie ten sam: równina rodzajna i leniwa. Ludzie tu nie głodni, bo wesoło śpiewają „oj, dana, dana!”, ale mają wiele czasu przed sobą. Nic bardzo silnego nie rośnie, nie wznosi się na polach łagodnych.

Wielka zaświeciła Wisła pod Modlinem, rozlana do krańców wzroku przy połączeniu z Bugiem, pustynia płowo przelewająca się, szklista w oddali cynowym blaskiem; — trwała na widoku przy drodze żelaznej. Murowane

klamry i zielone przykopy twierdzy zdawały się próżnym zakusem panowania nad królewskim żywiołem. Ująłby ten bezmierny bieg wody, sunący niby bez łożyska po wierzchu płaszczyzny, w mocne groble, ustalić na pożytek ludzki tę potęgę kapryśną, zamuloną, a rwącą, senną, a pobudliwą, jak dusza polska! Ile to lat mija od projektów regulacji i wielkiej żeglugi! — —

Przy widoku wielkiej Wisły odczuwał Stefan najmocniej niecierpliwe ukochanie ojczyzny, która żyje wciąż niewyczerpana, ale daremnym rozlewem, wspaniała i leniwa — tyle tylko, że wieczna — — —

Sam zaś ledwie życiem nie przypłacił swego zapалу do wielkiej rzeki polskiej w jednej przygodzie za lat dziecięcych. Zamknął teraz oczy wspominał, jak to było.

Poszedł niegdyś kąpać się z dozorcą do Wisły pod Toruniem. Rozebrał się i pobiegł po przybitej do łądu tratwie ku wodzie, pozornie płytkiej i sennej. Za tratwą była mała rybacza łódka, przywiązana łykiem do kołka; dalej rozlew niemal morski, gdyż Wisła toczyła wówczas swe wysokie wody świętojańskie. Ciągniony zachwytem do płynnej roztoczy, świeżo kuszącej nozdrza, wskoczył do łódki, W tej chwili krucha uwięź pękła i łódka odsunęła się cicho od tratwy. Dozorca, pozostały jeszcze na brzegu, krzyknął; już łódka z małym, nagim Stefkiem była daleko — — Prąd, jak zbudzony wąż podwodny, chwycił ją na swe przeguby i unosił ku głównemu łożysku — Stefan poczuł zrazu tylko rozkosz: nieznanym sposobem sunie do nieznanego kraju; wikliny i ciernie nadbrzeżne uciekają w tył tak szybko na lewo — a na prawo Wisła nieprzejrzana, niby w gładki warkocz upleciona z mętnych prądów — — — Na zabawę mu to, czy na zagładę? — — Poczuł jednak wiejący od wielkiego rozlewu chłód złowrogi — i zaczął się ratować. W łódce nie było wiosła, tylko gruby drąg; ten drąg chwycił Stefan i całą siłą dziecięcych ramion jął się odpychać od wielkiej wody ku lewemu brzegowi, który mijał szeregiem niskich zarośli, już podmytych rozlewem. Wzdłuż rzeki, po wyższym, suchym gruncie biegł dozorca niosąc ubranie Stefana, i krzyczał bezsilnie: do brzegu! do brzegu! — Ale porwaną łódkę niósł prąd, dokąd mu była wola. Chciał jednak tylko pokołysać malca, nie pochłonać; czy z powodu jego wioślarskiej roboty drągiem, czy dlatego, że koryto załamywało się w tem miejscu kolanem, łódka zaczęła się zbliżać do zatopionych krzaków. Już pręty wikliny migwały tak blisko, że gdyby kawał sznura pod ręką, rąbnaby się o nie zaczepić — — Nareszcie jeden krzak bardziej w powódź wysunięty! — Zajął go Stefan drągiem, łódka okręciła się i dziobem dotknęła krzaka — pobiegł malec po dnie łódki, chwycił za gałąź, przyciągnął się jak najbliżej i skoczył w płytką wodę między zaroślami. Brnąc po pas, potem po kolana, po kostki, uciekał, chlapiąc rozgłośnie, ku suchemu lądowi. Już go dosięgnął, ale na prawo i na lewo lały się jawnie po

żwirze, podstępnie po murawie potoki przybierającej rzeki. Goniła go w głąb ładu rozkrzewionemi ozorami swej paszczy, z której się wyrwał. Biegł z temi syczącemi ozorami na wyprzódki, skakał przez nie, aż stanął na wyższym garbie gruntu, gdzie go z odzieniem oczekiwał dozorca. Łódka, odepchnięta, majaczyła już tylko drzazgą na wartkich prądach, niosących ją do morza.

Ile razy spotkał się potem Stefan z płowym majestatem Wisły o niepewnych brzegach, stawała mu przed oczyma ta przygoda z lat dziecięcych. I teraz, zamknąwszy oczy w wagonie, wspominał — aż się zdrzemnął.

Zbudził go konduktor przed miastem, gdzie miał wysiąść. — Tu przecie co innego! gęsto zabudowane miasto, trochę wzgórzyste, a najwyżej piękny kościół o polsko — gotyckich frontach. Coś przecie mówiącego o silniejszych porywach człowieka do panowania nad ziemią.

Na dworcu znalazł Czemski, oprócz bryczki z Modrzewca, wydelegowanego praktykanta, pana Łagowskiego, który mu oznajmił, że w mieście odbywa się właśnie zjazd rolniczy, na który prezes Godziemba zaprasza gościa; dodawał, że zjazd jest liczny i może zainteresować ziemianina łowickiego.

Zajęło go zaś odrazu miasto, weselsze, niż osady miejskie w pobliżu Warszawy. Ulice czyste, przerywane zielenią ogrodów, zalecały się niejedną kamienicą ponętą na ciche, lecz wygodne mieszkanie. Coś w rodzaju wielkiej wsi ucywilizowanej — nie podobnego do pływających na zgniłych kałużach steków bud żydowskich, które zbyt gęsto plamią inne ziemie polskie.

Bryczka, dudniąc po pierwotnym, lecz starannie utrzymywanym bruku, staczała się w dzielnicę coraz pokaźniejszą, aż zatrzymała się przed wielkim, piętrowym gmachem.

— To nasz dom rolniczy — objaśnił z dumą Łagowski.

Jasne sale przyziemia wionęły odrazu na Stefana pogodną atmosferą instytucji nie biurokratycznej, lecz ziemskiej, samorządowej. Na ścianach widniały mapy i zestawienia statystyczne. Łagowski z zadowoleniem pokazywał gościowi pomieszczenia syndykatu rolniczego, sklep spółdzielczy, bibliotekę — wszystko w porządku i stylu wzorowym.

— Niby Wielkopolska — zauważył Czemski.

— Blisko stąd — odrzekł Łagowski.

Dwaj młodzi spojrzeli po sobie przyjaźnie, jakby czując, że im obu coś przybywa przez ten piękny rozkwit polskiego dobytku.

Głuchy grzmot, przesuwający się nad sufitem, zwrócił uwagę Czemskiego.

— To zebranie na piętrze? — zapytał.

— Tak, w wielkiej sali. Muszą nad czymś głosować przez rozstąpienie, kiedy się tak rozsurgali butami. A buty mają ciężkie!

— Dużo włościan?

- Kupa ich tam; ale i nasza szlachta nie nosi lakierków.
- A ile osób razem?
- Sto z górą.

VIII.

Chyłkiem weszli do sali odrad, aby nie przeszkadzać, Jednak Godziemba spostrzegł Czemskiego, powitał go ukłonem ze swego miejsca prezydialnego — przewodniczył bowiem zebraniu — i wysłał jednego ze swych asesorów, Czesława Młockiego, który umieścił gościa przy sobie, za stołem. To sąsiedztwo było Stefanowi dogodne, bo znał Młockiego już ze Sławoszewa i tutaj potrzebował objaśnień dla orientacji w zgromadzeniu.

Uczynił najprzód odkrycie radosne, że przy tym samym stole opodal siedział Józef Broniecki i kiwał przyjaźnie głową do sąsiada łowickiego. Szukał Czemski dalej znajomych, ale znalazł ich zaledwie paru. Tłum szaro ubranych, wąsatych postaci wydał mu się zrazu zupełnie jednogatunkowym, niby wojsko w szeregach.

— Gdzież tu są włościanie? — zapytał Młockiego.

— O, jest ich sporo — uśmiechnął się Młocki — tylko nie wyróżniają się ubiorem, a niebardzo i typem. Masz pan przy stole prezydjalnym dwóch członków zarządu, włościan: ten poważny, w kubraku staromodnym, co siedzi przy Bronieckim — i tamten młody, elegant. Myśli pan, że sportsmen? — nie — chłop tutejszy z dziada, prawda, bardzo tęga sztuka. Obok, ten z obwisłymi wąsami to szlachcic chodaczkowy. I po sali masz pan rozsianych dużo włościan i drobnej szlachty, ale niepodobna mi ich teraz panu wskazać.

— Zawsze jednak ziemian, siedzących na dużych folwarkach, jest tu więcej? — zagadnął znowu Czemski.

— Naturalnie! myśmy to przecie wszystko stworzyli, zorganizowali. Drobnych ziemian przyciągać trzeba było z początku prawie przemocą — obecnie coraz bardziej sami się garną. Ale niech pan nie sądzi, że szlachta tutejsza to obszarniki — przeważnie chudopachołki, panie — po dziesięć do trzydziestu włók. Modrzewiec, rozległy na włók kilkadziesiąt, jest już wyjątkiem.

Umilkli, gdyż zaczęto oglądać się na szmer rozmowy, a prezes Godziemba ściągał rękę do dzwonka.

Radzono kolejno o mnóstwie spraw i zarządzeń, związanych z rolą, hodowlą i administracją. Czemski śledził zrazu pilnie porządek dzienny: Jakaś stacja rolnicza doświadczalna — kupno sztucznych nawozów — kupno wspólnymi siłami pług samochodowego — przegląd porównawczy wydajności ziemi — okólniki i instrukcje centralnego towarzystwa, z którym tutejsze koło zdawało się być ścisłych stosunkach porozumienia i w nieprzymuszonej zależności — —

Powoli jednak Stefan, niedość przygotowany elementarnie, nie mogąc wchłonąć nadmiaru płynącej z obrad nauki technicznej, puszczał mimo uszu szczegóły i jał się przypatrywać samemu funkcjonowaniu żywej maszyny.

Kwestje z porządku dziennego przychodziły niby automatycznie na aparat, który je chwycił, rozkładał, roztrząsał i odrzucał już w formie uchwały. Jeżeli kwestja dotyczyła uprawy, w kole radnem ujawniała się natychmiast komisja melioracyjna; jeżeli nabiału — komisja mleczarska; jeżeli zakupów — komisja ekonomiczna; jeżeli porozumienia z władzami lub instytucjami — zarząd główny. Niby pod naciskiem odpowiednich klawiszów, z grona obradujących powstawały głosy krótkie, nie retoryczne, fachowo ściskające kwestję w potrzebne kształty i wyrazy. Czasami sprawa, wymagająca rozchodu paru tysięcy, długich prób i planów, zabierała w naradzie zaledwie kilka minut, tak była wyrobiona w specjalnej komisji, albo tak powszechnie uznana za niezbędną w zebraniach szerszych, naczelnych. I mrowie głów, pozornie pospolitych, postaci niewykwintnych, nabierało w gromadzie żołnierskiej powagi, znaczenia wymustrowanego oddziału, który tam, gdzie zamierza, dojdzie, to, czego się jał, wykona. Czernski, krytycznie uprzedzony do tych „zacofańców”, przyglądał się z mimowolnym podziwem i szacunkiem roboczemu oddziałowi i w nagłym przeblysku myśli historycznej przypuszczał, czy nie jest to, przyłapana na żywym uczynku, część tego żywiołu, który od wieków tworzy Polskę, jaka była, jest i będzie? — —

— Prowadzi szlachta — poprawił się we wniosku. — Choć tu przemawiają czasem i włościanie, ale rej wiedzie szlachta; chłopci są upośledzeni, jak pionki na szachownicy wobec większych figur; partja się gra dla króla, po staremu. Dlaczegoż na przykład w tem zebraniu jest dużo mniej włościan, niż większych ziemian, skoro liczba chłopów w okręgu, a nawet przestrzeń ziemi chłopskiej i drobnoszlacheckiej jest przeważna?

Zwrócił się Czernski z tem zapytaniem bardzo cicho do swego informatora, Młockiego, który odszepnął:

— Przystąpili do nas ci, którzy chcieli i zrozumieli pożytek towarzystwa. A przecie uchwały nasze obowiązują tylko stowarzyszonych.

Zasunięty w kąt pokoju, Czernski słuchał dalej i patrzył, ale spostrzeżenia nie sprawiały mu radości, bo plątały mu cały system poglądów, które był sobie przyswoił i którym dotąd ufał. — Jak tu budzić i hodować lud samodzielny, skoro lud poddany jest, jak był dawniej przemocy uprawnionej, tak teraz moralnemu kierownikowi szlachty, bynajmniej nie umarłej, owszem, ruchliwej i pociągającej lud do wspólnego działania. Wprawdzie, co się tu widzi, jest pracą wyłącznie ekonomiczną, wspólnem obrabianiem interesów, rodzajem wielkiej kooperatywy. W kółkach włościańskich — to samo. — Nie nasycy to potrzeb

duchowych ludu. Do nas — myślał Czemski — należy przynajmniej oświata. — Tutaj przypomniał sobie projektowaną szkołę rolniczą, dom ludowy w Sławoszewie — wszystko inicjatywy tej samej szlachty, uparcie przewodniczącej.

Obserwował też uczestników rady. W nagle poznanym zbiorze ludzi widział zrazu tylko typ jednolity; ogorzałe i zdrowe twarze, ręce robocze, ubiory sumaryczne. Czem się właściwie różnią ci ludzie od chłopów? Ani rasą, ani trybem życia — większą zasobnością i kulturą — tymczasem! Chłop do nich dorośnie powoli i będzie taki sam. — Ale szlachta musi mieć szlacheckie przywary, bo inaczej byłaby wzorem przyszłego włościanina — —?

Powoli rozpoznawał Czemski w tłumie indywidua: specjalistów od uprawy, od mleczywa, od buraków; dowiedział się nadto, że ten jest doktorem medycyny, ów dyrektorem fabryki, tamten wyrobił się z chudopachółka na względnego „obszarnika“. — A więc to nie szlachta, przemysławająca o swoim kastowym interesie, lecz odłam wiejskiego społeczeństwa, związany przez wspólne potrzeby, skoordynowany przez wspólną, żywą robotę, I jakież oni tutaj, razem wzięci, ujawniają szlacheckie przywary? Czy wyuzdany indywidualizm, niegdyś wyrażany przez „veto”? Czy pogardę dla praw ludzkich mieszczan i chłopów? Bynajmniej — grupa demokratyczna, równouprawniona. Nawet wybitne indywidua, pochopne do rozkazywania, jak Godziemba, gną się przed wolą ogółu, a jeżeli pociągają innych za swem zdaniem, to mocą pragnienia ogólnego pożytku.

Przyglądał się znowu Czemski Bronieckiemu, przybyłemu tu, jak on, w gościnę. Niepohamowany na swych włościach szlachcic, wydawał się tu odmiennym. Mógłby przecie łatwo przegadać, zająć sobą, oszołomić swą wymową, a nawet biegłością agronomiczną, tych ludzi niewielkich, równych i niebłyskotliwych. Ale ich zespół, tak sprawnie ułożony w czynny organizm, ogromniał mu w oczach, przyciszał mu fantazję. Słuchał pilnie, z uszanowaniem, odzywał się z głosem doradczym tylko wtedy, gdy go o to proszono.

Płynęły sprawy za sprawami, a porządek dzienny nie zdawał się bliskim wyczerpania. Czemski czuł już pewne znużenie, a zarazem ogarniał niepokój: gdyby, po ukończeniu obrad, przyszło komu do głowy zapytać go, czem on się zajmuje i co zrobił dla społeczeństwa, choćby w dziełnie uświadczenia ludu? — — Napisał kilka artykułów bez widomego skutku; uczestniczył w obradach, jakich uczonych, a górnych, a obiecujących! — — Nosił się z wielkimi projektami — pragnął szczerze dobra kraju, w którym się urodził — znał wiele pięknych teoryj — ale w szkole życia, niedawno rozpoczętej, nauczono go dopiero nienawidzieć przeciwników postępu — — Czy to ci, których ma tu

przed oczyma?? — —

Przerwano wreszcie obrady. Więc zakołysało się i ruszyło z miejsc zgromadzenie. Dopiero Czernski przywitał się ze znajomymi, a najskwapliwiej z Bronieckim, który wychodził z sali, prostując energicznie ścierpłe kończyny. Szepnął do Stefana przyjaźnie i jowialnie:

— No, umieją tu siedzieć, panie Stefanie! Codzień sesja, komisja, kółko — kręćka we łbie można dostać! Ale pszczołki robocze, przyznać im trzeba — każda siedzi w swej chałupce ciasno, a jaki plastr miodu razem budują! — palce lizać!

— Czy tylko plastrów nie układają w odwieczne ramki? — poczuł się w obowiązku nadmienić Czernski.

— A pan jak chciałeś? Żeby miód robili w dziurach ziemnych, jak osy?

Zbliżyło się kilka osób, rozpromieniając oblicza na sam widok Bronieckiego, który, gdzie stąpił podniecał do wesołości. Zaczął opowiadać rozgłośnie o nowinach łowickich, a zwłaszcza o powstającym domu ludowym w Mielnie. Zainteresował wszystkich do nowego typu tego posterunku oświatowego, a gdy się dopytywano, jak to tak gładko i śpiesznie przeszło przez uchwałę gminną, i przez pozwolenie władzy, nie omieszkął pochwalić siebie i swoich:

— Spytajcie mego przyjaciela, Jana Rykonia z Mielna, jak za łby brał opierające się stadko gminne, aby je zaprowadzić nie na rzeź, lecz na dobrą paszę. A mnie się pytajcie, jak ugłaskać władze i uczynić je dobroczynnemi. Trzeba to umieć!

— Znamy — rzekł Młocki — te koszty wstępne przy zakładaniu każdej nowej instytucji. Trzeba łapówki.

— Czasem trzeba. Ale taniej i skuteczniej przez stosunki i dyplomację — o! Cudów można dokazać. Toć wiecie, co ja w roku 1905 wyprawiałem z moim naczelnikiem powiatu?

Dopominano się opowieści.

— Napisało się przednią proklamacyjkę do ludu polskiego — o! W nocy pisałem, przedmiot mnie uniósł — aż mnie muza nawiedziła z nienacka — i skończyłem wierszem.

— Wierszem pisałeś proklamację?! — zawołał Młocki.

— I jakim jeszcze! Słupkabyś stanął, panie Czesławie.

— Ciekawym — — dajże mi to do przeczytania; musiałeś zachować?

— Wydrukowałem 30,000 egzemplarzy, ale tak je rozchwymano, że mi został jeden tylko egzemplarz — pokażę ci. — Rozdawałem u siebie, rozdawałem i w mieście; przez kilka dni chodziłem, wypchany tą bibułą. Kiedyś, będąc w mieście u naczelnika, miałem w paltocie parę tysięcy tych kartek i paltot zostawiłem w przedpokoju. Jakiś strażnik, idjota, zwietrzył pismo nosem,

zwłaszcza, że musiało tam zerkać do niego z kieszeni mego paltota, — cap za proklamy i niesie do naczelnika — — Nie wypadło mi wypierać się, a tem bardziej stchórzyć. Więc po olej do głowy, zawsze w pogotowiu. — „To jest w duchu czasu” — tłumaczę naczelnikowi. A to było pod koniec lata 1905 — w głowach Babilon, jak pamiętacie... „Nu, w duchu, czy nie w duchu, ja muszę o tem raport dać”. Szkoda czasu, panie naczelniku! Plotę mu tam różne koszalki-opałki, pomijając proklamacje, które schował do kieszeni. Skończyło się na tem, że go zaprosił na obiad do Kugla, jak mam zwyczaj, gdy w mieście żadnej przyzwoitej fizjogęby nie spotkam. O! widzicie, jak się może przydać taka komitywa!

— Jeszcze nie widzimy. Cóż dalej?

— Siedzę więc z nim u Kugla na werendzie, wychodzącej na rynek. — Wódka jedna i dziesiąta, a po obiedzie kazałem podać osobliwego Węgra z przydomkiem „brzoskwinka”. Kugel chowa go tylko dla mnie. Biskupie wino, powiadam wam! I kładę chłopu w uszy bajeczne opowieści, jako że ja wkrótce będę tu prefektem z wyborów, a on „zostanie w durniach”, jeżeli nie pójdzie z duchem czasu. Niezłe zresztą chłopisko i pijak twardy — śmieje się, wierzy, czy nie wierzy, ale wchłania trunek, jak zlew uliczny deszczówkę. Kiedy już zobaczyłem, że nos mu rubinem naciąga, mówię: posłuchaj pan tej proklamacji; cały w niej obraz przyszłości. I rznę mu głośno z druku, niby do spiskowca. — Płakał, powiadam wam! A ja już przed obiadem gwizdnąłem na moją organizację — miałem tam chłopyszków tysiące w garści, ho, ho! — żeby, jak zacznę czytać, zlało się gapia, ile tylko zdybać w mieście, i żeby prosili o tę proklamę. Więc zaraz kelner jeden z drugim i kmiotki z rynku do nas: „dopraszam się jaśnie panów o tę kartkę”. — To już od łaski pana naczelnika zależy — odpowiadam. Zachłysnął się odrobinę, spojrzął na mnie, dałem znak, że wypada — zaklął „czort pobieri!” — i sam rozdawał moje proklamy.

— Bajeczna historia! — zawołał ktoś ze szlachty wśród ogólnego śmiechu.

— Dajcie dokończyć! — odrzekł Broniecki, sam z trudem utrzymując powagę. — Rozdał pocziwina ze sto sztuk, aż się zabieliło na rynku. — Otrzeźwiał jednak trochę, opamiętał się i przestał. Oddał mi całą paczkę i poradził, żeby ją zaraz wrzucić do pieca w kuchni. Nie oponowałem, ale mówię: cóż z tym raportem będzie, naczelniku? — „Raport musi być, w kancelarji widzieli”. Przekładał mu znowu: już teraz nasza wspólna sprawa; obaj rozdawaliśmy. — „O, psia!” — zawołał, czy inaczej tam po swojemu. — Wydoił mi przytem bestja dwa gąsiory „brzoskwinki”.

— Ale raport podał?

— Jakiś tam niewinny, o ogólnem wrzeniu umysłów w powiecie, bez nazwisk. Dużo się z niego władze wyższe dowiedziały!

Dzwonek wołał znowu do sali obrad, gdzie miał jeszcze nastąpić referat teoretyczny, więc Broniecki zauważył trochę niecierpliwie:

— Pora obiadowa, kiszki marsza grają, a wy znowu rozpoczynacie sejmikowanie. Niech was nie znam, jacy wy tu cnotliwi!

Ale właśnie Godziemba zbliżył się do Bronieckiego i Czemskiego z propozycją, żeby pominęli odczyt popularny i podążyli zaraz do Modrzewca, odległego o kilka wiorst, na obiad. — Godziemba, jako prezes, musi dosiedzieć do końca zebrania i obiad zje później; pani Godziembina przyjmie gości, obiad zaś gotów, o czym w tej chwili telefonowano z Modrzewca.

Broniecki nie dał się prosić ani chwili, pociągnął za sobą Czemskiego i paru innych.

— Cieszę się, że cię tu widzę, panie Stefanie — rzekł, klepiąc Czemskiego po żebrach. — Zechciej rzucić oczkiem na koronkową robotę tutejszych ziemian —

—

Czemski nie chcąc dyskutować wobec paru nieznajomych, odpowiedział wymijająco:

— Pan Godziemba ma projekt założenia w Niespusze szkoły rolniczej dla włościan. Dlatego przyjechałem.

— Wiem, wiem! Pogadamy o tem wieczorkiem i jutro, ale już swobodniej, w mniejszem kółku i po przepłukaniu gardziółka.

IX.

Nazajutrz rano Czemski obudził się w Modrzewcu. Świeży dzień zaziera do wesołego pokoju przez białe, staroświeckie firanki. Dobrze narysowane, mocne meble dębowe i brzozowe, tapeta odwiecznego wzoru, sprzęty użytkowe proste — przypomniały Stefanowi zamierzające już w pamięci czasy dziecięce. Na ścianie — o dziwo! — wisały dwa litografowane portrety braci Śniadeckich — te same, które miał przed oczyma w swym szkolnym pokoju, w domu rodzicielskim, w Lublinie. Wszystko to było obyczajem znajomym, pokrewnym.

A przecie wczorajsza narada wieczorna o zużytkowaniu Niespuchy na szkołę rolniczą dla włościan nie zadowoliła Stefana. Projekt postawił Godziemba: proponował nabycie folwarczku za cenę kupna i wkładów; ponieważ ziemia podrożała przez kilka lat ostatnich, Czemski uczyniłby dość znaczną ofiarę z superaty ceny, godząc się na sprzedaż. Godził się jednak na nią chętnie, zwłaszcza, że miał zostać jednym z członków zarządu, a dawno już pragnął poświęcić się jakiejś czynnej pracy dla ludu. Ale co do dyrekcji i programu nauk, ile kwestyj spornych! Najprzód Godziemba, przypominając, że towarzystwo rolnicze rozporządza stosownym zapisem i użyć go pragnie na założenie szkoły w Niespusze, żądał, aby w składzie zarządu zapewniono przewagę liczebną członkom towarzystwa. Czemski zaś proponował kilku swoich bliższych znajomych, nie stowarzyszonych, albo rodzaj plebiscytu gmin okolicznych na skład zarządu. Godziemba nie dopuszczał tego wcale, upierał się absolutnie przy zwierzchnictwie towarzystwa rolniczego. Dyskusja zaostrzyła się i Czemski zapytał, dlaczego właściwie panowie obrali sobie Niespuchę; mogą przecie kupić inny grunt i założyć na nim szkołę według swego widzimisię.

— Doszliśmy do przekonania — odpowiedział Godziemba — że Niespucha jest wybornym punktem, jako leżąca w prowincji przeważnie włościańskiej. Liczyliśmy się też z pana gotowością do uczynienia pewnej ofiary na rzecz sprawy ludowej. A taka szkoła w Łowickiem jest jedną z najpilniejszych potrzeb ludu.

Pozostawało jednak dla Czemskiego bardziej niż wątpliwem, dlaczego ta szkoła ma być koniecznie prowadzona przez stronników tyranicznego Jerzego Godziemby.

W programie nauk chciano umieścić wykład religji, i to przez księdza.

— Pocóż to? — protestował Czemski — w szkole świeckiej, praktycznej, rolniczej?!

— Bo zmuszeni jesteśmy przyjmować chłopców zupełnie surowych, najczęściej bez elementarnego wykształcenia — odpowiedział tym razem Czesław Młocki.

Za zdaniem Godziemby głosowali, jak jeden mąż, wszyscy, nawet Broniecki, Czernski czuł się odosobnionym, zahukanym, nieufnym.

Leżąc w łóżku, przypominał cały tok wczorajszej narady i winał sobie, że się dotychczas na nic nie zgodził, że zastrzegł sobie porozumienie ze swoją grupą i zawiesił odpowiedź do dalszej przyszłości. Bo przecież projekt, choć zasadniczo chwalebny, był znowu zakusem ujarzmienia geniuszu ludowego przez tych „starszych braci”, tych samych wodzirejów klerykalno-zachowawczych. Szczególniej dotknęło Stefana spostrzeżenie, że Broniecki, człowiek niezależny, stał po stronie grupy tutejszej, a przeciw niemu, sąsiadowi z Łowickiego; Broniecki zaś był jedynym tutaj człowiekiem, do którego Stefan czuł instynktowe zaufanie i sympatię. Człowiek to dzielny, przyjaciel ludu i mnie życzliwy, jak się zdaje — rozumował Czernski — a przytem — ojciec Manieczki.

Nagle, przez głowę, pełną spraw i ścierających się argumentów, strzeliło mu, jak ciepły promień, wspomnienie miłej i mądrej panny. — — Przedyskutowaćby z nią te wszystkie wątpliwości — — umysłem obejmuje łatwo, a sercem jakoś bliższa, niż inne istoty — — jak dawno to już jej nie widział — — Cóż, kiedy ona skępowana więzami przesądów, zależna od swojej zaśniedziałej „sfery” — — nawet jej ojciec pozbywa się indywidualności w sprawach publicznych i łączy się z gronem zacofańców — — Ona, czy miałaby dość siły, aby od nich się oderwać, gdyby zaszła potrzeba? —

Stefan ubrał się; była dopiero ósma rano; w części domu gościnnej panowało milczenie; Broniecki w sąsiednim pokoju spał jeszcze. Stefan dosłyszał jakiś zgiełk dziecięcy od strony podjazdu i podążył ku tym świeżym głosom porannym.

W przedpokoju spotkał panią Jadwigę Godziembinę, której wczoraj niedosyć się przypatrzył z powodu ciągle, nawet przy jedzeniu, toczących się rozmów społecznych. Pomimo minionej trzydziestki była fizycznie bardzo przyjemna: piękne jej, spokojne oczy zapraszały do rozmowy, a postać tchnęła ponętą świeżością. Klucze u paska znamionowały gospodynię, lecz estetyczny pozór ogólny daleki był od typu klucznicy.

— Tak za lat piętnaście wyglądać będzie Manieczka — pomyślał Czernski i poczuł odrazu serdeczną skłonność do pani Jadwigi.

Zanim na pierwsze śniadanie wszyscy się zjedzą, pani Godziembina zaproponowała gościowi przechadzkę po ogrodzie.

Przed domem zaczęło się zaraz tłumaczenie, któremu rzadko opiera się

właściciel, dlaczego dom jest taki a nie inny, i jaki mógłby być, gdyby się coś tam nie spaliło, a gdyby co innego było według marzonego planu wykonane. Dworek zaś tłumaczył się oczom sam przez się, że jest niewielki i niemłody; zato ogród w zupełnej szacie letniej pysznił się wieńcem starych drzew około podjazdowego trawnika.

— Bardzo byłbym rad posiadać taką wesołą siedzibę — Odpowiedział Stefan na ekspozycję pani Godziembiny.

— A pan posiada gorszą?

— Murowaną chałupę bez ogrodu.

Pominał objaśnienie, że sam ją sobie taką zbudował.

Około trawnika biegło z dziesięcioro dzieci na wyścigi. Właśnie dobiegały do celownika, na czele tęgi chłopak, może czternastoletni, i równego z nim wzrostu dziewczyna, nagiemi, mocno różowemi ramionami wynurzona z białego papilotu sukienki, na ciemnych, rozhecowanych pischczalkach. Zjawienie się starszych osób zatrzymało i oniemiło kompanję wyścigową.

— Januś! tak się rozrzucać?! taka stara panna! — upominała matka, sama rozśmieszona, i przedstawiła Czemskiemu najstarszą swą córkę, Janinę.

Stefan wyciągał rękę i do innych.

— Nie — uśmiechnęła się pani Jadwiga — tyle znowu nie mam dzieci; tylko jeszcze ten mały... chodź tu, Jurku, przywitaj się — — Starszy syn w szkołach.

— A te wszystkie? — pytał Stefan.

Dzieci pisarza i karbowego, koledzy moich w szkole domowej.

Czemski pomyślał: bardzo to pięknie, ale dlaczegoż i tamtym nie można podać ręki? — Nawet przy dobrych zamiarach wszędzie jeszcze ta szlachetczyzna, feodalizm... Jednak się uspokoił, gdy pani Jadwiga obciągnęła własnoręcznie kusą katankę, wymykającą się z pod pasa małego pisarzewicza czy karbowiaka, i gdy zauważył, że wszystkie dzieci patrzą na panią, jak na matkę.

Więc Czemski zapytał uprzejmie:

— Czy pani się także zajmuje szkolnictwem?

— Naturalnie! to moje najmilsze zajęcie. Mamy ochronkę, trochę szerszego zakroju, niż przepisane — rozumie pan?

— Rozumiem.

— Mamy i parę szkół zawodowych w okolicy, dla chłopców i dla dziewcząt. Wszędzie jestem w zarządzie.

— Szkoda zatem, że pani nie wzięła udziału we wczorajszej naradzie o szkole rolniczej; skorzystalibyśmy z pani doświadczenia...

— Ach, narady! — — Panie Czemski, my, kobiety, jesteśmy od wykonywania waszych planów męskich... o ile te plany trafiają nam do serc i

sumień.

— Czyli — uśmiechnął się Czemski — od potwierdzania lub odrzucania naszych projektów.

— Nie. Pomagamy wam, gdy czujemy się dosyć silnemi, aby pomóc; a silne jesteście tylko wtedy, gdy kochamy... człowieka, czy sprawę.

Czemski zamilkł, rozważając te słowa. Ale pani Jadwiga chciała widocznie do czegoś praktycznego się dogadać.

— Słyszałam wasze rozprawy wczoraj... Jabym się na ten przedmiot zapatrywała bardziej ze stanowiska pożytku...

— Nie dobrze rozumiem panią — —

— Trzebaby stworzyć szkołę taką, jakiej lud nasz chce i potrzebuje.

— Któż temu przeczył?!

— Może nikt — — ale właściwie dyskutujecie panowie głównie o tem, do którego z obozów politycznych należy przygotować wychowalców szkoły rolniczej. Jabym ich raczej kierowała na dobrych rolników.

— To cel główny, przyznaję. Jednak ktoś musi kierować szkołą, a wybór kierowników nie jest rzeczą obojętną.

— Naturalnie potrzeba zawodowców.

— I ludzi... idących w przyszłość.

— To frazes... z przeproszeniem, panie Czemski; wszyscy idziemy w przyszłość.

— Chronologicznie — tak; lecz nie wszyscy postępowo, ewolucyjnie, szanowna pani.

— Zwycięży mnie pan w teorii — rzekła pani Jadwiga z udaną może pokorą — ale w tym wypadku praktycznym, czy pan sądzi, że szkołę rolniczą ludową poprowadzą lepiej zawołani gospodarze wiejscy, czy ludzie z miast, nawet bardzo uczeni?

Stefan spostrzegł, że pani Godziembina wchodzi w samą istotę zatargu, że więc musiała uważnie śledzić wczorajszą dyskusję. Odpowiedział: — Do kierownictwa trzeba jednych i drugich: dobrych praktyków i ludzi... ogarniających dalsze i wyższe cele, do których lud należy prowadzić... raczej... rozumiejących to, czego lud nasz, jeszcze surowy, choć genialny, nie potrafi sam sformułować.

— I tych drugich, tych znawców pragnień i przeznaczeń ludu, pan odnajduje po miastach?

— Przeważnie — odrzekł Stefan bez należytej stanowczości w głosie.

Przypomniały mu się podobne rozmowy z Manieczką; mawiała ona inaczej, z młodszym temperamentem, ale właściwie to samo. Pani Jadwiga dwiema prostymi uwagami w formie zapytań zachwiała w nim bardziej jego wnioski, niż

wszystkie wczorajsze wywody. Kto wie, rzeczywiście, czy ta szlachta wiejska, to jest: najlepsi z nich robotnicy, czy nie są zdolniejsi do pracy z ludem, niż my, ludowcy teoretyczni?... Siedzą pospołu na ziemi od wieków, przywykli do siebie nawzajem; szlachta pozbyła się wielu nałogów panowania, lud zaczyna a pozbywać się nieufności do szlachty. Po co odgradzać obie warstwy ziemiańskie przez hasła separatystyczne? Może to nawet grzech przeciw przyszłości i postępowi?

Zamilkł, idąc obok pani Jadwigi, uśmiechniętej uprzejmie, jakby świadomie dającej mu czas do namysłu. A ona, zgadując kierunek jego myśli i rozgrzanie serdeczne, spróbowała rozmowy poufniejszej. Najuczciwsza kobieta wyczuwa, kiedy jest miła mężczyźnie — i że wtedy wszystko, co mu powie, przyjęte zostanie bez urazy, choćby było poniekąd reprimandą.

— Mówmy szczerze, panie Czemski! Każdy z nas chce zająć miejsce przyzwoite w Polsce ludowej. Jest nas dużo szlachty, inteligencji... słowem, ludzi, którzy coś robią. Bo dotąd my wszystko robimy w społeczeństwie, oprócz pracy ręcznej. Z ludu podnoszą się dopiero nieliczne indywidua i te ku nam, do nas wyciągają ręce. Ich miliony są dotychczas nieświadome swych ideałów obywatelskich. Ale my, klasa dzisiaj przodująca, bądźmy zgodni między sobą przynajmniej co do wskazywania drogi ludowi. Bo inaczej, zamiast postępu, wprowadzimy zamęt, rozszerzymy zgorszenie wojny domowej w całym kraju. I myślimy też o sobie, o naszym losie i udziale w przyszłości. Co tam szlachta, czy nie szlachta, wieśniacy, czy mieszkańcy miast, obozy, stronnictwa! — w zdrowym społeczeństwie żadna warstwa nie powinna być skazana na wymarcie, lecz odradzać się i przystosowywać do zmienionych warunków wspólnej pracy dla wspólnego postępu... Czy nie jest pan tego zdania?

— Z panią zgodziłbym się łatwo — odrzekł Czemski wzruszony i pocałował w rękę panią Jadwigę.

Doleciał gwar od dworu, który ciągle był blisko miejsca przechadzki, niewielkiego ogrodu. Jerzy Godziemba powracał bryczką z wczesnego objazdu gospodarstwa, a naprzeciw niemu wyszła kilku mężczyzn, wypoczętych, rumianych, na czele Broniecki.

— Należy się nam śniadanie — rzekła pani Jadwiga — trzeba wracać do domu.

— Szkoda! — wyrwało się Czemskiemu — nawet o szkole rolniczej rozmawia się lepiej w ogrodzie i z panią.

— Jednak we dwoje nie poprowadzimy tej szkoły i to jeszcze u pana, w Łowickiem. Musicie się porozumieć w gronie męskim. To tak łatwo, panie Czemski, między dobrymi ludźmi, którzy wszyscy pragną ogólnego pożytku — trochę tylko ustępstw z miłości własnej.

Spojrzała mu w oczy przymilnie, jakby prosząc o coś dla siebie — i Czemski wracał do dworku, pełen chęci pojednawczych.

Sama pogoda narajała chęci podobne; słońce, już wyniosłe, przesiewało przez wierzchołki drzew łagodne, roztańczone światło, w którym podstarzałe domostwo uśmiechało się blademi licami ścian i łyskało siwiejącą czupryną gontowego dachu. Rzeźwy poranek schyłku lata był jeszcze radosny, kryształowy, pełen świergotu ptaków. Szlachta na ganku, zdrowo rozrośnięta, miała pozór soczystych, dojrzałych we właściwym klimacie owoców.

W tej chwili Czemski zapomniał swych uprzedzeń i czuł się pociągniętym przez tych ludzi porannych i roboczych. Wrogowie postępu nie mogą mieć takich żon i matek, jak pani Jadwiga.

X.

Włóczyły się mgły po ziemi, zmęczonej rodzajnością, i przesłaniały szarzyzną barwy, już przez porę jesienną wyszarzane. Czasem tylko, gdy słońce, coraz leniwsze, spojrzało weselej, we mgłach mżące powstawały tęcze, niwy ozime weseliły się szczerze zielonemi rzędami runi. Nic już na polach nie bujało wysoko, chyba przy folwarku tu i owdzie pozostał wyniosły kwadrat końskiego zębu i oczekiwał pierwszych przymrozków. Z tych kwadratów, z remiz i z pożółkłych zagajów porywały się czasami gęste stada kuropatw i, uszykowane w lotny szwadron, ciągnęły nad rolą nikłe, a tak szybkie, że, gdy przecinały powietrze nad szosą, przechodzień myślał, że się wiatr gdzieś zrywa niewytłumaczony, a gdy ujrzał wiatr, niosący się na szarych skrzydłach, już stado było daleko, ledwie obliczalne. Po runi kicały wolno pasibrzuchy — zające, utykając na przodek głowiasty, obciążony słuchami; gdy który przypadł, albo stanął słupka, trwał nieruchomie, jak rdzawy kamień, bochenkowaty, lub wytyczny, wśród szmaragdowych rozłogów. Pasły się na nich i sarny, pochylając wdzięczne szyje do smakowitego szczypioru, a między niemi czujny kozieł wywyższał nad stado łeb suchy i strzelisty, w najpiękniejszym rozkrzewieniu rogów. Na tego matadora pól dybały rozjaśnione oczy chłopów, choć nie uzbrojonych.

— Patrzajta, sar! jaki sar! — —

Czaili się do niego i strzelcy, chciwi mięsa, albo pięknych rogów, które kozieł wkrótce miał zrzucić i zakopać w niedostępnej dla ludzi kryjówce.

Po szosach, rozmiękłych od jesiennej wilgoci i wyżłobionych przez ciężkie koła, ciągnęły bez ustanku ładowne skrzynie kartofli do gorzelni, buraków do cukrowni. Kominy fabryczne gęściej zaczynały dymić, a w nocy tu i owdzie paliła się we mgłach łuna błękitna i w niej żarowe lampy, jak niskie księżyce, wschodziły na horyzont. Ulatniała się coraz bardziej świeżość wsi, powietrze miejskie, przemysłowe, dyszące gorączką i dymem, rozpełzło się szeroko po kraju.

W Sławoszewie była tylko gorzelnia gospodarska, w znacznej odległości od domu. Wielki ogród, kawał prawdziwego lasu — utrzymywały tutaj w każdej porze roku niezamącony charakter wsi w zajęciach i widokach. Jednak wytryskujące o zmroku w dalszym pierścieniu okolnym elektryczne ognisko sąsiedniej cukrowni, dojazdy do granic, zaprawne wyziewami fabryk, ciemny kołpak dymu, wiszący nad Łowiczem, nocami roziskrzony pożarnie, a przedewszystkiem niebo chmurne lub wypłowiałe, chłód nocy dotkliwszy i

rozmoczona powszedy woń wędnących roślin — wszystko to wsiąkało w usposobienie mieszkańców Sławoszewa: ciała otulały się grubsza odzieją. dusze — odmienną powłoką.

Tylko nie smutek je ogarniał; ludzie zamiłowani do swych zajęć nie bywają smutni. Pan Józef Broniecki, naprzykład, zmieniał tylko, stosownie do pory roku, projekty, nigdy — humor.

— Kopia się grzecznie buraczki — — sto pięćdziesiąt korcy z morgi — kontraktik z cukrownią wykoncypowany artystycznie — szczebiotał pan Józef pieśczoćliwie, zacierając ręce, podczas wieczerzy z córką.

Manieczka, która wiedziała z lat poprzednich, do czego zmierza takie jesienne zadowolenie ojca, próbowała oponować:

— Już tatusiowi do tej Warszawy pilno! Na wsi jeszcze mnóstwo roboty.

— Takiej, że ją Wierzbosio odrobi za mnie, jak nastawiona maszynka, a za ciebie Magda. Siewy skończone, kontraktiki gotowe — trzeba się trochę w stolicy ludziom pokazać, nawet prosili mnie o odczyt w Towarzystwie Centralnem, trochę o bydełku, trochę o chilijskiej saetrze. Palnę im — —

Manieczka odeła wargi, a pan Józef dalej:

— Córúś także się zabawi. Ciotka Obichowska dużo przyjmuje; przed adwentem czas jeszcze potaćnować.

— Kto tam teraz tańcuje!

— Właśnie, że mi pisano, A w adwencie są i rauty, dużo młodzieży — — Oleś Leśniowolski ciągle się dopytuje, kiedy przyjedziemy do Warszawy.

Manieczka z przesadnem obrzydzeniem wzruszyła ramionami.

— Nie on jeden; wielu innych bywa u ciotki Obichowskiej, która ma przecie Zosię na wydaniu. Nie lubisz Zosi?

— Zosia wielki próżniak; ciągle tylko myśli o podróżowaniu za granicą.

— Ej, Maniúś, wszystko ci dzisiaj nie w smak. Cóż ty masz tutaj do roboty?

— Nawet sąsiedzi wybierają się do Warszawy: Drobińscy, Czemski...

— Tak? — odezwała się Mańka z innego tonu i bez widomego powodu obejrzała uważnie koszyk z pieczywem, stojący na stole.

— Tak, moje serce. Každy chce się trochę odpolerować między ludźmi; nie można ciągle na wsi siedzieć: człowiek śniedzieje, tyje...

— Ja nie utylam. Chyba tatuś?

— Co ty mówisz?! Uważasz, że utylam?

— Trochę w pasie.

— O, psia! — najgorzej — —

— Ej, nie... tak mi się może wydało... Zresztą, powiem tatusiowi: mówię na przekorę, bo jestem w złym humorze.

— Bo Olczakówna chce od nas odejść.

— Giez ją uciął, czy co? — może zamaż wychodzi?
— Mówi, że nie; tylko dwór jej się uprzykrzył, tęskni do chaty.
— Przeczytała chyba jaki stary romans? Dodać jej rubla na miesiąc, odechce się jej wioseczki.

— Mnie się zdaje, że zadurzyła się w kimś, który jej nie chce.
— Proszę, proszę — — dramatyczna awantura!
— Zdarza się, tatusiu.

Manieczka wygłosiła to zdanie z tak niezwykłą powagą że Broniecki przyjrzał się córce, na chwilę sam spoważniał i wysnuł morał stosowny:

— Zdarza się właśnie wtedy, kiedy dziewczeczka siedzi na partykularzu i mało kogo z młodych mężczyzn widuje. A tu wiosenka życia kwitnie, szepcze do uszka — — i niema z kim o tem pogadać. Wtedy pierwsza lepsza para wąsów wydaje się ideałem. A kiedy ideał wąsy zwróci w inną stronę — tragedia. Nie mówię o Magdzie — uprze się, to niech sobie idzie do chałupy. Ale i ty, Maniusz, nie masz tu stosownego towarzystwa.

— Dlaczego?

— Mówię: towarzystwa młodych. Spraszać ich do Sławoszewa nie wypada; to jakbym się napraszał, żeby mi cię zabrano.

— Tych warszawiaków ja nie lubię — rzekła Manieczka z przekonaniem.

— Nie swatam cię przecie z łykiem warszawskim; wogóle cię nie swatam. Ale w Warszawie spotyka się cały kraj, więc i całą młodzież.

— W kabaretach! — palnęła Mańka.

— Któż ci to powiedział?! — zapytał zdumiony Broniecki.

— Byłam już przecie w Warszawie; wiem, jak tam żyją przyjezdni ze wsi.

— Co ty tam wiesz, moje dziecko! — —

Pan Józef, który sam nie stronił w Warszawie od nocnego, życia, był wcale niezadowolony z uświadomienia córki w tym kierunku. Zaczął, przeciw swemu zwyczajowi, wydziwiać nad wieczerzą:

— Tego groszku jeść już nie można — struś by go nie strawił — —

— Nie udał się ogrodnikowi ostatni posiew, tatusiu. Już późno, nie chce się wiązać w strączki młodszy — a to stary groszek.

— Bo się ogrodnik rozbrykał. Ostatniej niedzieli wyjechał bez pozwolenia do Łowicza, wrócił po północy, z nogami na fornalu. Wyleję go.

Manieczka zamilkła, choć wiedziała, że ogrodnik jest umiętny i uczciwy, a podchmiela sobie tylko w święta, bez szkody dla ogrodnictwa. Zmiarkowała, że sprawiła ojcu przykrość, więc prawie rozrzewniona jęła go głaskać ustępliwymi słowami:

— Wie tatuś co? — weźmiemy Magdusię — z sobą do Warszawy — —

— O, widzisz: dobra rada. Rozerwie się dziewczucha i wywietrzeją jej z głowy

pomyłone romanse.

— A ja mogę z tatusem zamieszkać w hotelu, nie u cioci Obichowskiej? Będę miała swoją służącą — —

To nie trafiło do przekonania panu Józefowi:

— Trudno będzie. Ja mam dużo interesów. Ciągłe z tobą chodzić nie mogę, a jakże we dwie takie sarenki będziecie się szastały po ulicach, po restauracjach? — niepodobieństwo!

— Dobrze; to będę mieszkała u cioci.

— A pocziwa pani Rozalja umieści i twoją służącą. Ciotunia ma i mieszkanie i serce obszerne.

— I będę przyjmowała, kogo mi się podoba, W salonie cioci?

— No... porozumiesz się z nią łatwo.

— Drobińskich?

— Pewno, pewno — starzy jej znajomi.

— A pana Czemskiego?

— Czemskiego? — zadziwił się Broniecki. — Tego nie zna ciotka Rozalja.

— To go pozna.

Ojciec popatrzył bystro w oczy córki, która nie umknęła spojrzeniem, lecz zarumieniała się. Ułożył sobie szybko w głowie szereg przypuszczeń, lecz nie chciał nalegać i mówił dalej, niby niedbałe:

— Dobry chłop, ale w głowie coś nie rychtyk.

— Jakto?! bardzo uczony!

— Przez obcych nam ludzi, przez szkodników.

— To go trzeba do nas przycisnąć.

— Próbuję. Ale ma w głowie cudzą bibułę zamiast własnych myśli. Ty zaś: córuchno, nauczyłaś go... naprzykład, oberka, lecz nie obywatelskiej roboty. On zresztą ucieka od nas, ma w mieście swoich kamratów, gryzipiórków, a na wsi chłopów, z którymi ani be, ani me — porozumieć się nie może. Chciałby, żeby chłop był ślicznie wycięty z jego gazety, a chłop jest na złość zupełnie inny, taki, jakiego my znamy.

— Ja mu to samo mówiłam! — wtrąciła żywo Manieczka.

— Boś po ojcu rozumek wzięła, córuchno.

— Więc nietylko do oberka, tatusu?

— I jęczyczek po ojcu!

Uściskał pan Józef córkę i zapanowała między nimi zwyczajna zgoda, oparta na gorącym przywiązaniu i wzajemnej pobłażliwości.

W garderobie wszczął się ruch, zwany „pakowaniem“, który nie był prostym aktem złożenia do kufrów rzeczy, potrzebnych na pobyt w Warszawie, ale długim ich doborem, pełnym artystycznego namysłu. Trzeba było odświeżyć

kilka sukien, przeciągnąć nowe wstążeczki przez „wstawki” różnych batystów; dać kowalowi do naprawy zamek od kuferka, oderwany poprzednio z niecierpliwości, że klucz się gdzieś zapodział — wykonać mnóstwo niezbędnych robót.

Magdusia, gdy się dowiedziała, że pojedzie do Warszawy, rozpląkała się najprzód nad swym losem, potem zaczęła mu się przyglądać i doszła do wniosku, że los jest tymczasem nie srogi, nawet ponętny. Wróci stamtąd przecie, a tymczasem zobaczy wielkie miasto, o którym nasłuchiwała się dziwów, rozjaśni strapione myśli, zobaczy, jak to ludzie tam bawią się, a tańczą, a zalecają się, a stroją — — zobaczy i rój chłopców: paniczów, studentów i gminiaków cudnie ubranych, — może z dziesięć razy tyle chłopca, ile na jarmarku w Łowiczu widziała. Może jej kto wybije z myśli dziwaka Rykonia, który i łaskaw na nią i jej nie chce, jakoby jakiej zapowietrzonej — — Ej, nie! Rykonia nie zapomni, ale na innych spróbować można, czy też oni tak nieczuli? — Więc Olczakówna, gotując stroje dla panienki, nie zapomniła też o swoich, dworskich i chłopskich, bo niewiadomo, jak się tam ubrać wypadnie. Marzyła nawet, że dostanie do jednych kapeluszy, do drugich bursztyny.

A wieś, jakby na pożegnanie dobrych ludzi ze Sławoszewa, wdzięczyła się w rozjaśnionej pogodzie, pod koniec października. Oziminy tak pięknie podrosły, że obawiali się gospodarze, aby nie wysiliły zbyt swych zielonych pędów przed zimą. Udawały tymczasem wiosnę, zaścielając wielkie, regularne płaszczyzny, graniczące z rolą przeoraną, o jędrnym połysku skib świeżych z drogami szaremi, z łąkami, na których płowe stogi dumały, jak grobowce minionej krasy traw, z lasem, wiecznie młodym przez odmiany swych liści i szpilek, przez gatunki żywe i dzikie, które go zaludniają. Las, niewiadomo kiedy piękniejszy: czy na wiosnę, kiedy go młoda zieleń ogarnie; czy jesienią, kiedy złotem skrzy się i kapie, a rozbijała zielenią sosen i jodeł urąga ogólnemu przymieraniu?

Przez taki las słoneczny, pachnący jeszcze żywicą i już fermentem opadłych liści, jechał powóz otwarty, w cztery konie, mieszczący Bronieckiego z córką, bryczka z Magdusią, otoczoną mniejszym bagażem i jeszcze wóz z kuframi. Wszystko to dążyło do stacji kolei żelaznej. Na granicy Manieczka odwróciła się od uciekającego Sławoszewa i lekko westchnęła; żegnając dom i lato, niby ukochańsze jeszcze w tym roku.

— Cóż tak wzdychasz, córuś? Nie emigrujemy przecie do Ameryki.

— Ach nie! — — tylko tyle grzybów widziałam po drodze; myślę czy szafarka nie zapomni zamarynować — —

XI.

Chociaż jedna siedziba ludzka, najwyżej zbudowana, opustoszała, okolica nie zasmęciła się bynajmniej. Lęgowi mieszkańcy pozostali przy ziemi, która ich zrodziła, ciągnęli z niej dalej soki żywzące, stosowali swe zajęcia do jej wiecznych przemian. Błękitnie barwione chaty Mielna ciężej jakoś przylegały do ziemi w powietrzu jesiennem, ale było w nich raczej weselej teraz, niż za natężonej roboty letniej, gdy większa część mieszkańców na cały dzień wyrajała się w pole. Siedziały wszystkie kobiety i dzieci w granicach gospodarskiego obejścia. Póki światła, po stodołach dudniły młocarnie, obracane przez dwuramienne kieraty; w niejednej sadybie waliły jeszcze rytmicznie starodawne cepy ręczne. Koniom coraz częściej trzeba było zadawać na zakładkę w stajni, bo polne pastwisko i tak dość chude, było o tej porze prawie całkowicie wyżarte. Ludzie i bydła coraz ściślej skupiali się w okólniku, aż póki na zimę nie zamkną się szczelnie w swym drewnianym gródku. Trzy razy na dzień wszyscy domownicy zasiadali w izbie stołu, na śniadanie, obiad i wieczerzę — bo już podwieczorki skasowano od świętego Michała. — A tkactwo lnu i wełny zajmowało kobiety przy kołowrotekach i warsztatach, nie tylko ze zwyczaju i obowiązku, ale dla honoru, bo każdy człowiek musi mieć przecie z własnego lnu koszulę — im cieńszą, tem godniej — i wełniakiem własnym godzi się popisać gospodarskiej rodzinie. Więc w chacie każdy kąt był pełny użytku, roboty, osobnego postuku lub szmeru — i cała chata gadała mową swą własną, od przebudzenia aż do snu, nawet bez udziału głosów ludzkich. A gdy po krótkim już dniu zabłyśły frontowe okna od lamp i ognisk, mrugliwy różaniec światła wydłużał się na wiorsty w klamrę, ogromny w mroku i radujący oczy, że tyłu nas jest w gromadzie — nie damy się złodziejowi, ani komu.

Wszystkie porządki najpiękniejsze zawierała osada Jana Rykonia; najlepszy pono miał zbiór, najteższy inwentarz, obfity sad owocowy, pańskie narzędzia rolnicze, sławne kury, bo też i głowa nad tem wszystkim czuwała naczelna. Napatrzywszy się dużo świata, Jan zagrzał się do ulepszeń w gospodarstwie, a szczególnie do szerszej organizacji wspólnej roboty, niż ją mieli Mielniacy w swem kółku rolniczym.

— Widzita, ojce — mówił do kilku przyjacielskich gospodarzy, którzy wieczorem do niego przyszli — mieszkają w innych stronach panowie po piętnaście, a nie jeden tylko dziesięć włók — niewielkie państwa, kilka razy tylko większe, niż nasze. A jak się w kupę wzięli, takie ci zaprowadzili u siebie porządki: pługi samochodne se sprowadzają, nasiona najplenniejsze, buhaje i

ogiery zagraniczne. A ktoby tam z tych małych panów miał śmiałość sam dla siebie taki koszt i zachód czynić? Jeno jak się w gromadę zbili, jak wszyscy dla wszystkich radzą i składają się — mocni są; dwa razy tyle ziarna zbierają z morgi, co my, a krowa im więcej, niż pięćset złotych, na rok daje.

— To nasz zakrystjan ma taką krowę, co mu z udoju w przeszłym roku sto rubli dała — odezwał się ciężki Selwestrowicz.

— Nie trudno jedną taką mieć — odrzekł Rykoń — a jeszcze kościelną, co jej nikt nawet swego zielonego grochu nie zabroni, a z całej parafji jada — ale żeby sztuka w sztukę z wielkiej obory tyle dawała.

— Szczęśliwsze panowie od nas są, bo mądrzejsze — rzekł z przekąsem dziobaty Workowski.

— To właśnie, somsiedzie — potwierdził Rykoń — zmądrzeć nam trzeba. I który mocniejszy rozum ma, kto więcej czytał, abo lepiej praktykował, niech innym użycz — żeby go tylko słuchali. A najlepiej postawić nad każdą robotą przełożństwo, żeby ci, co umieją robić, dla całej gromady robili. Spółki mleczarskiej nam trzeba — i takich, coby nasiona kupowali — i takich od kupowania narzędzi — i takich, coby z urzędu naszych spraw pilnowali.

— A to wszystko przy naszym kółku urządzić! — odezwał się Żulek, chłop młody i niecierpliwy.

— Aale! — odrzekł Workowski — w kółku od pół roku o kupieniu buhajka radzimy, a buhajka jak nie było, tak niema.

— Kółko za słabe; szerszego nam koła trzeba — odezwał się Dominik Pełka, brat karbowego ze Sławoszewa.

Rykonowi błysnęły zęby od radosnego uśmiechu.

— Rzadko co powiecie, somsiedzie Dominiku, ale dobrze: trzeba nam się poczuć w większej gromadzie — i z panami, które mądrale są na roli — i z nauczycielami, które uczą po szkołach rolniczych — i z wielkimi pieniędzmi i z wielką siłą.

— Jakże to przemyślcie, Janie? — zapytał Workowski.

— Widziałem ich tam robotę między sobą w towarzystwie rolniczem. Ta jest i z nami, gminiakami. Wielgachna jest ta robota; wszystko w niej sprzężone, co człeku siedzącemu na kawale tej polskiej ziemi potrzebne, czy na dużym, czy na małym. I nam, Mielniakom, trzeba do tej wielkiej roboty mieć przyłączenie.

— Oj! — powątpiewał Workowski — robią ci tam oni bardziej dla siebie, niżeli dla nas. Taka już ludzka natura jest.

— Nie widzieliście, Pawle, a gadacie. Trafiliście jeno w to, że każdego natura do swojego ciągnie. Tylko i natura nas wszystkich, co się tą ziemią paramy, powinowata. A cóż to, my w zarządzie nie potrafimy naszych chłopskich interesów obronić, czy co?

— Byliby nasi w zarządzie? — zagadnął Workowski, a twarz ospowata śniadością mu się powlekła ciemniejszą i oczy pożądlawie błysnęły.

— Choćby i wy, Pawle, i ja. Tak myśleliśmy z dziedzicem sławoszewskim, kiedyśmy sobie pogwarzali o założeniu u nas towarzystwa okręgowego na wiosnę.

— Oj, rety! już na wiosnę? — zawołał Selwestrowcz.

— A dopóki chcielibyście czekać, somsiedzie? Kiej co dobre, śpiesz się doń, bo może uciec — rzyknął Rykoń.

Nowy projekt realny ubudził w gospodarzach niektóre wątpliwości. Przemówił Żulek:

— Ślachty mało w okolicy; jakież ci to będzie towarzystwo?

— Taka bieda, po waszemu? — odparł Rykoń nieco ironicznie — to nas więcej będzie w zarządzie, gminiaków.

— I nową składkę nałożymy na siebie — powątpiewał Pełka.

— Kto nie chce się zapisać, płacił nie będzie. A potem, jak zobaczyta, co to za robota przyłączona do swojej własnej centrali, niby do Warszawy, każdy się naprosi jeszcze, żeby płacić głupiego ruble.

— To niby gubernator nie ma do tego nic? — odezwał się znowu najmniej świadomy z obenych, Selwestrowicz.

— Jemu tam gubernator! — objaśniał Workowski. — Gubernator je tylko od tego, żebyśmy powstania nie robili.

— A od tego, coby ludsiom na roli lepiej było, mamy swoje naczelniki — dodał Rykoń głosem głębokim od przeświadczenia.

— Jacyż to oni? jacy? — zapytało naraz paru gospodarzy.

— A bo to mało ich, prezesów w Warszawie, albo jenszych na wsi! A są i tacy, co nijakiej godności na sobie nie noszą, ten gospodarz na małym, ten dochtór na ten przykład w Kutnie, ten wędrownik od zakładania warsztatów chłopskich po kraju — a naczelniki są! — Co wam tam powiadać, kiedy się nie chceta nawet do towarzystwa zapisać — —

— Kto powiedział — warknął Workowski — że ja nie chcę?

— Może wy, Pawle, Ale do tej roboty potrzebna cała gromada; inaczej nic!

— Dajcie pomyśleć, Janie — dorzucił Pełka — powoli wszyscy możemy się zapisać.

— Oj! powoli wy myślicie, Mielniacy! — a czasy prędkie są.

— I cóż? gadajcie — —

— Przerabia się ta polska ziemia — mówił Rykoń mocno — jakby ci ją kto głębiej pługiem skroił, a odkładnicą na wierzch wywalił takie skiby, co nigdy słońca Bożego nie widziały. To te skiby nowotne powinny ze staremi, które zdawna rodziły, swoją spoistość mieć, bo kiedy się nie skleją i w rodzajności

swojej nie pogodzą, mizerny będzie plon z tej niwy. Tego, widzita ojce, nie trzeba zabaczać przy każdym naszym poczynaniu.

Słuchali go, jeden bystrzej, drugi leniwiej, wnikając w znaczenie, ale wszystkim podobała się przypowieść. Workowski opowiedział się odrazu przy Rykoniu i tłumaczył:

— Trzymajta ze ślachtą — mówi wam Jan.

— Ze ślachtą, abo i nie ze ślachtą — poprawił Rykoń — ze wszystkimi po wsiach i miastach, które Polaki są i robić potrafią w gromadzie.

— Polaki to oni wszyscy w gębie są — nadmienił Żulek — które z nami gadają. Ale kto ich tam wie, co potrafią i jaką dla nas życzliwość mają?

— Na to człowiek rozum ma — odrzekł Pełka — kto ci gada o tem, co sam już dobrze robi, to go słuchaj; a kto od śliny, albo coś tam z niewiadomego pisma przepowiada, to lepiej obwączhaj, zanim połkniesz.

— I racja — potwierdził Rykoń. — Kiedy mi pan Broniecki, co jest gospodarz, jak się patrzy, poradzi: bronuj tu prosto, tam na sage, wierzę mu. Kiedy pan Godziemba, co już budował, a dobrze, da mi plan domu gminnego — biorę. A zacznie mi tam opowiadać ten profesor, co się po Mielnie tego roku włóczy — śmieję się. — Prawi mi o Polsce ludowej, gdzie to my tylko sami, gminiacy, rząd sprawować mamy — daleko to, ale daj Boże! — A zapytajcie go, co tera robić — uczyć się — dobrze — prenumerować „Ludowca“ — niechta będzie. I dalej co? — Nie robić nic z dziedzicem, ani z księdzem, bo to wrogowie. — To ja ich lepiej znam od was, panie profesorze! Jest czasem, który we dworze, albo w plebanji, o sobie tylko myśli i do pospólnej roboty na nic — ale więcej takich, co nam z duszy serca życzliwi są, bo się już po ich czynach pokazało. Do takich was namawiam, ojce. A ilu ich ja widziałem i na wsi i w miastach! — i wrogów naszych nie spotkałem. To taki profesor niby nowe czasy przepowiada. Po swojemu postęp, a stare bajki roznosi. Abo on głupi z całym swoim rozumem, abo swoje w tem jenteresy ma, nie nasze.

W te rozprawy starszyny wmieszał się znienacka głos parobka Bembenisty, który dotąd słuchał w milczeniu:

— Gadajcie zdrowi, gospodarze, ale prefesor dla całego ludu roboczego serce ma — —

— Pocałował cię? — zagadnął szyderczo Workowski.

— Całować me nie całował, jeno zna on należność, jaką człowiek roboczy za granicą ma, parobek, czy fabryczny, i o tej przepowiada, że i u nas nastanie.

— To ci tu jeszcze źle u Rykonia — mówił ze zgrozą Workowski — gdzie parobek z nimi do jednej misy siada, a sutej? — gdzie kozuch co roku dostaje i tyle dobra, że lepiej ma, niż niektóry gospodarz na połwłóczku?! —

— Nie mówię, że tu źle, jeno że kuźdy człowiek do swojej własnej skiby

ziemi się kwapi i do swego prawa...

— A pokwap no się tera za drzwi! — zawołał Rykoń niewielkim nawet głosem, ale tak dotkliwym, że Bembenistę jakby wymiotło z izby.

Zaległo między ojcami wsi milczenie, przemyślali o nowych czasach, które nadciągają, pełne obietnic i razem niepokoju, — — Jednym będzie lepiej, drugim gorzej — — ale jak nam? — myślał każdy o sobie i swoich najbliższych. Tylko Jan, który miał najszerwsze serce, roił wciąż o szerokiej szczęśliwości i wyrывał się do jej przyspieszenia. Odezwał się nareszcie:

— Patrzajcie, jaka tu jeszcze robota tego profesora! Od Bronickiego i Godziemby nas odciągał; proboszcza, chociaż to nijaki ksiądz, na czarnego diabła przemałował; ledwie nam naszego domu nie popsuł w zaczęciu — tera jeszcze i parobków przeciw gospodarzom bontuje. — Ten ci jest w roli, o której wam powiedziałem, jako ten kamień co skibę od skiby odgradza, plonu nijakiego nie żywi, tylkoby dobre żelazo pługa szczerbił i łamał.

Pokiwali gospodarze głowami.

— Wyrzucić go ze wsi! — zawołał prędko Żulek.

— Co tam wyrzucić? nie mieszka przecie w Mielnie — poprawił Workowski — tylko go nie słuchać, nie brać jego książeczek, bo i bez Boga są i nie do rzeczy.

— Dużo on tam wie! mojej wyki na polu nie mógł poznać; myślał, że groch — zaśmiał się Selwestrowicz.

— A do mnie gadał: chodzisz pan do kościoła? — A jakże — mówię. — Nie przeszkadzam — powiada. Ja się go ta pytać bede o pozwolenstwo! — śmiał się z profesora Dominik Pełka.

— To widzicie — rzekł Rykoń — tacy się nam na naczelników napraszają, a nic z naszych spraw nie rozumieją, nic dobrego nie radzą, jeno ludzi kłócą i roboty psują. — A inni, dawni znajomi i sąsiedzi na roli, mówią nam: pójdźcie do pospólnej z nami roboty. Was jest gromada duża, jeno ciemna, nas gromada mniejsza, ale silnie z sobą zmówiona i nauczna. Robić będziemy to samo: żeby każdy chleba więcej miał, Polskę słaWił i Boga jednego chwalił. — To jakich myśłita obrać sobie za przyjaciół: czy tamtych majstrów-psujów, czy tych majstrów od roboty?

Zgadziali się już, mniej lub więcej rozumiejąc, ale ufali wszyscy Janowi, który najdalej jeździł i najdalej okiem sięgał.

Gdy wyszli, Rykoń przeszedł przez sień i zajrzał do drugiej izby. gdzie Rykonina matka, brzydka dziewczka Anastazja i drzemiący parobek Fudała zwiłali nici na szpulce. Cicho tam było i niewesoło, tylko ład i dostatek, widoczne przy świetle dobrej lampy, napełniały izbę zadowolonym spokojem.

— Idźta już spać — rzekł Jan do służby.

Matkę zaś pocałował w rękę na dobranoc, a ona przemówiła, całując syna w głowę:

— I Jasieńko już legnie, co? Niechta oczków se nie ślepi przy lampie, jak wczora — —

— Tylko se doczytam gazetę, legnę, matulu.

Wrócił do izby, w której przed chwilą rozmawiał z sąsiadami; dymno w niej było od papierosów, więc okno otworzył i spojrzał w noc pochmurną. Różaniec światłych okien, czuwających przy ziemi, poprzerywał się już znacznie i gasł w oczach; wiało chłodem wilgotnym i osmętną ciszą.

Zamknął okno. Ogarnąwszy wzrokiem pustą izbę, podumał przez chwilę nad swem życiem prawie zakonem, które wypełnia całkiem robota, tylko robota — — i przypomniawszy nagle Magdusię Olaczkównę, jak ją trzymał w tańcu przyciśniętą, krągłym gorsem do piersi, palącą oczyma, napraszającą się ust czerwoną ponętą, na okrężnem w Sławoszewie — — Wiedział, że wczoraj wyjechała z państwem do Warszawy — żał go w serce zakłuł, że ona już nie w sąsiedztwie, lecz daleko, między rozpustną ludnością wielkiego miasta, a słodka taka, jak plaster miodu, do którego wszystkie bąki i trutnie się zlatują — — Mógłby ją tu taj mieć, w chacie rozweselonej, pełnej młodego szczebiotu — — pogodziłaby się z matką, której Jan do śmierci opuszczać nie chciał — i dobrą byłaby żoną a pomocną, bo nawet pisać umie pięknie i w listach mogłaby wyręczyć — byłaby naogół taka, jakaby ją Rykoń mieć chciał, bo potulna, choć piękna, i garnie się zdawna od niego.

Ale zakazał sobie ponownie tego rojenia, niby złej pokusy, westchnął krótko, potrząsnął czupryną, po lejbiku na żebrach mocno się chlasnął oburącz, jakby ręce, do ciągót ochocze, powstrzymywał — i usiadł przy stole pod lampą.

Miał Rykoń w tej izbie stół, przeznaczony do czytania i pisania, na którym ostro zakazał gospodarować czeladzi. Leżały tu zebrane po porządku numerów trzy pisma perjodyczne, dwa warszawskie, jedno łowickie; był kałamarz, pióro, ołówek, papier i koperty; w szufladach zbiór listów otrzymanych, plany domu ludowego — cały aparat wiejskiego statysty. Było to ulubione miejsce Jana podczas samotnych wieczorów, czuł się tu obywatelem szerokiego kraju, którego przeróżne sprawy przynosiły mu gazety; nieraz już i sam napisał do znajomych redakcji zwięzłe uwagi albo zapytania. Niektóre z nich wydrukowano. — Otrzymywał często listy i nie od byle kogo: od wybitnych działaczy, od doktorów od prezesów, ba nawet od jednego posła polskiego z Petersburga. — Gminiacy, zamiast pisać, woleli do niego przyjść, albo przyjechać, a nierzadko zjawiali się z dalekich stron. Na listy Jan odpisywał zawsze, prędzej czy później, a przychodzących po radę przyjmował uprzejmie, nie jak naczelnik albo znachor, lecz — jak brat. Chwalili go sobie ludzie, jako

mądrą i setnego chłopą. Najmniejszy może mir miał w swojej wsi, w Mielnie, że to z panami za dużo majstrował i fizyk był nieprzenikniony.

I którzy tu byli dzisiaj, niby najlepsi przyjaciele, jak ciężko godzili się na projekty i namowy! A co i gadać o innych, zazdrosnych o swoją przewagę, jak wójt Damian Skierski, albo wręcz nieprzyjaznych, jak Goździk, Kołaczyński, Orlik, Maryniak, chłopcy oporne wszelkiej robocie łącznej z dworem! A o takim Smagale, nawet z innej gminy pochodzącym, który z profesorem Owocnym był w znowie i w jego zastępstwie przyjeżdżał do Mielna chłopom we łbach przewracać. Reszta gromady była ciężka, podejrzliwa — tyle tylko, że na zebraniu gminnym szła za tym, kto najmocniej gardłował, a w tej sztuce Rykoń był majstrem nieprześcignionym... Przeprowadził więc uchwałę o domu ludowym mocą swego gadania i zabiegów — już się cegłę zwoziło na grunt przy gminie kupiony od Gładocha — ale po tem zwycięstwie nie nabrał zaufania do zbiorowego rozumu, ani do samodzielności Mielniaków; utwierdził się tylko w przekonaniu, że pchać trzeba przemocą ku ich własnemu pożytkowi.

Do wójtostwa w Mielnie też się nie kwapił — przybyłaby mu jeszcze walka z pisarzem gminnym i mozolna korespondencja z władzami — czuł się za to przełożony nad znacznie większym okręgiem, zmówionym z potężnem i organizacjami, z wielką gromadą. Na wójta możeby go nawet nie zatwierdził gubernator, bo rodzina Rykoniów była „nie błahonadeżna” od roku 1905, gdy się wszystkie z niej chłopcy postawiły twardo przy obronie polskiego języka w gminie. Brat Jana, Ambroży, odsiedział nawet za to dwa lata więzienia, przeznaczony przez nieboszczyka ojca na winowajcę w tym buncie, jako mniej zdolny i mniej potrzebny gromadzie, niż Jan. Cherłał od tego czasu, ale się ożenił i miał swe gospodarstwo w Mielnie.

Jan Rykoń kochał swoją gromadę po męsku, bez rozrzewnienia, bez pobłażania wadom i opieszałościom, kochał ją trochę tyranicznie.

XII.

Zapomina się o wsi w Warszawie tem łatwiej, im pora roku surowsza. Opuszczają człowieka nagle pragnienia dotknąć bezpośrednich do żywiołu pierwotnego, inaczej człowiek czuje i muśli, mądrzej i skuteczniej — zapewniają mieszkuchy, — powierzchowniej — twierdzą zagorzali wieśniacy. Ten, który po zbożach dojrzałych puszczał oko spokojnie szczęśliwe i podsłuchiwał, co kłosa szepczą o wieczystej harmonji i zgodzie; który wchodził między żrebce rozhulane na grodzi i skupiał do ręki ich oczy, rżące życiem, ich ciała gniade i kare, pachnące potem centaurów; który widywał, jak dzień gaśnie u siebie, na swoich włościach bezgranicznych; który zasypiał, jak dziecko, a budził się z ptakami o świcie — ten znalazł się dzisiaj w mieście, w hotelu.

Obudził się późno, bo poszedł spać po północy. Zechciał przez otwarte okno wpuścić do pokoju świeże powietrze, ale dostał w twarz zapachem węglału cebuli, a po uszach turkotem kół tak przeraźliwym, jakby całe miasto zajeżdżało mu przed hotel. Zamknął okno. Już dziennik poranny przynosi ten zamęt wypadków, którymi ludzkość, stłoczona po miastach i stelegrafowana po świecie, zaprzęta sobie niespokojnie głowy.

Oszołomiony wieśniak wchłania wiadomości krajowe, zagraniczne, teatralne, literackie, polityczne, osobiste — — wszystko to czytało się i na wsi, ale było niby powieścią o dalekich, niedościgłych stronach. Tutaj wypadki są dzisiejsze osoby takie, z których niejedną można zaraz obejrzeć, do drugich łatwo dojechać. Ze steku bezładnych powiadomień pozostaje w głowie szum ogromnej zgiełkliwości spraw ludzkich, a zarazem przyzwyczajenie do powszędy panującego Grzechu. W wielkim mieście nie zdybać nigdzie cnoty, wszędzie gorączkę i zmaganie się ludzi między sobą, „rekord“, którego celem rozkosz, sława lub potęga. Ten dąży do bieguna ziemi, ten w niezwydzone wyżyny powietrza; ten legalnie wydziera bliźnim pieniądze, ów dla swych celów handluje ideami. Mężczyźni wyglądają na gładkich a przemysłnych zbójów, kobiety na głodne dreszczów i wydziwów nierządnic. Wszystko, co ludzie urządzili rzekomo dla dobra ogółu, od tronów do przytułków nocnych — tchnie obłudą hasel i prawdą żądzy człowieczej — wszędzie stary Grzech tryumfalny na czele zabiegów ludzkich, pojedynczych i zbiorowych! — To w mieście. Ale na wsi są jeszcze wielkie pola niewinne, dworki i chaty, których gad jadem swym nie oślinił. Gdy się zaś sumiennie poszuka, Wszędzie są jeszcze dobrzy ludzie.

Do takich należą ludzie z sercem wiejskiem a z umysłem ciekawym, którzy,

folgując obu tym instynktom, pół roku siedzą na wsi, pół w mieście, a z piekła miejskiego nie czerpią zgorszenia, lecz ostrzegający przykład. Do takich też należy pani Rozalja z Bronieckich Obichowska, stryjeczna siostra pana Józefa. Majętna wdowa, oprócz dóbr ziemskich, posiada w Warszawie dom, do którego powraca stale późną jesienią i zajmuje w nim całe drugie piętro od frontu, bardzo obszerne, zdolne do pomieszczenia licznych zebrań i rozszerzonego koła domowników, po wiejsku. Przy matce mieszka najstarsza córka, Zosia rówiennicka Mańki Bronieckiej; młodszy synowie są w szkołach zagranicznych.

Ciocia Rozalka, u której Manieczka pozostaje już kilka tygodni, jest wcale pokaźną i miłą osobą, chociaż już kilka tygodni, jej włosy zaczęły już tracić połysk. Bujna krew Bronieckich utrzymuje jej zdrową cerę i zalety towarzyskie, a ponieważ zarazem żywi zbyt mocno jej cielesne wdzięki, ciocia szuka namiętnie ruchu i jeździ do Marienbadu, „aby nie ociężać”. Umie jednak nie być śmieszną w gustownie dobranych strojach i usposabiać do siebie przychylnie. Pan Józef lubi, w przypadkach naglających uczuć familijnych, objąć „siostrunię” za kibić mocno pancerną i wrazić serdeczny pocałunek w loczek około uszka. Jako niedrodna Broniecka, musi pani Rozalja gadać, słuchać, sprawiać bliźnim przyjemność, karmić ich i poić; skoro się tylko zjawia w Warszawie, salon jej przyciąga liczne koła uradowanych gości.

A jednak wiadomości publiczne, głośnie i szeptane, niewesołe były w tym roku. Uciskały wszystkich jak więzy, osłabiały, jak choroba. — Tylko dobrze było odpocząć od nich czasami w salonie pani Obichowskiej. Chociaż nie tańczono w nim, lecz ogrzewano się przy jego ciepłe wiejskiem, żywem, zwłaszcza z powodu dwóch panien na wydaniu. Pani Rozalja miała i tę wyższość, oprócz wielu innych, nad pospolitemi matkami, że nie była zazdrosna o Mańkę, bogatszą od jej Zosi i bardziej pociągającą młodzież przez swój spryt przyjazny. Zosia była inna, brunetka, pogardliwa i wybredna, podobna do nieboszczyka ojca, Zbigniewa Obichowskiego, który poczuwał się do arystokracji z powodu starożytnego podania, że Obichowscy herbu Wieniawa byli jedni z królewskim rodem Leszczyńskich, tylko przez cały ciąg naszych dziejów oczekiwali na sposobność odznaczenia się. Więc w salonie pani Rozalji spotkać było można dużo karmazynowej szlachty, nierzadki przeciągał hrabia, a comesów, których przodkowie za Piastów trzęśli krajem, było co niemiara. Spotykało się tam przecież i ludzi, którzy obecnie znaczą coś w kraju, oprócz cyfry swych fortun.

W początku grudnia Manieczka, przyczyniająca dotąd ciotce tylko zadowolenie i gości, nabawiła ją kłopotów: samowolnie poszła na jakiś odczyt, z którego powróciła zagadkowo podniecona, może nawet zapłakana, w każdym razie tajemnicza. Niepokój ciotki wzmożł się szczególnie od następnego dnia, gdy się

wieść rozeszła, że na zebranie młodzieży, która urządziła odczyt bez pozwolenia władzy, wtargnęła policja i aresztowała kilkunastu uczestników, mężczyzn i kobiet. Wprawdzie Manieczka powróciła do domu, ale jej niezwykle usposobienie i parę poprzednich spostrzeżeń obudziły niepokój pani Rozalji. Zatelefonowała do hotelu, gdzie mieszkał pan Józef, lecz dowiedziała się że właśnie wyjechał gdzieś na wieś. Wogóle coraz rzadziej odwiedzał córkę i stryjeczną siostrę. Trzeba więc było, z obowiązku opiekunki i z ciekawości, rozmówić się gruntownie z Mańką.

Nastąpiła ta rozmowa zaraz po śniadaniu dnia czwartkowego, wyznaczonego na regularne przyjęcia pani Obichowskiej.

— Powiedz mi, Mamuś, otwarcie, jak starszej przyjaciółce, czy nie byłaś czasem na tem zebraniu, przerwaniem przez policję, o którym wszyscy dziś mówią?

— Byłam, ciociu — odrzekła bez wahania panna.

— Masz tobie! poco?!

Pani Rozalja nie była bynajmniej trwożliwa, przejrzała też prędko w myśli swe wpływy i stosunki, zapewniające, w razie potrzeby, wykręcenie siostrzenicy od odpowiedzialności za czyn nierozważny. Ale ubódł starszą, dobrą krewną brak zaufania, okazany jej przez Mańkę.

— Więc pocóż bez mojej wiedzy, ani ojca? — —

— Bo możeby ciocia nie pozwoliła, a ja musiałam tam być.

— Jaka to pilna potrzeba?

— Nie można ciągle żyć w salonie; gdzieindziej są rzeczy bardziej zajmujące.

— Maniuś, Maniuś! Ja nie jestem taka stara, jak ci się zdaje. Wszystko rozumiem, poszłabym może z tobą... ale trzeba przecież choć zapytać ludzi doświadczeńszych i z twojego towarzystwa! Oleś Leśniowski pewnoby ci nie pozwolił.

— Ten ananas ma mi co pozwalać?!

Zaczerwieniła się nie ze wstydu, lecz z rozdrażnienia.

— Mamuś! jak ty się wyrażasz? — — mówię, że masz w nim bardzo życzliwego człowieka i młodego — — mógłby ci objaśnić, jaka młodzież tam się zbiera i czy to pannie Bronieckiej wypada.

— Dużo on tam wie! Wie tylko, co robią hrabiowie i że nic nie robią.

— Cóż tam znowu, moje dziecko? — zawołała żywo pani Obichowska — w główce ci się przewróciło? Mamy przecie, Bronieccy, dużo krewnych hrabiów, są jednej z nami krwi — gorsi nie jesteśmy, w żadnym razie od jakichś panów... Czernskich.

Manieczka, ugodzona w punkt wrażliwy serca i sumienia, spojrzała na ciotkę nieprzyjaźnie. I z nadąsaniem odparła:

— Ja jestem z ludu...

— Co takiego?!... Aha, rozumiem: to są idee tego pana, któregoś do mnie wprowadziła. On cię też namówił na ten odczyt?

— Może być — odrzekła krnąbrnie Mańka.

— Ale u mnie dziać się to nie może, Manieczko; — odrzekła sucho pani Obichowska — poczekamy na zdanie twego ojca.

Po odejściu ciotki Manieczka obrachowała swe sumienie, mocno jednak obciążone. Jeszcze samo wprowadzenie do ciotki Czemskiego było stosunkowo niewinną intrygą. Panna Broniecka spotkała go na ulicy, idąc z Magdusią do bliskiego sklepu, zaczęła go i w krótkiej, lecz celowej rozmowie ułożyli się z sobą, że Stefan w najbliższy czwartek zjawi się u pani Obichowskiej z jakimiś wiadomościami ze wsi, jako sąsiad Sławoszewa. Był to już poniekąd spisek. Czemski przyszedł w ów czwartek, został przedstawiony ciotce Rozalji i przyjęty przez nią uprzejmie, ale zaraz po pierwszej przedłużonej wizycie zbudził nieufność pani domu i jej stałych gości. Odosobnił się w salonie z Manieczką co najmniej na pół godziny, co zwróciło ogólną uwagę, a dotknęło Olesia Leśniowolskiego, który nawet wyraził się, że ten pan z zupełnie innego świata jest niebezpieczny nie sam przez się, lecz z powodu należenia do grupy ludzi, pilnie przez władze obserwowanej. Czemski wrócił jeszcze w następny czwartek, potem się już nie pokazał u pani Obichowskiej. Lecz przez dwa długie popołudnia daleko zaszło porozumienie między nim a panną Broniecką. Stefan, mówiąc długo i sprawnie, jakby przez tydzień przygotowywał się do miłej audjencji, zdołał gorąco, zająć Mańkę i sobą, i robotami młodzieży, w których brał udział. Tutaj kowano przyszłość demokratyczną, ludową, obrachowaną na wielkie i zbawienne przewroty; promienie tej akcji na wsi są jeszcze słabe i chwiejne — tutaj grzeje i wzmacnia się płomień centralny, dobroczynny w zjednoczonych sercach młodzieży. Z tych rozmów wynikło, że Mańka musi pójść na zebranie młodych, na które też otrzymała od Stefana kartę wstępu i wczoraj — poszła. Ten pierwszy krok czynny zakończył się tragedją faktyczną, a większą jeszcze w wyobraźni dziewczyny. Spotkała tam Stefana pośród swoich, słyszała jego mowę płomienną, której jeden ustęp zdawał się płynąć z ich wspólnych wspomnień, a zwracać się prosto do niej, do Manieczki.

Mówił:

„Żyje sprawa postępu i gorące ukochanie ludu w wielu umysłach i sercach, które mieliśmy za stracone. W szeregach bogatego ziemiaństwa, pośród ludzi znieprawionych przez tradycje wyzysku pracy włościanina i przez zamroczona klerykalizmu, zdarzają się dusze zdrowe i jasne, niepodejrzane o sobkostwo klasowe, pełne szczerości i ofiary. Sam poznałem takie siostry i towarzyszek, bo mówię o kobietach“...

Słuchałaby tak długo jego męskiego głosu, dźwięcznego, jak wiosenne gromy, patrzyłaby w oczy, odbijające daleką, umiłowaną wizję, a czasem złagodzone dla niej, w nią prosto mówiące. — — Poszłaby po tej przemowie z nim, gdziekolwiek on każe, pewna, że nie zawiedzie jej zapału, ani zaufania. — — Wtem — dreszcz elektryczny i mroźny zarazem: dzwonek policji do prywatnego mieszkania — oniemiało kilkudziesięciu zebranych osób — dobyte przez Stefana z zanadru jakiegoś zeszytu, przygotowanego na wypadek, rozpoczęcie czytania zgoła innego przedmiotu — wejście paru urzędników i żandarmów — cisza — groźne zapytania i krótkie odpowiedzi, dźwięczące jednak Podobnie do nabijania broni — strach i gniew — zapisywanie nazwisk.

— Marja Broniecka, córka obywatela — wymieniła pierwszy raz w życiu Manieczka swe nazwisko przed policją, a uczyniła to tak jasno i twardo, że Stefan, na którego w tej chwili spojrzała, zmarszczył czoło po bohatersku, a oczyma roziskrzonymi powiedział niezawodnie, że ją kocha — —

Rozpłakała się dopiero wtedy, gdy samotna spieszyła do domu w zakrytej dorożce. I dosięgła w tym dniu świadomości swych przeznaczeń; poczuła w sobie dzielność i postanowienie, a także rozwagę, ona która dotychczas poddawała się kolebaniu swego pogodnego życia.

Po rozmowie z ciotką zastanowiła się odraza nad tem, co ma czynić. — Nie trzeba się poróżnić z ciotką, która zresztą jest dla niej bardzo dobra — należy zaś dowiedzieć się dokładnie o losie Stefana, zobaczyć go, a potem?... Nie domawiała dalszych pragnień, choć stały się one naraz głównym bodźcem jej działań, treścią jej życia. Na dzisiaj program jest ten: wejść między ludzi, nic nie dać poznać po sobie i zasięgnąć informacji. Więc z twarzą wesołą, choć przybladłą, ukazała się na przyjęciu w salonie ciotki.

Siedzącym tam już paru paniom Oleś Leśniowski opowiadał plotki klubowe, dotyczące znajomych osób: ten się z tym pogniewał; ów dużo wygrał w karty; jakaś pani otrzymała anonim, który ją odstraszył od urządzenia skatingu na cel dobroczynny i wogóle od spraw krajowych... Te anegdoty wydały się Manieczce wstrętnymi, ale pomyślała:

— Muszę być dzisiaj uprzejma dla Leśniowskiego, bo należy do klubu, więc zna z pewnością różne urzędowe figury. Może mi być potrzebny.

Słuchała więc, powstrzymując swe niezależne usposobienie do prawdomówności, a gdy jeszcze przyszło parę osób i konwersacja jeszcze się rozdrobniła, fruując, jak rój much bezmyślny z przedmiotu na przedmiot, Manieczka wdała się w rozmowę z Leśniowskim, który oddawna już starał się jej podobać. Nie był głupi, tylko inteligencję swą przystosowywał do zbyt pospolitych pragnień: chciał powierzchowną swą dystynkcją, raczej krawiecką,

niż głębszą, zyskiwać sobie uznanie wszystkich naraz: dorożkarzy, kokot, paniczów — słowem, całego narodu, z którym obcował. Przystojny był — przyznawały to niektóre kobiety — gdyby nie te oczy, zbyt piękne, fałszywie szlachetne i pełne zagadkowej wyższości, Manieczka nie cierpiała tych oczu, szczerych tylko w zmysłowej propozycji, obrażających jej dumę dziewczęcą; świadomość, że Leśniowski jest „dobrą partją“, że stara się o jej rękę, że dużo osób, nawet najbliższych, życzliwie popiera jego zaloty, drażniła ją aż do gniewu. Dlatego tylko nie dała mu dotąd kosza, że przezorny Oleś nie wypowiadał się wyraźnie, darzył ją jakimś sentymentem, niby kuzynowskim (krewny był Obichowskich), i nie śpieszył się z oświadczeniami. Przyszło dzisiaj Mańce do głowy okazać się bardziej łaskawą dla swego konkurenta, na wszelki wypadek.

— ...Więc może się pani da namówić na karuzel w maneżu? — w kostjumach Louis quinze — Poprowadzi nas hrabina Granowska z księciem Dołgorukim — będzie wspaniały!... Jakże, panno Manniu?

Manieczka nie cierpiała też wypieszczonego akcentu Leśniowskiego. Raz już zwróciła jego uwagę, że imię jej zdrobniałe jest od wyrazu Marja, nie manna. Ale dzisiaj pominęła tę poprawkę i weszła w szczegóły propozycji:

— Czy trzebaby mieć amazonkę z tej epoki, czy zwyczajną, a tylko strój głowy?

— A nie! koniecznie amazonkę stylową! Ja pani dostarczę modeli rozmaitych — mam taką książkę francuską: *Les sports à travers les âges*.

— Dobrze... Któż tam będzie jeździł? Znam panią Granowską, ale tego księcia — nie.

— Przedstawię go pani — — Zresztą niekoniecznie trzeba znać wszystkich, tylko, swoją parę — — Jeżeli pani pozwoliłaby służyć sobie za rycerza... albo nawet za pacholka?...

— Naturalnie; gdybym jeździła, to tylko z panem.

Oleś skłonił się, mocno zadowolony, bo nie przywykł do nadmiernej uprzejmości panny Bronieckiej, i sądząc, że już posiadał obietnicę udziału w karuzelu, który mógł być stanowczy w jego życiu, mówił z ożywieniem:

— W takim razie, możeby pani była już tak łaskawa wybrać kostjum i dla mnie, dostosowany do pani stroju?

— Niech pan najprzód pokaże tę książkę — — Nie wiem, jakbym wyglądała w takich fiokach — nie jestem ani trochę Louis quinze...

— Owszem! widzę panią doskonale — — jako pasterkę. A ja się znam na tem, śmiem powiedzieć.

— Na czym się pan zna?

— Na tem jak może wyglądać piękna kobieta... przestawiona w inne warunki.

Pani jeździ dobrze konno? prawda?

— Jeżdżę tam... naturalnie, że jeżdżę. Najlepiej lubię po męsku.

— Très moderne! ale w tej kombinacji niemożliwe. Pani może cudownie wyzyskać swój typ piękności w przebraniu. Pracujemy nad tem, — czy zgoda, panno Manniu?

— Ja wiem, jakbym się przebrała! — rzekła Manieczka, zapominając o dyplomacji, pociągnięta nagle przez samą treść zabawy — za Łowiczankę.

— Za Łowiczankę? chłopkę? — — Wie pani, że mogłoby to być bardzo oryginalne — i kolorowe i odbijające od całego kadrylu — odpowiedział Leśniowski, byle się godzić.

Ale wejście do pokoju nowego gościa przerwało te układy i inne rozmowy, gdyż gość był dość rzadki, człowiek bardzo zajęty i ogólnie znany, jeden z prezesów instytucji ziemiańskiej. Przyszedł głównie w celu otrzymania adresu Józefa Bronieckiego, bo nie mógł go od paru dni zastać w hotelu. Choć człowiek w sile wieku, uprzejmy, prezes wnosił zawsze z sobą niby memento spraw publicznych do zebrań towarzyskich. Przywykł już do tego, więc nie zdziwił się i tutaj, że po paru minutach wstępnej, rozstrzelonej rozmowy, zapytała go jedna z pań:

— Słyszał zapewne pan prezes o nowych aresztowaniach w mieście?

— Czytałem rano w dzienniku — odpowiedział prezes dość niechętnie.

I pani Obichowska starała się ominąć ten przedmiot, proponując gościowi różne ciastka do herbaty. Ale przedmiot był, widać, nieunikniony, zaraz odezwał się Leśniowski:

— Mieliśmy i w klubie o tem wiadomość; porobiono dużo rewizji; między aresztowanymi jest i jakiś Czemski.

— Czemski?! — zawołała jedna z pań — ten może, któregośmy poznali tutaj w zaprzęsły czwartek?

— Zdaje się, że ten sam — tłumaczyła pani Obichowska — to sąsiad od Sławoszewa Bronieckich, więc go raz, czy dwa przyjechał — — znam go mało.

— Ależ to bardzo interesujący młody człowiek! — wołała poprzednia pani. — Czy pan prezes go zna?

— Trochę, Jeżeli zabrnął głęboko, to szkoda go, bo tęgi młodzieniec i wykształcony, tylko jeszcze niewytrawny. Niestety, to ten brak normalnego porozumienia między dzielnymi ludźmi. —

I rozmowa przeszła na wymianę ogólników, mniej lub więcej trafnych, o życiu publicznem u nas.

Na Manieczkę uderzyły żary. Jednychby zgromiła głośno za niechętnie wzmianki o Stefanie, a naprzykład prezesa uściskałaby za życzliwość dla „tęgiego młodzieńca“, Ale musiała milczeć, bo była sama skompromitowana, i

to „politycznie“! Na szczęście, nikt o tem nie zdawał się wiedzieć, oprócz cioci Rozalii, Ale on, Stefan, jeżeli „zabnął głęboko”, może siedzi w okropnem, podziemnem więzieniu?! Może będzie badany okrutnie, sądzony na pozbawienie wszystkich praw?!... Dreszcz chwycił dziewczynę, ale nie dreszcz lęku, lecz siły i odwagi. Trzeba koniecznie mu pomóc, wydobyć go z więzienia! —

Szukała między obecnymi sprzymierzeńców. Ten Leśniowski zna tylu potentatów... Ej nie — Leśniowski zrobiłby coś dla niej, ale nie dla Czemskiego; gotówby jeszcze zdradzić — takie ma oczy... Ta pani, która jakąś tam głupią sympatję okazała dla Stefana? — — Cóż ona może? baba! — — Ale właśnie ten miły, dobry prezes! — o! —

Odrzucała zamiar prosty i serdeczny: czyhała na wyjście prezesa, który wkrótce powstał rzeczywiście i pożegnał się. Pani Obichowska odprowadziła go do progu, Zosia także, a Manieczka, jako panna domowa, pośpieszyła też z odprowadzeniem i nikt bardzo nie zadziwił się, że poszła za odchodzącym aż do przedpokoju. Mrugnęła na Zosię, aby wróciła do salonu, i sama przystąpiła do prezesa:

— Pan szukał mojego ojca? — — Jak tylko powróci ze wsi, powiem mu... to pewno z powodu odczytu o hodowli i o sztucznych nawozach?

— Tak jest. Nie wiedziałem, że mamy w pani tak uprzejmą i fachową sojuszniczkę!

Spojrzał wesoło na panienkę która garnęła się do niego ze ślicznem zaufaniem.

— Ale ja także chciałam pana prezesa zapytać... jakby można pomóc panu Stefanowi Czemskiemu, który tam... siedzi — —

Prezes spojrzał uważniej w oczy dziewczęcia:

— Nie jest to łatwe, proszę pani, ale... Czy Pani zna dobrze Czemskiego?

— Jakże? sąsiad ze wsi!

— Zamieszał się do robót, niezupełnie trafnych.

— Jednak tęgi człowiek — sam pan mówi?

— I nie cofam tego. Teraz gdy wpadł w nieszczęście, godzien jest, oczywiście współczucia i pomocy.

— On chce tylko dobra ludu. On jeszcze z nami będzie pracował — zobaczy pan.

— Jeżeli pani go nawróci — bardzo wierzę. No... ja mogę spróbować... nie jestem wprawdzie w dobrych stosunkach z ludźmi, od których to zależy — ale znam takich, którzy tamtych znajdują.

— Panie prezesie! — — Manieczka złożyła ręce błagalnie z tak gorącym zaufaniem do człowieka, którego zaledwie знаła, tak jasno, i kobieco, i dziecinnie patrzyła iskrzącymi oczyma, a świeżymi ustami rzeźbiła serdeczne

słowa, że preses rozrzewnił się i pocałował dziecko w rękę.

— Spróbuję napawno; w każdym razie, dowiemy się dokładnie o sprawie. Niech pani nie miesza tu swego nazwiska... to trzeba robić ostrożnie, Mnie pani powiedziała dobrze; innym nie warto tymczasem. A z naszej rozmowy nabrałem przekonania o Czemskim, że to porządny człowiek. Do widzenia — dam pani znać.

Powróciła Mańka do salonu, promienna od rozbudzonej nadziei. Spojrzał Leśniowski na pannę i nic nie zgadł; nie mógł jej przecie posądzać o zalotne konszachty z prezesem; ale zauważył napewno, że jest ładniejsza jeszcze, niż zwykle, — nie tylko posażna jedynaczka, lecz kobieta, pełna zdrowej i pociągającej siły, z którą wartoby się sprzymierzyć. Wydało mu się, że dzisiaj należy wyjaśnić, czy może liczyć na wzajemność Manieczki. Zaledwie powróciła do salonu i usiadła zamyślona, słuchając tylko pozornie rozmów, przysiadł: się do niej ze swobodą większą, niż wprzód.

— Więc jakże, panno Maniusiu? Mam się ubrać za markiza czy za chłopą?

— Dlaczego ma się pan przebierać? — zapytała Manieczka, jak zbudzona ze snu.

— No... na ten kadryl w menażu.

— Ach! niechże pan da spokój! Tutaj mówiono o ważniejszych sprawach, a pan znowu z tym? głupim kadrylem! Wstyd doprawdy!

— No, dobrze... — wahał się oszołomiony Oleś — ale cóż kadryl przeszkadza? — i jakim, sprawom?

— Nie słyszał pan, co mówiono o aresztowaniach najlepszej młodzieży?

— Najlepszej? nie wiem. Przyznaję, że to niewesołe — ale tymczasem można przecie konno jeździć; to zabawa rycerska.

— Można, można — odrzekła Manieczka niecierpliwie — tylko ja nie pojadę.

— To i ja nie! — ja tylko chciałem w to się wdać z panią i dla pani.

Ten zwrot mowy energiczny i szczery nierozrzewnił Manieczki, ale ją rozbroił. Spojrzała zadziwiona na Leśniowskiego, który mówił dalej z przekonaniem, a nawet mniej pretensjonalnym, niż zwykle, akcentem:

— Myli się pani, jeżeli myśli, że ja jestem tylko światowcem i niczem więcej. Żyję w towarzystwie, w którym się urodziłem, biorę udział w jego zajęciach i zabawach; ale nie wystarczają mi; sam czuję pustkę tego życia.

— Więc dlaczegóż pan nie robi czegoś na prawdę? Dlaczego nie siedzi, na przykład, na wsi?

— Owszem, bywam i w swoim majątku. A że tam nie pracuję, jakbym mógł?

— No, to dlatego, że nie jestem doskonały. Jeżdżę, rozglądam się po świecie, szukam ludzi i poznaję ich zajęcia. — — Gdybym na wsi miał dla kogo

pracować, dla jakiejś wspólnej przyszłości... Zresztą nie mam jeszcze lat trzydziestu.

Jakoś ten Oleś wydał się Manieczce w tej chwili mniej wstrętnym. Słuchała dość ciekawie jego wynurzeń, mniej wspaniałych, niż zwykle, zato szerszych. A on wróżył sobie coraz lepiej z jej zaciekawienia.

— Gdyby pani chciała trochę przyjaźniej mnie traktować, lepiej poznałibyśmy się. Ale pani traktuje mnie, jak zbrodniarza.

— Co znowu?! gdzież tam!

— No, to przynajmniej, jak jakieś podejrzané indywiduum, zepsute przez życie miejskie, obce... A my przecież jesteśmy trochę krewni... Powinnaby mi pani mówić „Olesiu”. —

— To znowu nie wiem, dlaczego — —

— Więc inaczej, ale w ten sens: to mi się w panu nie podoba, a tamto podoba. Przyjąłbym od pani z radością każdą naganę, gdybym tylko wiedział, że panią choć trochę obchodzi...

Manieczka milczała.

— A znowu gdyby pani przywiązywała choć trochę znaczenia do mego zdania, czy jabym doradzał same kadryle, spacer, wizyty? Z pewnością — że nie. Mówiłbym z panią o wszystkim szczerze: o ludziach, o kraju, o polityce — — mówiłbym nietylko, jak z cudowną kobietą...

— O nie! proszę już tylko nie o mojej cudowności, bo nie wierzę. Mogę być dla kogoś... przyjemna, ale potrafię być i nieznośna.

— To właśnie pytanie ogromnie ważne — une question palpitante — jaka pani chce być dla mnie?

Manieczka pomyślała przydług, sumiennie:

— Dla pana chcę być... uprzejma. Ale pan jest zupełnie inny, niż ja — pewnie wyższy — —

— Chciała pani powiedzieć: daleki?

— Daleki — powtórzyła Manieczka i utkwiała spojrzenie w swe ręce złożone i kurczące się od nerwowego napięcia.

Urwało się, jakby wątpiła, którą bawili się oboje, pękła. I wtedy właśnie zwrócono uwagę z paru stron na Leśniowolskiego i Manieczkę, zanotowano ich miny niepowседневne.

Po wyjściu gości pani Obichowska wzięła żywo na bok siostrzenicę.

— Przyznaj się, Maniuś: odpaliłaś Leśniowolskiego?

— Nie, ciociu; nie było mowy o takich rzeczach.

— Aleś go zniechęciła... no, do projektu?

— Staralam się go zniechęcić.

— Wiesz co, Maniuś? Bardzo cię kocham ale od paru dni robisz mi same

głupstwa! A tu jeszcze twego ojca, jak niema, tak niema!

XIII.

Fatalnym szkopułem dla cnoty Bronieckiego była mnogość jego przyjaciół. Gdy przyjeżdżał do Warszawy, do hotelu, w którym zwykł był stawać od ćwierci wieku, napełniał cały hotel zgiełkiem swych spraw rozlicznych. Krzyżowali się posłańcy od i do jaśnie pana, telefony napełniały powietrze dreszczem prawie nieustannym. Były w tem i sprawy ważne: rolnicze, kredytowe i parlamentarne, ale dużo też spraw wesołych, lekkich, był i nadmiar polskiego gadania. Czasami górował nad wrzawą donośny głos pana Józefa:

— Antoś! wypucować mi buty, ubranie — i kawy białej — duchem! No, ruszaj-że się Antoś!

Służący, z pozoru weteran wojsk polskich, chyba dlatego tak pieścizotliwie nazywany, że zaczynał dzieciennieć, łyżwował wtedy jak najśpieszniej do pokoju gromkiego pana dziedzica i, zabierając manatki, zdawał jednocześnie raport z wypadków, które zaszły przed południem, podczas gdy Broniecki spał jeszcze, bo o ile na wsi był rannym ptakiem, o tyle w Warszawie — nocnym.

— Odnieśli tryb do maszyny — ciężki jucha! postawiłem w łazience.

— Dałeś co posłańcowi na piwo, Antoni?

— Z czego tu dać? Grosza na tabakę niema w kieszeni.

— Mówiłem ci, arcybyku: gdy potrzeba co zapłacić dla mnie, rznij do pana Klonowicza, administratora, który komenderuje moją flotą.

— Będę wiedział. — A jeszcze telefonowała tam jakaś... zdaje się, że Janka.

— Która Janka?

— Zdaje się, że ta kulawa — —

— To mnie nie znasz! Kulawych tam żadnych nie przyjmuję. Bucik jej dolegał, jak tu była. — Czegóż chciała?

— Ha, pewnie tego, co i zawsze — — Powiedziałem jej, żeby zadzwoniła później, bo pan wyszedł.

— Nie powiedziałeś, że śpię? Brawo, Antoś! Widać, żeś służył w dobrym pułku. No, teraz kawunia —

— W mig będzie.

Podczas gdy pan Józef golił się i ubierał, przychodził do niego pan Klonowicz, minister finansów, szlachcic starożytny, brodaty, z pozoru okrutny, tylko gdy się rozweselili, śmiał się do łez, jak człowiek pogodnego sumienia. Był to przyjaciel wtajemniczony w sprawy i sprawki Bronieckiego, niby zrzęda i moralista, lecz w gruncie bardzo czuły i pobłażliwy powiernik.

— Stary Klon wygląda mi dzisiaj coś niebardzo — — witał go pan Józef —

musiał wieczorkiem bawić się czemś niezdrowem?

— Gdzie mnie tam! — opędał się Kłonowicz ręką od podejrzeń. — Po sobie pan sędzisz.

— Cóż? patrzę na księżą oborę? — pytał Broniecki, przeglądając w lustrze swą twarz od brzytwy lakierowaną, wąs do góry i oczy pijane życiem już od rana.

— Ogniotrwałe zdrowie! — mruczał Kłonowicz, niby oburzony. — Miesiąc z górą takiego życia, a innego pochowałiby już — słowo daję! Ale Kasia chora —

— Kasia?

— Ta żelazna, z czterema zamkami. Złożyłeś mi pan w końcu października trzy tysiące w depozyt — wczoraj frunęła ostatnia setka. —

— O psia! — Ale nie bój się, Kłonosiu. Nadpłynęła flotylla za jęczmień. O, patrz tu — —

Dobył z pod poduszki grubą kopertę i rzucił na stół. Kłonowicz wziął do rąk i zaczął liczyć banknoty.

— Po czemuż pan sprzedajeś?

— Po ośm rubli korzec, ale tylko połowę. Na wiosnę będzie droższy.

— Bój się pan Boga! podwójna cena w porównaniu z targową!

— Bo jęczmyk „prima Sławoszewo”; rozchwytają te ziarenka na siew.

Kłonowicz osłupiał, wiedząc, że Broniecki lubi wywoływać osłupienie przez słowa swe i czyny.

— Zaraz tu przyjdzie parę, osób — zaczął pan Józef z innej beczki — zjedz z nami śniadanie, stary.

— Padam do nóg, uciekam! — zerwał się Kłonowicz z miejsca, zagarniając wszystkie pieniądze za jęczmień.

— Hola, hola, jegomość! schowaj mi pan tysiące, ale zostaw te drobne.

— Ładne mi drobne! — burczał Kłonowicz, oddając kilkaset rubli.

Przychodzili do pana Józefa, gdy się zagnieździł w swoim hotelu, przyjaciele bardzo liczni i bardzo odmiennych gatunków: poważni rolnicy i hreczkosieje ogólno-szlacheckiego typu; mózgowcy i ludzie bezmyślnie weseli; hrabiowie i chłopci. Tylko kobiety, gdy się czasem zamieszały do towarzystwa, były wszystkie jednego gatunku. Córce zakazał wyraźnie pan Józef odwiedzania go w hotelu. — Czasem ci goście, gdy się spotkali znienacka, spoglądali na siebie wzajemnie z nieufnością; jeden dziwił się, że Broniecki toleruje takich lekkoduchów, drugi nie mógł zrozumieć, dlaczego „Żozio” zaprasza takich nudziarzy, Ale niewyczerpana werwa gospodarza wyrównywała te wszystkie różnice stanów i usposobień. Był to rodzaj demokratyzacji za pomocą butelki.

— Bo łącznik, nazywany przez uprzejmego gospodarza szkiełkiem,

flakonikiem i mnóstwem jeszcze pieszczotliwych przezwisk, spajał i dopasywał różne humory gości, zatrzymanych, czasem przemocą, na śniadanie w numerze. Pił, kto co chciał: gołę, czerwienca, renia, szampidruta czyli białego. Tradycyjny węgrzyn zjawiał się już rzadziej na stole.

Ktoby nie znał Bronieckiego ze wsi, gdzie wstawał ze słońcem, dozorował bacznie, liczył dobrze i przezornie, pomyślałby, widząc go podejmującego w hotelu gości, że polsko-saski Bachus jeszcze żyje między nami.

Tym razem zasiedział się Broniecki w Warszawie: szósty już tydzień rezydował w niej bez przerwy dla dwóch pozorów: wprowadzania córki w „świat“ i odczytu w towarzystwie rolniczym. Ale córkę widywał tylko u pani Obichowskiej, coraz rzadziej, a odczytu dotąd nie przygotował należycie; upominano się z towarzystwa natarczywie o termin. Pan Józef, obiecywał sobie opracować przygotowany materiał w trzeźwym świetle którego poranku, tylko tych poranków jak gdyby nie było wcale w mętnych dniach zimowych, zajętych całkowicie przez przyjaciół. Można wprawdzie pracować i przy lampie, ale znowu, gdy zabłyśły światła, narzucała się nieprzezwyciężalna konieczność biesiady obiadowej, teatru, teatrzyku, aż do godzin bardzo późnych, zawsze w towarzystwie jakichś przyjaciół. Radośnie wchodził „Żozio“ na czele ich szwadronu, naprzykład do restauracji. Zapalały się wszystkie lampy i serca, a usługujące „byki“ zwiły się ochoczo, pewne sutego napiwku i przyjaznego traktowania. Tylko czasem z kąta sali jaki znajomy statysta zezował z przekąsem ku bachicznej kompanii i mruczał:

— Ależ ten Broniecki przepije Sławoszewo!

Mylił się statysta, bo pan Józio szumiał jako „Żozio“, dopóki starczyło nabranego fermentu, nie zaciągał długów i powracał znowu do usilnej roboty na roli. Trwało to już ćwierć wieku niechybnym systemem. I nawet — o dziwo! — było z tem Bronieckiemu nieźle do twarzy, choć coraz bardziej zaokrąglął się w pasie, czerwieniał na nosie i siwiał na skroniach. Niweczył pogłądowo nowożytnie teorie o higienie w wieku dojrzałym. Niejeden jego rówieśnik chwiał się w przekonaniu do swych leków i kuracji, patrząc na pana Józefa, dającego żywy przykład triumfującej niewstrzeźliwości:

— Choroba takiego nie zmoże — mruczał z podziwem i zazdrością.

Jednak w tym roku krytykowano szumne życie Bronieckiego z innego stanowiska: w kraju było zbyt smutno i groźnie, aby dojrzały obywatel mógł się tak weselić — —

Z Petersburga ziało ku nam nienawiścią czynną, zgubną dla wszystkich dobrych poczynań; zaprowadzono u nas „porządki“, jakby umyślnie obliczone na przyspieszenie skrajnego zamętu; postęp narodowy znieprawiały zdradzieckie działania Żydów, zalewających coraz nowe obszary ziemi i myśli polskiej;

młodzież, w istocie dość obojętna na roboty ogólne, ogłaszała swe buńczuczne zakazy i programy nieżywe — — Kłóciła się załoga nawy publicznej między sobą, zamiast walczyć zgodnie z nawałnicą, wszystkim grożącą — —

Widział to wszystko Broniecki, ale tak nie cierpiał stanu przygnębienia, że, spełniwszy na wsi swe obowiązki, hulał w mieście dla pokrzepienia ducha. To dążenie do równowagi nie obchodziło się bez pewnych odchyień na stronę wybujałej zabawy.

Zdarzyła się taka okazja w dniu imienin Ambrożego Dowbutta, 7 grudnia. Był to Litwin, osiedlony zdawna w Królestwie, w willi, którą nabył niedaleko od Warszawy, kawaler wesoły, broniący się od starości ciągłą wprawą w młode zabawy, więc oczywiście i przyjaciel pana Józefa. Narwali się „Brozio i Żozio“, a gdy się zetknęli, łyskały iskry dowcipu, strugi szampana i nawet awantury. Raz się nawet strzelali, choć bez krwi rozlewu, o jakąś damę, która już dawno poszła za kimś trzecim, — i pozostali następnie w tem ściślejszej ze sobą komitywie. — Pan Dowbutt, postawy i fantazji rycerskiej, służył niegdyś w pułku ułanów i dotąd czuł słabość do barwnego munduru, przypominającego mu, jak twierdził, polskie czasy, ale bardziej minioną młodość, mniej polską, niż buńczuczną. Uczta w willi Dowbutta nie mogła się też obejść bez udziału młodych oficerów, nadzwyczaj dobrze wychowanych i usposobionych dla Polski, póki się nie urznęli ostatecznie, lub dosięgli wyższego urzędowania.

Co się działo tego roku na imieninach u Dowbutta — niebardzo wiadomo, gdyż pan Józef nie opowiadał o tem wcale. Wiedziano tylko w hotelu, że Broniecki wyjechał samochodem w okolice Warszawy i miał powrócić nazajutrz, lecz nie wrócił. Dopiero czwartego dnia o dziewiątej rano ukazały się na ulicy cztery imponujące samochody.

Pierwszy prowadził osobiście pan Józef, ubrany w wilczurę włosom na wierzch, w czapce z okularami, może nie bez celu tak ukryty pod przebraniem. Obok siedział Dowbutt w czapce mundurowej, którą „miał prawo nosić“, w głębi dwóch cywilnych, jeden ułan i postać, okutana w aksamity, mieszająca do swędu benzynowego mocny ciąg perfum kobiecych.

W następnych samochodach jechali sami wojskowi z paru jeszcze paniami, w ostatnim trębacz pułkowi, bez dźwięku trąb, dla przyzwoitości.

Pędził ten pociąg czterowagonowy szybko, roztrącając sygnałami dorożki i przechodniów, jakby czereda uprowadzała porwane panny przed spodziewanym pościgiem. Poranek był jasny i mroźny, dużo ludzi na ulicach. Przechodnie, czy nędźnie, czy dobrze ubrani, ścigali samochody oczyma niechętnymi. —

Chociaż z postaci pana Józefa widać było tylko rubin nosa, wąsy i energiczną szczękę, kilku panów, porządnie ubranych, zatrzymało się na chodniku, przyglądając się pilnie dowódcy niezwykłego korowodu, I Broniecki zwrócił

twarz w przelocie na tę grupę.

— O psia! — zawołał, wtulając szyję w wilczurę.

— Cóż to, Zoziu? — Zagadnął Dowbutt — paluszek tobie zabolął w nóżce — a?

— Nic... nic — odburknął pan Józef, zapominając ciętego języka.

Poznał na chodniku Godziembę, Młockiego i paru innych, dążących in gremio, prawdopodobnie na posiedzenie. Czyżby i oni go poznali? — — I trzebaż było właśnie tych spotkać! — —

Stanąwszy przed swoim hotelem, Broniecki oddał kierownik Dowbuttowi i prawie bez pożegnania towarzystwa wpadł do swego numeru.

Kilka listów leżało na stole, z których jeden od pani Obichowskiej samym adresem ukłuł nieprzyjemnie pana Józefa: „siostrunia“ nie pisała nigdy do niego z ulicy na ulicę Warszawy — mieli przecie telefony — więc musiała go szukać już dawno, skoro... Naturalnie! jakaś komplikacja z Manieczką — i to niepokojąca, sądząc po treści pisma — — Drugi list był od prezesa towarzystwa rolniczego, który oświadczał, że ostatni termin możliwy na odczyt Bronieckiego upływa 10 grudnia. — Kiedyż to? — dzisiaj właśnie!

Bez czapki tylko, lecz jeszcze przybrany w swą włochatą wilczurę, siedział pań Józef przez chwilę nad otwartymi listami, z miną wilka, pokutującego po obżarciu się. Sapał ciężko i prychał, jakby z obrzydzenia do siebie samego. Zerwał się nareszcie do dzwonka i zadzwonił tak energicznie, że numerowy zjawił się natychmiast.

— Antoś, wannę galopem!

— O, mój Boże! — dziwował się Antoni — jak też jaśnie pan wygląda w tych kudłach!

— Nie ze mnie wyrosły — nie masz się czego rozdziawiać — pomóż mi to ściągnąć — i zaraz kąpiel!

— W wannie dla panów siedzi numer szósty.

— To go wylej! — No, Antoś, galopa z lewej!

Gdy wkrótce łazienka została uporządkowana dla Bronieckiego, zamknął się w niej i długo zmywał podróżne kurze i grzechy. Ubrał się zaraz potem i wyszedł na miasto, dziwiąc się względnej świeżości powietrza porannego, której nie zaznał prawie przez cały ostatni w Warszawie.

Niespokojny i skruszony, zadzwonił, do mieszkania pani Obichowskiej — wszyscy byli w domu. Nasamprzód chciał się rozmówić z panią Rozalją, i ona także miała ten zamiar, więc się odosobnili w małym saloniku.

— Gdzież to byłeś tak długo, Józiu?

— Ach!... proszono mnie gdzieś o założenie płodozmianu... wszystko jedno. Ale co tam z Mańką?

— Cała awantura — —

Pani Obichowska opowiedziała o tajemniczej wyprawie Manieczki na zebranie młodzieży, zakończone wtargnięciem policji. Pan Józef wysłuchał ze spokojem, właściwym ludziom odważnym, pozbył się tylko swej żartobliwej fantazji i chciał się dowiedzieć dokładnie, jak dalece sprawa dotyczy jego córki.

— Popowrocie Mańki nie było u was nikogo z policji? Nie zapytywano o nic?

— Dotychczas nie.

— Ale wymieniła swe nazwisko tam, na zebraniu?

— Nie przyszło mi do głowy zapytać ją o to. Wogóle jest tajemnicza ze mną od tego czasu. Wszystkiego tu nabroił ów Czemski, wasz przyjaciel.

— Hm — — —

— A jeszcze muszę ci powiedzieć, Józiu: zdaje się, że Manieczka dała kosza Leśniowelskiemu, ho wyszedł z mego czwartku, jak zmyty. Broniecki nabierał tych powiadomień w zmarszczki twarzy, coraz wyrazistsze i groźniejsze. Rzekł wreszcie:

— Teraz bądź łaskawa przysłać mi Maniusię.

— Zaraz, Tylko jej nie łaj zanadto — —

— To mnie nie znasz, Rozalko! Ja sam się boję.

Rzeczywiście, pan Józef doskonale stawiający czoło niebezpieczeństwu zewnętrznemu, bał się córki, to jest nie wiedział obecnie, jak się ma zachować wobec jej postępów samodzielnych, wystających aprobacji lub potępienia? — Ojcowskie jego serce dyktowało jednak pobłażliwość; we wszystkim, czego się dowiedział, nie znajdował marnych pobudek, owszem, widział może śmiałe, lecz szlachetne instynkty Manieczki. Ale znowu niepodobna było pochwalić takiej samowoli, takiego rządzenia się, jak szara gąska.

Przyszła do niego poważna, bledsza, niby dojrzalsza, niż tydzień temu. Pochylając się jej główkę ojciec uściskał i ucałował we włosy. Sędzia i podsądna spojrzeli sobie w oczy z oczekiwaniem, on — buntu, ona — gniewu; ale dojrawszy tylko wzajemną chęć uniknięcia urazy, uśmiechnęli się do siebie miłośnie.

— Wiem już od ciotki wszystko, co zmalowałaś, Maniu. Nie miałaś złych zamiarów, jestem pewien, tylko główka — no! Powiedz mi teraz ty sama, dlaczego poszłaś na to zebranie, kto ci to pozwolił... Widzisz: nie gniewam się, a wierzysz chyba, że cię zrozumiem, bom ćwik i jesteś mi najmilszą na świecie osobą.

Manieczka położyła znowu główkę na ramieniu ojca, a on ją przytulił do twarzy.

— No, powiedz, córuś — — pan Stefan tak pięknie gadał?...

— Na zebraniu? — już tatuś słyszał o tem?

— Nie; wiem tylko, że w ciupie siedzi. Pytam, czy cię namawiał, abyś poszła?

— Ja go prosiłam o kartę wstępu. On przecie sam bardziej się jeszcze narażał...

— A nie broń-że tego kawalera przede mną! Jakby kaczuszka chciała skrzydełkami zasłonić konia — — ja go nie powieszę.

— Tatuś taki kochany, że go nawet wydobędzie z więzienia! I prezes obiecał mi starać się o to.

— Prosiłaś prezesa o uwolnienie Czemskiego?!

— Prosiłam.

— A tam, w tej ptaszkami, nakrytej przez policję, powiedziałaś swoje nazwisko?

— Kiedy mnie zapytali, powiedziałam. Jakże miałam zrobić? powiedzieć inne?

— I odpaliłaś Leśniowolskiego?

— Nie, ale zrozumiał, że nie warto o mnie się starać — —

Pan Józef zachmurzył się na dobre:

— Hm, hm... Toś ładnego piwa nawarzyła. Maniuś: powiedzą, żeś... zaręczona z Czemskim.

— Czy to tak straszne, tatusiu?

— Jakto?! — wybuchnął Broniecki — bez poradzenia się ze mną, bez mojej zgody zaręczyłabyś się z tym wartogłowem?! Tegom się po tobie nie spodziewał!

— Nie jestem zaręczona — odrzekła smutno Mańka.

— Mam nadzieję! Ale dosyć i tego, żeś obrosła po świecie nasze nazwisko, połączone z tym jegomością. Nie wiesz nawet, kto on taki, skąd się przydyndał w okolicie Sławoszewa...

— To bardzo porządny człowiek — zaryzykowała Mańka.

— Porządny! — sapał pan Józef, chodząc po pokoju — to nie dosyć, że nikogo nie zabił, ani okradł! — — Przewrócona głowa, nie szlachcic... Zresztą, co ty wiesz o nim, dziecko? Kocha się na prawo i na lewo...

— Jakto?! — zawołała Mańka, blednąc.

— A tak sobie — — Ma na wsi jakąś... narzeczoną, chłopkę, a po świecie ogląda się za każdą ładną kobietą. Spotykam go w Kownatach, pokazuję mu koronkową robotę szlachecką — kręci mi nosem przez cały czas i zadurza się wreszcie w gospodyni domu! Chłopoman po wierzchu, a w gruncie rzeczy fircyk. Ulokowałaś też rarytnie swoje sympatje, Maniuś, proszę, proszę — —

Fulminowałyby dalej, gdyby nie spostrzegł, że wielkie łzy, szybkie, jak deszcz wiosenny, spływały po twarzy Mańki.

— No, no, córuś! Nie jestem ludożercą. Wiesz, że dla ciebie żyję, dla ciebie pracuję; wiesz, że pragnę ci dogodzić we wszystkim — chyba żebyś chciała kapitalnego głupstwa — — No, czy wierzysz, że ci nikt serdeczniej nie życzy?

— Wierzę, ojcze.

— „Ojcze?” — możesz mnie i tak nazywać; nie jestem ci wujem. Musisz mi obiecać jedno, moja pani córko; że bez mojej wiedzy nie pryśniesz na żadne zebranie, nie będziesz się zjawiała i odmawiała. Masz przecie ojca, który i zrozumie, i poradzi.

— Jabym o wszystko się radziła, jak zawsze, ale odkąd-że tatusia nie widziałam? —

Broniecki chrząknął, pono się i zaczerwienił. Niewiadomo, kto bardziej nabroił w ostatnich dniach: on, czy córka?

— Tak się złożyło — rzekł — od dzisiaj będzie inaczej.

— Codzień rano przyjdę do tatusia — dobrze?

— Nie. Ja tu będę bywał codzień. Najprzód dowiem się o Czemskim.

— O tak, tatusiu!

— Postaramy się wydobyć pana Stefana z loszku, a w światełku zobaczymy, jak wygląda. Że ma ładne oczy i wąsy — to nie dosyć. Pięknie gada, kocha ludek — to także dopiero jest w gębie. Ale skąd się wziął, co robił, z kim się trzyma? — to bystrem oczkiem przejrzymy. Weźmiemy go pod nadzór naszej policji.

— Więc tatuś się dowie i o tych jego zaręczynach?

— To furda, moje dziecko. Takie zaręczyny łatwo się zrywa.

— Bo z chłopką? — — jakto?

— Bo... różne są na świecie zaręczyny. Wszystko ci powiem wkrótce, gdy będę wiedział dokumentnie.

Manieczka, jeszcze nieuspokojona, nowe postawiła pytanie:

— A pani Godziembina ładna?

— Masz tobie! — Dosyć ładna, ale matka trojga dzieci i najzacniejsza niewiasta! Ja przecie nie o niej cośkolwiek — tylko o tym twoim pomyłonym ideale!

Manieczka odęła usta i spojrzała na ojca z wymówką, a pan Józef rzekł serdecznie i poważnie:

— Dowiemy się najprzód wszystkiego, co wiedzieć potrzeba o panu Stefanie. A wiesz, Maniuś, że — co w twojem sercu, to i w mojem — —

Wyszedł szybko, rozrzucony i pełen energii, niepomny już hulanki, jak niegdyś jego imiennik, ksiązę Józef Poniatowski, który zrywał się od uczy, aby śpieszyć na zagrożony posterunek.

XIV.

Nazajutrz był już Józef Broniecki znowu poza Warszawą, w Lublinie, ale tym razem podał swój dokładny adres pani Obichowskiej i prosił, aby w razie najlżejszej komplikacji w sprawach rodzinnych zawiadomiła go przez depeszę. I nie pojechał na bylejaką lekkomyślną wyprawę, działał, owszem, pod wpływem serdecznego wzruszenia, które wywoływało w nim sprawną i przemyślną energję. Dowiedział się, że Stefan Czernski pochodzi z Lublina, gdzie mieszka też jego ojciec, doktor medycyny, i podążył odrazu do ośrodka powiadomień o człowieku, który już pewną rolę odegrał w życiu Manieczki.

Stał po południu w hotelu „Wiktorja”, który pamiętał z wystaw rolniczych i innych odwiedzin bogatej małopolskiej dzielnicy. Broniecki znał Zresztą cały kraj i wszędzie w nim był u siebie; miał i tutaj szeregi przyjaciół na wszystkich piętrach społecznych, od braci szlachty aż do służby hotelowej. Dowiedział się łatwo, gdzie mieszka doktor Tomasz Czernski i, ogarnąwszy się trochę po podróży, poszedł do doktora.

Dzień grudniowy był pogodny, połyskiwał prawie wiosennie na pstrokatych murach, na wielce nierównych dachach, krenelach i wieżach wzgórzystego miasta. Na bruku i chodnikach głównej ulicy, Krakowskiego Przedmieścia, leżało lepkie, czekoladowe błoto, naniesione setnami kołami wozów i bryczek, przybywających z żyznych okolic podmiejskich. I przed oczyma Bronieckiego harcowały dwukonne, puste dorożki, wiejskiem zacięciem nieco odmienne od warszawskich; wlokły się chłopskie wozy, naładowane worami zboża, paradowały dworskie karykły przeróżnych kształtów. W jednym powozie, sypiącym wyciągniętego kłusa czterech koni, poznał pan Józef dobrego kompana.

— O, psia! ten szelma Wicek! Jeżeli mnie zobaczy, będzie znowu około szkła robota — —

Ale pan Józef szedł piechotą, głowę trochę odwrócił ku sklepom, a pan Wincenty, stojąc w powozie, był pilnie zapatrzony na kłusa czwórki, którą może właśnie chciał kupić lub sprzedać.

— Lewy w dyszlu dryga, jak na kijach — musiał być ochwacony — wyrwała się Bronieckiemu uwaga zawodowca, automatycznie.

Sklepy ogłaszały swą zawartość nietylko zapomocą szyldów, lecz i zapachów; cukiernia buchała „litewskiem” masłem, skład apteczny — dajweldrekiem, tylko księgarnia wystawiała mozaikę druków, mniej więcej bezwonnych. Panowała zaś w powietrzu przeważnie woń Żyda. Ale Broniecki,

przywykły do miast krajowych, puszczał mimo nosa ten koncert zapachów. Doszedłszy do magistratu, zawrócił na prawo, w ulicę, gdzie wkrótce znalazł liczbę domu wskazaną. Z chodnika zszedł po schodach niżej, dostał się na małe płaskowzgórze, obudowane z włoska po staropolsku, potem schodami pod górę trafił do mieszkania lekarza na wysokiem piętze.

Trzy osoby siedziały w poczekalni przed zamkniętymi drzwiami gabinetu. Pan Józef podał służącemu bilet wizytowy, uprzyjemniony srebrną monetą, i kazał się zameldować. Służący poszedł naokoło do gabinetu i wrócił niebawem, oświadczając głosem, zmiękczone przez postać i hojność Bronieckiego, że doktor prosi o poczekanie kolei. Ruszył wąsem niecierpliwy dziedzic, ale uznał porządek demokratyczny i usiadł na krześle pod oknem, skąd widok miał pocieszający.

Starożytna strażnica bramy Krakowskiej zagradzała dolną część miasta swym kadłubem fortecznym, przebitym niską, głęboką paszczą, w której przepadali ludzie i wozy. Wielkie żółte gmachy katedry i przyległej kapituły stały na prawo, niżej pałac biskupi, jeszcze niżej staczało się drobniejsze miasto ku Bystrzycy. Poznawał Broniecki z wysokiego swego piętra krenelową koronę zamku Leszka Czarnego, dzisiaj turmy, dachy dawnego, prześwietnego Trybunału, zapleśniałe mury Dominikanów, pamiętające Kazimierza Wielkiego, święty przybytek Unji lubelskiej. — — Czuąc się wśród tych wielkich pamiątek uczestnikiem dawnej świetności i chwały, choć blado ozłoconej zimowem słońcem, Broniecki rozmarzył się i udobruchał zupełnie. Tymczasem poproszono go do gabinetu doktora.

Dr. Tomasz Czemski był wysokim mężczyzną o bujnych włosach siwych, o pięknych, zmęczonych oczach i postaci ujmującej przez swą poważną swobodę. Pan Józef zaraz wyciągnął do niego rękę:

— Jestem Broniecki, ze Sławoszewa, sąsiad syna pańskiego, Stefana. Nie przychodzę po consiljum pana doktora, bo jeszcze, chwała Bogu, jestem z lekarzami tylko w przyjaźni, ale nie w zależności pacjenta. Przychodzę pomówić o panu Stefanie, który, jak zapewne panu wiadomo...?

— Ach! — klapnął się doktor w czoło, jak gdyby teraz dopiero zbudził się do rzeczywistości — pan Broniecki ze Sławoszewa! Tyle przecie o panu słyszałem! — proszę mi darować zwłokę w przyjęciu pana, ale my, słudzy publiczni, musimy się trzymać przyjętej zasady.

— Uznaję, uznaję. — — A o synu pan wie?

— Wiem, szanowny panie. Dostał się do kozy. Niech posiedzi — może go to oduczy od papierowej roboty.

Broniecki trochę się zadziwił, jednak przyjemnie. Doktor mógł być obojętnym ojcem, ale oczywista, że jest miłym człowiekiem, pełnym

szlacheckiej fantazji. Musi nawet być szlachcicem? — Lada łyk takby nie wyglądał — —

— Pogląd doktora trafia mi do przekonania. Gadałem mu to nieraz! Tymczasem jednak wartoby chłopaczka wyłabudać z ciupy.

— Udałem się już do znajomych ze świata urzędowego — odrzekł doktor frasobliwiej — mówiono mi, że sprawa małej wagi, bo cóż? tylko nielegalne zebranie. Ale kto ich tam zgadnie? — —

— Ja także znam kilka wpływowych mundurów i pozostaję do świąt w Warszawie. Mogę za tą sprawą podeptać — —

Doktor podziękował wymownym spojrzeniem.

— I przyjechałem właśnie dlatego prosto do pana, aby zebrać wiadomości o młodym „zbrodniarzu”. Znamy się od niedawna, a przemawiając za kimś, trzeba znać jego curriculum vitae, aby się w zabiegach nie zasypać.

— Proszę szanownego pana — Stefan ma lat 25; chodził do tutejszego gimnazjum; skończył je, na szczęście, przed wybuchem strajku szkolnego, ale już do uniwersytetu w Warszawie nie poszedł, jak mieliśmy dawniej projekt. Jako jedynaka uwolniono go od wojska. Siedział przez pewien czas w Warszawie, gdzie różne pozawierał znajomości — — Namawiałem go na uniwersytet krakowski, ale uparł się i pojechał na studia do Niemiec. Gdy je ukończył, kupiłem dla niego za posag jego matki, już nieżyjącej, ten folwarczek Niespuchę w pańskim sąsiedztwie, mówił bowiem, że czuje się powołanym do życia z ludem wiejskim i dla ludu. — — Oto szkielec jego życiorysu. Co zaś do jego przekonań i działań politycznych, o które zapewne chodzi w obecnej chwili — nie mogę pana dokładnie objaśnić. Już w gimnazjum należał do związków raczej postępowych — — potem — czy się zapisał do związków takich lub owakich? — nie wiem, coraz mniejszem bowiem zaszczycam mnie zaufaniem, jako człowieka „zacofanego”... mnie, który przecie... Ale nie zacznę mówić o sobie.

— Taki już los nasz, ojców — westchnął Brouiecki. — Gwizdać na nas wolno i korzystać z naszej roboty. Gadałem trochę i z panem Stefanem. Sprawiał mi wrażenie, że byłby setnym pracownikiem, gdyby go nie opętały cudze formułki.

— To właśnie mówię — ucieszył się doktor — dodam tylko, że Stefan nigdy nie był kosmopolitą, międzynarodowcem, niczem podobnem.

— Niby Polak ordynaryjny, jak my, panie doktorze?

— Z instynktu najzupełniej, szanowny panie. A tam z teorii! Wypróbuje on ją na swojej skórze.

— Byle nie na skórze ludu — wtrącił Broniecki.

— Tak źle nie będzie — odpowiedział ojciec Stefana, chcąc kres położyć

ujemnym przypuszczeniom o synu — kto ma polskie sumienie i głowę na karku, nie zechce wykonywać takich eksperymentów swej teorii. Stefan pragnie dobrego postępu, w to wierzę, A że tam czasem zabłąka się w drodze do celu, to skutek krwi gorącej. My mamy krew żołnierską, szanowny panie.

Doktor wskazał na ścianę, gdzie wisiało sporo obrazków i trochę broni. Pan Józef rzucił oczyma we wskazanym kierunku, a potem pytająco na doktora. Ten zaś mówił dalej:

— Ach, przepraszam! stare nawyknięcie; każdy czemś się chwali. Wiszą tam patenty żołnierskie mojego dziada, jego broń — — drobiazgi pospolite, ale dla mnie pamiątkowe.

— Owszem, to ciekawe dla każdego Polaka — rzekł Broniecki. powstając i idąc ku ścianie.

Więc powstał Czemski i pokazywał z upodobaniem. Wisiała tam za szkłem nominacja „urodzonego“ Stefana Czemskiego na porucznika w wojsku Księstwa Warszawskiego, podpisana: „Wódz naczelny, Józef książę Poniatowski“ — obok patent dla tegoż Czemskiego na krzyż wojskowy polski. Wisiała szabla, szpada, ładownica z orłem — dużo rycin, przedstawiających portrety wojskowych i bitwy.

— To wszystko po dziadku pana doktora?

— Przeważnie po nim. Po ojcu mam tylko drobne pamiątki. Zginął jako żołnierz, w polu; miałem już kilka lat wówczas i pamiętam go, jak przez sen —

Bronieckiemu zagrzało się w sercu, a od serca fala przepłynęła do ust wymową:

— Mój dziad służył także w ułanach, doktorze. To jesteśmy niby krewni — po mieczu. No, daj buzi, panie Tomaszu!

Omiotli się podwójnym pocałunkiem, poczem Broniecki rozglądał się po pokoju.

— Książek masz pan zatręśnienie!

— O! nawet niezły dobór i nietylko moich podręcznych, lekarskich. Tu są militarja polskie — — tu zbiór, który nazywam łańcuchem myśli polskiej, według mojego wyboru: statyści, reformatorowie, uczeni, poeci — — kosztowało dużo czasu i sporo nawet pieniędzy. Jest tu, naprzykład, kilka bardzo rzadkich druków arjańskich, jeden nieznany bibliografom — —

Dobył z szafy drobną, wyszarzaną książeczkę i podał Bronieckiemu, który ją ujął bez należytego uszanowania, jednak ciekawie.

— Nie znam się na tem, ale rozumiem zamięłowanie.

— A Stefan, naprzykład — poskarżył się znowu doktor — wcale tego nie ceni. To też biblioteczka pójdzie po mojej śmierci do zbiorów publicznych,

gdzie się komuś przyda napewno do studjów, bo nie jest to kupa książek, ale szereg, związany przez treść i wiekową ewolucję.

— A reszta, naturalnie, dla jedynaka? — zapytał niby niedbale Broniecki.

— Naturalnie. Dla kogożbym oszczędzał?

W mieszkaniu widać było, oprócz tradycji żołnierskich i znamion aktualnej pracy — dobrobyt; pokoje i meble miały styl niepowszedni, staroświecki, lecz żywy, odświeżony dla potrzeb nowożytnych. Z przyjemnością dowiedział się też Broniecki, że doktor mieszka we własnym domu, zajmuje zaś w nim wysokie piętro dla pięknego stąd widoku.

— Morowy chłop! — pomyślał pan Józef — warto z nim wypić „jedną” —

Odezwał się głośno:

— Gdzie się teraz u was jada, w Wiktorji w Polskim, czy gdzieindziej? Pójdziemy może razem, panie Tomaszu?

— Nie chodzę prawie nigdy do restauracji — jadam w domu. Ale! niechże mi pan uczyni przyjemność pozostania u mnie na obiedzie! — Dobrze? — Zaraz — dowiem się, co tam będzie na obiad.

Spiesznie i ochoczo wyszedł doktor z gabinetu, pozostawiając w nim Bronieckiego, który wróżył sobie z instalacji i z wszechstronnego wykształcenia doktora, że i kuchnię musi mieć dobrą. Mina doktora za powrotem, zadowolona i pewna swego, wzmocniła jeszcze to mniemanie.

— Czy pan pije białego burgunda? — zapytał Czemski — mam parę butelek z lepszych czasów.

— Moje wino! — odrzekł wesoło Broniecki, choć uważał za swoje wszystkie gatunki win, byle dobre.

Oczekując obiadu, dwaj nowi przyjaciele ciągnęli dalej rozmowę. Mówił Broniecki:

— Gdziekolwiek się zajrzy w tę naszą ziemię, trafia się na robotę szlachty. Zdarza się tu i tam jakiś wyskoczek z ludu, z miasta, ale naogół wszędzie szlachta: na polu i w mieście, A warczą na nas z różnych piśmideł, żeśmy strupieszeli. Androny, panie Tomaszu! Gdzie tylko co się robi — wszędzie szlachta, A co najzabawniejsze, że ten, który się na nas ciska, także zwykle ze szlachty! Jeżeli nie z Żydów, bo tych to już powołanie szczebrać na wszystkie roboty, nie prowadzone przez kahał i dla kahału.

Doktor ujmował kwestję z szerszego stanowiska:

— Można powiedzieć, że wszystko u nas robi szlachta, albo i nie szlachta; robią — obywatele kraju, A między nimi jest ogromna większość takich, których dawniej nazywano szlachtą i nazywanoby może dotychczas, gdyby nasz ustrój państwowy był naturalną ewolucją, a nie uległ bezprzykładowemu w

dziejach gwałtowi i zepsuciu. Pomimo osławionego naszego nierządu i mniej uwydatnionej niedoli, myśmy dążyli konsekwentnie do najszczytniejszej demokratyzacji, do równouprawnienia czynnych obywateli. Przyjmowaliśmy przecie w poczet szlachty mieszczan, chłopów, nawet Żydów pod wieczór Rzeczypospolitej, w dobie oświecenia i świadomości, zakończonej nieszczęściem — uszlachcaliśmy masowo ludzi pożytecznych. I to szlachectwo polskie nie miało nic wspólnego z feodálną szlachtą Zachodu, ani z hierarchiczną kamaryllą Wschodu; posiadał je równouprawniony obywatel polski, *civis Polonus*; było to coś w rodzaju patentu dojrzałości do udziału w rządzie i w prawach obywatelskich. Gdybyśmy się dotąd rozwijali normalnie, takiej szlachty byłoby jeszcze więcej; byłiby w niej i nowi chłopci — obywatele i mieszczenie — z czasem wszyscy zdolni do sprawy publicznej. Jeszcze krok dalej: zniesienie dziedziczności praw szlacheckich, a stalibyśmy się idealną gromadą republikańską. I dzisiaj, pomimo setnych przeszkód zewnętrznych, ten proces historyczny trwa: lud się budzi do obywatelstwa, czyli do polskiego „szlachectwa”, szlachty zaś, w znaczeniu stanu uprzywilejowanego, niema już wcale. Są pretensje, niczem nieuzasadnione, do przewodnictwa w narodzie naszej śmiesznej, ospałej arystokracji, która też przecie ze szlachty wyrosła; są wspomnienia, utyskiwania niektórych rodów, rzeczywiście w przeszłości zasłużonych; ale to już przepada zupełnie w ogólnej „szlacheckiej” robocie, która jest i trwa, w przeciwieństwie do tak zwanej „Polski ludowej”, której niema, która istnieje tylko w głowach, oszołomionych ewolucją społeczną niepolskiego zgoła typu. Ameryka jest „ludowa”, bo powstała z rozrostu gminu. Ale Polska ma swój własny typ rozwoju, zdawna ustalony.

Broniecki słuchał uważnie długiej konferencji doktora, miarkując sobie ubocznie, że musiał on mieć już gotowy taki odczytek od parady, Nie wątpił jednak o szczerości Tomasza Czernieckiego, tylko mu się w perorze nie wszystko jednakowo podobało.

— Mówisz, panie Tomaszu, jak z nut. Czy i piórkiem czasem tak...?

Domawiał, udając złączonemi palcami prawej ręki drobne pisanie po powietrzu.

— Nie zapieram się. Ale mało co drukowałem i nie z tej kategorii — — Może tam kiedyś po mnie? — — Teraz mnie uniosła nasza zwykła dyskusja ze Stefanem. Bo syn mój należy poniekąd do tych egzotycznych ludowców, którym się przyśniło, że Polska od nich może się zacząć nanowo.

— Tak, tak — odrzekł Broniecki — złotemi usty szczebioczesz, panie Tomaszu. Stefana wydobędziemy najprzód z ciupy — to się da zrobić — Potem go stasujemy mocno do chomąta społecznego — o! Ojcu nie wierzy się zwykle — przez ambicję należenia do młodych, do nowych. — Ale my, sąsiedzi, coś

tego... mamy mnóstwo przynęt dla Stefeczka.

— Niezmiernie panu wdzięczny jestem, panie... Józefie.

— Jam także bardzo rad, że poznałem tak miłego współobywatela, uczonego, działacza, no — I znowu brata szlachcica.

— Wszystko to pan łaskawie przesadza. A już co do szlachectwa nie poczuwam się...

— Jakżeż?! skoro dziad pański był porucznikiem i „urodzonym“ —? — wskazał Broniecki dokumenty, wiszące na ścianie.

— Tak... cenię te pamiątki dla siebie. To moje relikwie familijne. Ale ze szlachectwa nie legitymowałem nawet ani siebie, ani syna. To tylko bróździ w pojęciu nowożytnych obowiązków obywatela.

— Tu mi dajesz kominka, panie Tomaszu! Nikt się nie wypiera pochodzenia od zacnych przodków. Nie zrobiłbyś pan tego dla przypodobania się owym ludowcom, których krytykujesz? Ręczę, że pan wiesz, jakiego używacie herbu?

— Oni się tam pieczętowali Nałęczem — uśmiechnął się Czemski.

— No więc? Masz pan wszystko, co składa szlachcica: piórka na hełmie i polską duszę w piersi. No, chodźmy na obiad, obywatelu Tomaszu. —

Bo już drzwi otworzono do sąsiedniej jadalni, gdzie bielila się zastawa poczesna, a ze ściany spoglądał dziadek w staroświeckim mundurze.

XV.

Broniecki powrócił do Warszawy, pełen otuchy. Nic wprawdzie nadzwyczajnego, ani bardzo nowego nie dowiedział się o Stefanie Czemskim, jednak usposobił się do niego dużo lepiej przez poznanie ojca, Stefan był nawet fizycznie podobny do doktora, że zaś nie dorósł jeszcze do rozumu i wytrawności ojca — to naturalne. Dojrzeje z wiekiem. Przytem stwierdził pan Józef, że Czemscy należą do szlachty najlepszego gatunku, tej która przez ciężkie ostatnie stulecie poczuwała się bardziej do obowiązków względem społeczeństwa, niż do prerogatyw i do ciągnięcia z nich zysków osobistych. Jeżeli ma się poczynać nowa Polska, począć się musi od tych, którzy się jej krwią, poświęceniem i pracą zasłużyli, więc naprzykład od Czemskich, czy oni tam są ze szlachty, czy z łyków. — Dobrze jednak, że są szlachtą — dodawał w myśli pan Józef.

Broniecki, z usposobienia jeszcze młody, miał 1 cechę młodości umysłu, że wciąż wdychał z życia naukę, zapalał się do postępu, nie przywiązując się zbyt uparcie do półwiecznego blisko doświadczenia. Zbyt radykalnej demokratyzacji opiekła się jego rogata szlachecka natura, rozpieszczona dobrobytem, skłonna do używania preponderencji w społeczeństwie, do protegowania i naczelnictwa, ale zdrowy instynkt obywatelski nakazywał mu także cenić każdą osobistość użyteczną dla sprawy ogólnej, szanować dobrą wolę cudzą, choćby niezupełnie zgodną z jego dążeniami. — I z ostatniej podróży do Lublina przywiózł sobie nową podniechęć do ścisłego zbratania się ze wszystkimi rodakami, pracującymi dla przyszłości ojczyzny, bez względu na sfery, partje i koterje.

— Taki doktor Czemski — opowiadał z zapalem na obiedzie u pani Obichowskiej — to luminarz prowincjonalny, moi drodzy. Rozum tęgi, jeszcze tęższa gęba; kultura ogromna — ma zbiory muzealne, własny dom tak postawiony, że mu się przed oknami cały Lublin pod stopki ściele. W poczekalni tłumy! — ledwie się przecisnął. Lekarz sławny od Uralu aż po Atlantyck. A jak gada o sprawach krajowych, dość wam powiedzieć, że ja ledwie języka w gębie nie zapomniał. Zawarłem z nim przymierze.

Pan Józef koloryzował trochę jaskrawo, ale w najlepszym zamiarze: zwalczyć chciał wyraźne uprzedzenia pani Rozalji.

— Jednak to ludzie nie z naszego towarzystwa — mówiła dama.

— Szlachta, siostruniu! ni mniej, ni więcej, tylko Nałęcz — jak Małachowscy! Ojciec Tom asza był naczelnikiem partji w powstaniu, a dziad pułkownikiem i przyjacielem księcia Józefa Poniatowskiego.

— Skądże te wiadomości, o których nikt nigdy nie słyszał?

— Jedź ze mną do Lublina, Rozalko; zaprowadzę cię do doktora i pokażę te wszystkie patenty, szable, mundury.

— A dajże mi pokój! co mnie to obchodzi?

— To dlaczegoż postponujesz zacnego doktora, mego przyjaciela?

— Nie postponuję. Znam tylko jego syna, który ma dziwne maniery. Wyobraź sobie, że na którymś czwartku, zobaczywszy na srebrze herb nasz, Wieniawę, z głową byka w tarczy, zapytał, czyśmy to dostali za wzorową oborę! Zosi bardzo się to nie podobało.

— Ależ nie tak było, cioteczko! — zawołała Mańka. — Powiedz, Zosiu, że nie tak — —

— Nie pamiętam — odrzekła Zosia, wzruszając ramionami.

— Studenckie figle! — łagodził Broniecki — trochę nawet za dziecinne dla pana Stefana. Za figle też w kozie siedzi.

— Tatusiu! przecie za oświatę ludową!

— Daj mi gadać, Maniuś! Nie zrobię krzywdy żadnemu Czemskiemu. Chciałbym, owszem, wydobyć pana Stefana z pod klucza.

Manieczka umilkła, a pan Józef ujął wypielęgnowaną rączkę pani Rozalji i mówił:

— Siostrunia jest anielską istotą — sama nam dopomoże do uwolnienia Stefana Czemskiego.

— Ja?!... nie widzę, jakim sposobem?

— Znasz księcia Dołgorukiego...

— Bardzo mało. — — Ale poczekajcie! znam ledną damę wpływową...

Spojrzeni wszyscy przyjaźnie na panią Rozalię, która odrazu zapomniała o swej niechęci do Czemskiego, gdy chodziło o ratowanie go z nieszczęścia.

Z uwolnieniem Stefana nie szło, jak z płotka, pomimo zabiegów z różnych stron, bo i prezes, ujęty przez Manieczkę, kołatał o to samo, i ojciec w Lublinie — i pani Rozalja udała się do wpływowej damy. Bachiczna komitywa Bronieckiego z ułanami okazała się bez użytku w tej sprawie, wkraczającej w ciemne i zimne podziemia „polityczne”. Po tygodniu dopiero zabiegi odniosły ten skutek, że obiecano przyspieszyć śledztwo. Ale dużo było aresztowanych z ostatniej chwili i z przed lat, o każdego więźnia ktoś się troszczył — słaba była nadzieja uwolnienia Stefana Czemskiego przed końcem roku. I czy śledztwo ustali jego niewinność lub małe przewinienie? — czy też odkryje cięższe winy? — Wszystkiego można było się spodziewać, jak w loterii.

Jedno tylko zyskał Czemski na swoim uwięzieniu; sympatję współobywateli, którzy wszyscy byli przekonani, że został aresztowany nie za podłość, lecz za szlachetne zamiary względem swego społeczeństwa. W sercu Manieczki zyskał

gorętsze jeszcze uznanie, podniecone przez wyobraźnię. Z oddalenia Stefan blady, znękany, może wystawiony na niedostatek i podstępny śledczy, wydawał się Manieczce bardziej ukochanym, a ideowe z nim współnictwo przesadzała aż do poczucia wspólnego z nim cierpienia.

Po powrocie Bronieckich z Warszawy do Sławoszewa, dwór, zazwyczaj wesoły, był jakby w żałobie, tem cięższej, że się do niej otwarcie nikt nie przyznawał. Bo i pan Józef był struty przez smutne usposobienie córki. Na święta Bożego Narodzenia przygotowywał podarki dla córki, ale wiedział, że niemi nie sprawi jej radości; onaby na gwiazdkę chciała — Stefana. — Sprowadziłby go dobry ojciec niechybnie, gdyby to było w jego mocy, dla zadowolenia Mańki, nie dla swojego. Czernski w nowym oświeceniu, jako kandydat na zięcia, budził w Bronieckim duże obawy; uparty, zarozumiały i ostatecznie, jak mówi Rozalka, człowiek z innego towarzystwa, choć jest synem miłego doktora. A naprawdę, to każdy zięć jest fizycznie wstrętny, bo zabiera dla siebie Manieczkę i sterczy słupem wytycznym na granicy młodości teścia. Mieć córkę dorastającą — to jeszcze ujdzie, ale być dziadkiem!... Choć pan Józef nie był zdolny do przeszkadzania małżeństwu córki z pobudek tak egoistycznych, jednak wolałby, aby ta konieczność sprowadziła do rodziny człowieka odpowiedniejszego. Stanie się wreszcie, jak Bóg chce i Manieczka — tylko kto mógł przewidzieć, że się dziewczyna zadurzy właśnie w tym kawalerze i że kawaler dostanie się do kozy? — W każdym razie marne mamy „święta“ tegoroczne.

Jednak Broniecki miał talent przystosowania się do każdej atmosfery. Więc smutek, panujący w domu, naraił mu nowe, zbawienne pomysły. Najprzód, za zbyt wesołe tygodnie warszawskie chciał zapłacić poważną pracą na wsi; chciał donieść Godziembie i różnym tam prezesom, że się mylą, utyskując nad jego życiem lekkomyślnem w mieście. On jest wyjątkowo stworzony, niby o dwóch duszach: jednej hulaszczej, drugiej roboczej. Gdy hula, nabiera sił do pracy; gdy pracuje, zarabia sobie na wesołe wakacje. Więc ponieważ w zimie niema na wsi właściwej pracy na roli, Broniecki wymyślił sobie roboty teoretyczne z dziedziny rolnictwa. Pisał broszurę pod tytułem „Przykazania gospodarcze“, w której mieścił różne swe sekrety i sposoby dobytka z ziemi największego plonu. O tajemnicę tych sposobów był nieco zazdrosny; dziś ją chciał ogłosić drukiem dla ogólnego pożytku.

Długo myśląc w atmosferze przyciszzonej przez troski, poczuwał się coraz bardziej do obowiązków szerszych, niż dobra gospodarka na własnej roli. Przemysliwał o stworzeniu ogniska oświaty i pracy zbiorowej w okolicy tej, jeszcze słabo zorganizowanej, gdzie tu i owdzie istniał jakiś prywatny dobry warsztat, lecz stowarzyszenia nie było. Dom ludowy w Mielnie — — tak, to się

udało — ale dopiero instytucja pożyteczna dla jednej gminy. — Radby pan Józef sam coś wielkiego założyć dla roboczej szlachty i roboczego ludu, sam to pokierować według swego widzimisię — — ale zdrowy rozsądek przedstawiał mu, że sam jeden nie ma dosyć pieniędzy, czasu, a nawet doświadczenia. — Trzeba będzie znowu udać się do tych samych prezesów warszawskich i prowincjonalnych, którzy wielką swą sieć kulturalną rozciągają coraz szerzej po kraju. Przecie i dom w Mielnie powstaje z ich inicjatywy i przy ich pieniężnej pomocy — — Nudziarze to, abstynenci, moralisci, a w działaniach swych nieomal biurokraci — — „jednak chłopcy”! niepodejrzane o zamiary obłudne — chociażby Godziemba!

Trzeba będzie, trzeba znowu udać się do niego i jemu podobnych, poddać się ich potężnej organizacji, — — Wypadnie pozbyć się ulubionych wybujałości, partyzantki społecznej — na rzecz wielkiej gromady; wypadnie nawet wyrzec się niektórych młodych narodów — — już pięćdziesiątka za pasem! — — Tak pan Józef przerabiał ciszę wiejską na chwalebne postanowienia. —

Dwór w Sławoszewie przeistoczył się zatem, zmienił swój pozór mieszkania ludzi bez troski. Manieczka cicho chodziła około gospodarstwa, pan Józef długo siadywał przy biurku, zasępiony projektowaniem; służba stosowała się do przyciszonych usposobień dziedziców, a i Magda Olczakówna miała swoje powody smutku: nie zapomniała w Warszawie o Rykoniu, on zaś nie zajmował się nią wcale. — Nawet sąsiedzi, którzy zajrzeli do Sławoszewa zaraz po przyjeździe Bronieckich, gdy stwierdzili ich odmienny nastrój, nie powracali, snuli na uboczu swe domniemania. Rozeszła się wieść, że Manieczka nie chciała wyjść za Olesia Leśniowolskiego, z czego pan Józef był niezadowolony. Była w tem część prawdy; ale żeby uwięzienie Czemskiego, o którym wiadano, było powodem strapienia w Sławoszewie — tego nikt nie zgadywał, nawet pani Kara Drobińska, zwykła konfidentka Bronieckiego.

Zima już zaległa szczerą, mroźną i śnieżną, ubielonej całkiem równinie dwór Sławoszewski, jeżył się wielką kępą ciemnego starodrzewu, z którego biły ku niebu liczne słupy dymu, dając wrażenie przejezdnym, jak tam bogato siedzą ludzie i jak im ciepło. Od tygodnia jeżdżono już saniami, więc ustały turkoty na szosie i na okólniku folwarcznym, podwody sunęły przez ciszę. Rzadko z niej wytryskało jakieś nawoływanie, przy kuchni, przy stajni lub oborze; ludzie stosowali się do uciszonej przyrody, która żyła przez sen biały, bez szmeru rzeki, ściętej lodem, bez głosów ptaków, napuszonych w swych kryjówkach. Czasem tylko wiatr zajęczał w nagich gałęziach sennie, jakby kto trącił przypadkiem strunowe narzędzie, zależałe w spokoju. Czasem przed zachodem jedna z wron, płynących pod niebem rozognionem, dała krakaniem sygnał, na który ludzie zadzierali głowy, dziwiąc się zamąceniu ciszy. A gdy noc chyża

ogarniała świat, świeciła ziemia śniegiem, a niebo mętem żółtawym, gdzie w jaśniejszej aureoli rozpływał się księżyc.

Dobrze było wtedy człowiekowi w nagrzanym pokoju, w powietrzu trochę ociążałem wonią zamkniętą, lecz bezpiecznem od lutych niespodzianek zimy. Gdyby tylko nie troski nerwowe, dzwoniące w sercu, które ukoić trudno przez skąpe zimowe balsamy przyrody... Gdzie tu się nacieszyć dniem tak krótkim, że zaledwie starczy na rozejrzenie się po świecie! Jakże pójść w noc zimną i pustą, przypominającą tylko powieści o wilkach i zbójcach! — Ma tam i zima swe uśmiechy, ale rzadkie — trzeba je chwycić.

W wyiskrzony mrozem dzień 20 grudnia naprosiła się Mańka pojechać do Łowicza po sprawunki na święta. Nie chce nudzić ojca, który pisze zawzięcie — pojedzie z Magdą, Mogłaby sama powozić, ale mróz za tęgi, ręce zmarzną — poprowadzi sanki zaufany woźnica Wójcik w parę kasztanów licowych od czwórki.

Projekt, podyktowany ze szczegółami przez córkę, zaakceptował ojciec, jak zwykle. Więc o 8 ej rano śmigały sanki całym kłusem kasztanów, bo Wójcik wiedział, że panienka lubi jazdę „kawalerską”, Droga szła przez Mielno.

— Patrz, Magdusiu: te chaty błękitniejsze od nieba!

— A jużci — odpowiedziała Magda, z owiniętej krągłej głowy celując ciemnymi oczyma w daleki punkt wsi, gdzie stała osada Jana Rykonia.

A jasne spojrzenie Manieczki z pod barankowej czarnej czapki biegło z zadowoleniem po szeregu chat, „bielonych na niebiesko“, znaczących ton najtęższy w słonecznym krajobrazie, pod kryształową szybą mrozu. Sanki wjeżdżały w ogromną klamrę wsi rozkosznej, błękitniejącej przy ziemi, odrodzonej szaremi strzechami od wyblakłego lazuru nieba, przesłoniętej symetrycznymi słupami topoli przydrożnych, które oblepiała lekka okiść sinawego szronu. Ponad to wszystko wschodziły na niebo dymy jasne, opalowe, mieszając się z chmurkami poziomymi, jakby wszystkie wełny, włączące się po niebie, miały swe źródło w ogniskach gospodarnego Mielna.

Nie czuło się zbytniego zimna w powietrzu spokojnym, które zacinało jednak mrozem przy szybkiej jeździe, bo woźnica zupełnie osiwił na sumiastych wąsach, a twarze dwojga dziewcząt mocno płonęły. Ale słońce głaskało przyjemnie, od wilczury w spodzie sanek szło dobroczynne ciepło i grzały z wewnątrz młode serca.

Mijali już pierwsze chaty, wystrojone, jak tam która mogła, to barwną rzeźbą na drzwiach i okiennicach, to zagrodą z kamieni, to nowem oszalowaniem ścian, z fugami, oznaczonemi błękitną farbą. Takie było zamiłowanie Mielniaków do błękitu, że nawet kamienie przy szosie pociągnięte były lazurem wapnem. Większa część domów miała przed frontem brukowany taras.

Wieś była cicha, zamknięta w sobie. Tylko te dymy, płynące z kominów, tylko miganie z ciemnych okien jakichś twarzy, jakichś wełniaków — świadczyły, że domy pełne, jak ule zasklepione na zimę. Aż przed frontem jednej błękitnej chaty zamigotało coś drobno, czerwono, pomarańczowo, niby pękata nasturcja, Dziewczątka, może ośmioletnie, okutane w kompletny ubiór księżacki, wyszło przed dom, jakby przeczuciem wiedzione, na przejazd pięknych sań dworskich, które gdy mijały, maleństwo, sztywne w swych wełniakach, pochylało się w pas, okazując obcisłą na główce czerwoną sałinówkę, rączynami sięgając prawie ziemi. Chciało, widać, ukłonić się jak najgrzeczniej. Z sanek zatrzepotały powitalnie ręce przejeżdżających.

— Czyje to? — pytała Mańka, oglądając się; z rozrzewnieniem za uprzejmą laleczką.

— Musi być Goździkówna, bo chata Michała Goździka — odpowiedziała Magda — one tu ludzkie są, od małego oswojone.

Chłop w kozuchu, skrzypiący butami po zaśniewanej szosie przyjrzał się pilnie przelatującym saniom, lecz nie uchylił kapelusza. — Znowu zbliżały się po szosie dwie kobiety, grubo nafałdowane w pasach, z fartuchami, zarzuconymi na głowy, niby małe namioty z ognistej wełny w tęczowi „mrążki”, postępujące na wysokich trzewikach, czerwono sznurowanych. Jedna z nich ukłoniła się, nachylając postać od pasa.

— A to jaka? — zapytała Manieczka.

— To?... Workowska Jagna, stryjeczna Jana Rykonja — odrzekła Magda, spuszczać oczy.

— Aha.

Zaraz przyszło Manieczce do głowy odwiedzić chatę Rykonja, leżącą na poprzecznej ulicy Mielna, do której zbliżały się sanki. Niech się Magdusia trochę ucieszy widokiem Jana — — Można So zapytać o postępy domu ludowego, który tu się buduje przy kancelarji gminnej. O, ile cegły nawieziono — — i około belek kilku ludzi robi toporami. —

— Wójcik! proszę się zatrzymać przed domem Jana Rykonja — wiecie, gdzie?

— Wiem, panienko, tylko to nam trochę z drogi.

— Wszystko jedno — mamy czas, wcześniej jeszcze.

— Słucham panienki.

Szczęśliwym trafem Jan był w domu, co mogło się nie zdarzyć, bo chłop był w zimie bardzo rozjezdny. I wczoraj dopiero powrócił z Warszawy od przyjaciela swego, pana Grodzkiego, do którego miał ciągłe interesy z okazji zakupu maszyn i narzędzi rolniczych dla siebie i dla gminy, a z przyjaźni korzystał w ten sposób, że kupował narzędzia po niebywale zniżonych cenach.

Wyszedł Jan z domu na widok zatrzymanych przed jego drzwiami sanek dworskich, uścisnął podaną rękę panienki, a do Magdy sam dłoń wyciągnął, bo nie śmiała pierwsza wyrywać się do powitania. Był w spencerze i w lejniku do stanu, czarnych, obrębionych czerwoną wypustką, w hajdawerach łowickich; na wierzchnich szatkach, obciśle ujmujących jego tors mocny i smukły, rzędy mosiężnych guzów błyszcząły po wojskowemu, po kawaleryjsku. Dziarską głowę miał nienakrytą. Jakby się umyślnie tak ubrał na podziw oczom dziewczęcym, które mile na niego patrzyły, a przecie nie uprzedzono go o wizycie.

— Proszę pięknie do izby — zapraszał z ujmującym uśmiechem — możnaby się krzynkę ogrzać.

— Dziękuję wam — odrzekła Manieczka — tak tylko zatrzymałyśmy się w przejeździe do Łowicza. Ale wam zimno będzie na mrozie?

— Ej, nie, panienko — przywykłem; i taki suchy mróz nie szkodzi; przy zgniłej pogodzie łatwiej ziąb chwyci.

— Widzę, że wasz dom gminny już w robocie — zagadała Mańka.

— Ha! toć go już raz trzeba się doczekać. Fundament wykopany, materiał zwieziony. Oglądamy się już za ochroniarką i za sklepową.

Rzucił okiem na Magdę, jak z łaski, bo dotychczas patrzył wyłącznie na pannę Broniecką.

— A to, Magdusia coś dla ciebie, jeżeli już koniecznie chcesz nas opuścić! — zawołała Mańka.

Pokojówka nie odpowiedziała, ale szybko mrugnęła po kilkakroć, dając poznać, że pomysł bierze pod rozwagę. Spojrzała wreszcie na Rykonia pytająco.

— Na sklepową trzeba dobrze pisać i wedle rachunku biegłą być — odrzekł Jan poważnie.

— Magdusia dobrze pisze — protegowała Mańka — a co do tego... Czy ty umiesz rachować, Magdusiu?

— Umie — odrzekła pokojówka.

— Ja bo niebardzo, szczególnie z ułamkami — — Ale w to przecie można się wprawić.

Projekt potrzebował namysłu i egzaminu. Tak zapewne osądził Rykoń, bo zmienił rozmowę.

— A u nas zima godnie się zaczęła: nasamprzód poszedł mróz, ziemię ścisnął, potem śnieżek się nam usłał na ten szczypior ozimy — i znowu mróz. Da Bóg, będzie dobrze.

— I mój ojciec tak mówi — potwierdziła Manieczka.

— A już pan dziedzic ze Sławoszewa, to kiej ten prorok na roli — dorzucił Rykoń pochlebnie. — I jakże? zostanie tera tatuś z panienką u nas, czy znowu

światami pojedzie?

— Pewnie zostaniemy; w każdym razie na święta. Przyjdźcie do nas na wigilję Bożego Narodzenia, sąsiedzie. Sami jesteście...

— Matkę mam. Na ten dzień trzeba już z matką.

— Prawda. — No, to w niedzielę po świętach?

— W niedzielę można.

— A mój ojciec chyba teraz na dłużej nie wyjedzie, Chybaby go zaciągnęła do Warszawy ta historia.., pana Czemskiego z Niespuchy. Słyszeliście?

— Słyszałem. Nawet że do gminy przyszło zapytanie o „sprawkę“ pana Czemskiego. Ja tam poradziłem wójtowi odpowiedź: ni jakiej sprawki tu niema — człowiek jest spokojny.

— I dobry! — zawołała Mańka gorąco. — Całym sercem oddany sprawie ludu wiejskiego.

— Tego im tam mówić nie potra — nadmienił Rykoń, chytrze mrużąc siwe oczy.

— Ale jakże wy? — zacietrzewiała się Mańka — przecie wy go cenicie? kochacie? —

— Dobry człowiek — przecedził wolno Rykoń przez zęby, jakby zatrzymując dla siebie bliższe wyjaśnienia.

— Któż teraz w Niespusze zajmuje się gospodarstwem w nieobecności właściciela?

— Są tacy — uśmiechnął się Rykoń tajemniczo.

I, dając folę częściowej swej opinii o Czemskim, rozśmiał się na dobre:

— Tam z gospodarki tyle tylko, ile z nieba deszczem kapnie, a ziemia da z nieprzymoszonej woli.

— Bo to człowiek zajęty nauką, myśleniem... rozumiecie, sąsiedzie?

— Rozumieć to ja... mogę, panienko. Tylko jeżeli człowiek o jednym myśli, a drugie robi, nie spora to robota. — — O panu Czemskim ja źle nie mówię; naukę ma — kiedy mu się ta nauka lepiej w głowie ułoży, będzie on jeszcze lepszy, niż wielu innych.

Nie zadowolila Manieczki ta ocena. Pomyślała, że Rykoń jest zarozumiały, ale i dobry zarazem: krytykuje Stefana, jednak chce się przyczynić do jego uwolnienia. Że jest przytem otwartym sprzymierzeńcem ojca i jej samej — nie trzeba go zrażać.

— Do widzenia już, sąsiedzie. Mamy sprawunki w mieście, a dzień krótki.

— W takie konie, o wa! do Warszawy zajechałby przed nocą — odrzekł Rykoń, lubując się widokiem kasztanów, które drgnęły do biegu za poruszeniem lejca przez woźnicę.

— Bywajcie zdrowi, Janie — rzekła serdecznie Mańka, wyciągając rękę.

— Dziękuję pięknie za rozmowę po drodze — odrzekł Rykoń. — Lećcież, panienko nasza, kiej ta gołąbka, i powracajcie. Chowajcie się ojcu i nam na szczęśliwą pociechę. Niech was Bóg wedle żeczenia zdarzy — — —

Z wdzięcznego serca mówił, więc pocałował ją w rękę.

Mądry i miły był ten Jan Rykoń. Aż łzy stanęły w oczach Magdy i zamarzły w zimnym powiewie, który szedł naprzeciw sunącym znowu szybko sankom.

Wpadły nareszcie sanki pędem na rynek Łowicza, rozległy i pozorny.

Kto nie wie, lub nie pamięta, że Łowicz był przez wieki wspaniałą siedzibą prymasów Korony i Litwy, że z warownego ich zamku pozostało tylko rumowisko, że poczet dostojnych tu murów nazywano niegdyś „polską Norymbergą” — ucieszy i z resztek, zwłaszcza w dzień słoneczny. Tak weteran zniedołężniały miewa pod dobry humor w swych wspomnieniach cenne błyski. Więc stoi jeszcze w pierwotnej ozdobie, bocząc się od rynku, wielka farakolegiata dwuwieżowa, erygowana przez prymasa Macieja Łubieńskiego w XVIII wieku, na ciemnej pleśni murów błyskając złotymi herbami; niejednen dom swym rozpartym frontem wspomina dawnych mieszkańców, dygnitarzy; niejednen wynosi się nad pospólstwo dach kościelny lub świecki. — — Ale szczątki tylko, wszędzie szczątki! — — —

„Babska rzecz narzekać!” — mówią dzielni, jak mickiewiczowski Robak. Wierzyć raczej w życie nieśmiertelne, tworzące i dzisiaj nietylko jutrzejsze łyzy, lecz jutrzejszą chwałę.

Oto rynek łowicki, pełen pięknego, zdrowego ludu. Targ, nie targ, ale przed świętami każdemu wypada krzątania. Wygolone twarze mężczyzn weselą się żywo i dowcipnie, na przekorę miernocie doli. To nie twarze niewolników, ani zwyciężonych! Piękne są oczy ich żon i sióstr, a grzbiety harde, a całe postacie pełne lubego daru i rodzajności. Wolałbyś widzieć tu wśród zachowanych grodów i kaszteli przejazd opasłego możnowładcy przez szpaler głów poddańczych, upodlonych? Dalibóg, lepiej dzisiaj!

Skrzą się barwy ubiorów, przeletnie kwiaty, niewiedzące nawet zimą. Tylko „mieszczanie“ z parafji od fary i od świętego Ducha, choć z tej samej księżackiej gliny, noszą się odmiennie, w lejebikach i spencerach czarnych, suto taśmami szamerowanych, w kapeluszach z szeroką, czarną wstęgą. Podobnie i ci z wiejskiej parafji, z Kocierzewa. Ale że to księżak musi mieć na sobie jakąś błyskotkę, czarni parafjanie noszą mankiety z jaskrawych paciorek.

Ktoby zaś chciał się nauczyć wszystkich odmian mody, odróżniających parafje, niech pójdzie do muzeum ziemi łowickiej, gdzie mu pani doktorowa Chmielińska pokaże te ubiory i objaśni niechybnie.

Manieczka miała do tejże znawczyni ludu pójść po radę co do zakupów na święta i u niej się pożywić, gdyż trudno było dwóm młodym dziewczynom

wchodzić do publicznej garkuchni. Ale przedtem pobiegła na pocztę, gdzie chciała osobiście włożyć do skrzynki list, misternie pomyślany. Od czasu uwięzienia Stefana myślała o tem, jakby mu dać znać o sobie, okazać swą solidarność, pamięć, więcej jeszcze ale dumna nawet w swych zapędach, panna Broniecka nie zdecydowała się na wysłanie listu wprost do więzienia. Nie licowałoby to z jej godnością panięńską, mogłoby ściągnąć śledztwo do domu ojca lub ciotki, a wreszcie list mógł nie być wcale doręczony Stefanowi. Przepytała chytrze Manieczka w Warszawie, jakie są przepisy co do listów i odwiedzin więźniów, i doszła, że wolno ich odwiedzać najbliższej rodzinie. Zaraz stanął jej w oczach obraz ojca Stefana, mądrego i dobrego doktora. Ten musi odwiedzić syna, albo z nim korespondować. Ale trudno znowu pisać do nieznajomego, choć starszego człowieka — byłoby to coś w rodzaju oświadczenia się z uczuciami — i to komu? — ojcu Stefana, kiedy z nim samym nie było wcale wyraźnego porozumienia. Póki Manieczka spodziewała się w Warszawie, że Stefan lada dzień będzie wolny, odwlekała projekt listu; ale gdy nadzieje zawiodły i stało się prawdopodobnem, że Stefan święta spędzi w zamknięciu, Mańka codziennie myślała o sposobie trafienia do tych wrogich cel, czy podziemi, — Aż wpadła na pomysł, którego się chwyciła. Dostała wcześniej od zakrystjana z Mielna poświęcony opłatek i postanowiła przesłać go doktorowi Czemskiemu z przeznaczeniem dla Stefana. Koncept listu był prosty i serdeczny, jak Manieczka, Podpisała list imieniem i nazwiskiem i prosiła, aby pan doktor doręczył, jeżeli może, synowi ten opłatek z pszenicy łowickiej od sąsiadki i córki przyjaciela pana Stefana z życzeniami wszelkiej pomyślności i rychłego powrotu. Doktor jest dobry — myślała — więc list mu uczyni przyjemność; mądry — zatem odda lub prześle opłatek ostrożnie. A Stefan, oczywiście, zrozumie i odczuje intencję.

Ten list ucałowany wsunęła Manieczka starannie do skrzynki pocztowej w Łowiczu.

XVI.

Jeszcze przed uwięzieniem Czemski myślał o założeniu szkoły rolniczej w Niespusze, lecz nie zajął się tą sprawą z należytą starannością, ponieważ projekt Godziemby i jego wspólników zawierał wiele punktów spornych. Stefan zasięgał rady kilku znajomych, a przede wszystkim kolegi swego ze szkół i ze wspólnych działań obywatelskich, Stanisława Wintera, szczerego przyjaciela ludu, patentowanego agronoma, który zarządzał wielkimi cudzemi dobrami na Kujawach. O projekcie dowiedział się też Edmund Owocny i zapalił się do niego zawzięcie, twierdząc, że to jego własny pomysł. Oczywiście, ci panowie byli zdania, że szkoła pozostać musi pod ich przeważnym wpływem. Owocny zaś sam się ofiarował na dyrektora i nie chciał dopuścić do zarządu nikogo ze „strupieszalej, biurokratycznej szlachty”. Gdy Czemski zauważył, że w takim razie Godziemba i towarzystwo rolnicze nie dadzą pieniędzy na kupno Niespuchy i na instalację szkoły, profesor oburzył się na ich sobkostwo, wreszcie zapewniał, że sam znajdzie fundusze potrzebne u osób „o niepodejrzanych rękach”, byle tylko Czemski trwał w zamiarze sprzedania Niespuchy po cenie kupna, a może i taniej, na cel tak doniosły i patriotyczny. Czemski nie od mawiał, lecz nie zobowiązał się formalnie. Nie chciał tymczasem powiedzieć profesorowi, że na dyrektora stosowniejszy byłby Winter, wyborny agronom i człowiek spokojny, nie wzniecający rewolucji ideowej w każdym ognisku, do którego się przysiada. Ale Winter miał swoje dobrze płatne zajęcie, dopiero co ożenił się i dorabiał się majątku. Nie zapomniał też Czemski o tem, czego się napatrzył w Modrzewcu. Godziemba razem z zorganizowaną gromadą tęgich rolników — ci, niema co mówić, prowadziliby najlepiej szkołę rolniczą w Niespusze, fachowo i praktycznie. Gdyby tylko nie odmienne ich poglądy na lud i postęp! — — Wreszcie pomysł był ich, Godziemby i towarzyszków jego, nie profesora Edmunda, który pragnie stworzyć sobie w Niespusze ognisko agitacyjne w postaci szkoły rolniczej ludowej, czy innej instytucji.

I projekt chwiał się, przewlekał, choć nie zamierał przez parę miesięcy, gdy w początku grudnia nastąpiło aresztowanie Czemskiego w Warszawie. To, naturalnie, przerwało możliwość porozumienia się między więźniem a światem zewnętrznym, zwłaszcza w sprawie tak skomplikowanej.

Więzienie Czemskiego trwa już trzy miesiące; korespondencja z nim, bardzo trudna, tyczyła się głównie jego uwolnienia, które, pomimo winy, jak mniemano, dość lekkiej, odwlekało się nadmiernie. Ale Owocny liczył na nie z

pewnością, bo nie przestał przyjeżdżać często do Niespuchy i pracować nad przygotowaniem gruntu i umysłów do przyszłej szkoły rolniczej według swego programu. Przytem gospodynię Agatkę, niepewną o przyszłość, pocieszał, że cokolwiek się stanie, on, Owocny, nie da jej zmarnieć.

W pierwszych dniach marca długotrwała odwilż wypija już śniegi, które czały się tylko po głębokich rowach, lub na północnych stokach — jak brudne, dziurawe płachty, przylegające do ziemi, już dyszącej niecierpliwością wiosny. Ruń ozima, śliska jeszcze i przybita, budziła się zaledwie na rolach cieplejszych, lepiej wynawożonych. Wcześniej przybyłe skowronki napełniały powietrze trylowaniem elektrycznem. Gdy na sławoszewskie pola, drenowane już od tygodnia, wyprowadzono pługi, gorzej uprawna rola w Niespusze i na włościańskich działkach Mielna była jeszcze tak rozmiękła, że nie zaczęto jej orać. I na drogach polnych leżało przepaściste błoto.

W błocie zaszargani po kolana, Owocny i Winter kończyli inspekcję pól; towarzyszył im karbowy Durmaj, mocno przeciwny sprzedaży folwarku, którym zarządzał obecnie bez żadnej kontroli. Profesor, powołując się na jakieś dawniejsze polecenie Czemskiego, zdołał nakłonić Wintera do oględzin Niespuchy w celu ocenienia jej wartości i naszkicowania planu przyszłej fermy doświadczalnej. Agronom, szorstki i prawdomówny, nie owijał w bawełę swych spostrzeżeń i uwag.

— Tu, panie Durmaj, partacka robota: przegon krzywy i niema spustu do rowu; dlatego też zboże wyprzało.

— Na tem polu — bronił się karbowy — żeby nie wiedzieć jak uprawić, zboża porządnego nie będzie. Sap szczerzy.

— Tem bardziej należało dopilnować przegonów. A macie też analizę podłoża?

Chłop nie zrozumiał, lecz wiedział dobrze jedno, że trzeba zniechęcić tych panów do kupna folwarku; więc odpowiedział:

— Nijaka tu analiza, panie, nie pomoże, ani jensze narzędzie. Siał gęsto, odsiać na wiosnę, gdzie potrza, to się przy dobrym roku jeszcze coś zbierze. To nie sławoszewskie gronta!

— Jednak na oko gleba bardzo do Sławoszewa podobna — odrzekł Winter — i musi być taka sama, tylko tu uprawa — no!

Profesor nie mieszał się do rozpraw technicznych, chodziło mu o inne wnioski.

— Przyznajecie więc, panie Stanisławie, że folwark jest w miernej kulturze?

— Wcale nie w kulturze. To jest gospodarka pierwotna; wszystko tu jest dopiero do zrobienia.

— A-ale! — oponował Durmaj — trzeba było widzieć, jak tu na polu

wyglądało, kiedym nastał. Odrazu i święty kamieni w chleb nie przemieni.

— Kiedy tu ani kamieni, ani chleba na polu nie widać — rozśmiał się Winter.

— Owa! toć się mówi tylko dla przyrównania!

Odesłano karbowego, gdyż, po wskazaniu granic, mało na co był potrzebny. Owocny mógl dalej ciągnąć swój wywiad:

— Taki więc folwark opuszczony powinien być znacznie tańszy, niż ziemia w okolicy?

— Zapewne, ale niewiele. Gleba tu bogata, wielkich nakładów nie potrzeba — tylko uprawy, do licha! Przecie patrz pan tutaj, naprzykład: chyba sochą orał ten karbowy? — są całe pasy ziemi nieporuszonej!

— Bo widzicie, panie Stanisławie: trzeba, aby nam Czemski sprzedał jak najtaniej — na taki cel!

— To już jego rzecz — odrzekł sucho Winter — ja, jeżeli mam taksować, muszę to zrobić bezwzględnie.

— Tak, tak, nie przeczę — stropił się trochę profesor. — Więc jakże uważacie?

— Sądzę, że folwark jest zdatny na stację doświadczalną. Figura dobra, gleba też dobra i dosyć rozmaita. — — Cena ziemi w okolicy jest wiadoma, odliczyć tylko koszt drenowania tego pola, na którym stoimy, i paroletni wydatek na sztuczne nawozy... Spiszę to w domu, z planami majątku Ppod ręką.

Tymczasem obchodzenie pól w Niespusze przez Owocnego z nieznanym panem, zapewne „Omętra“, wywarło silne wrażenie w Mielnie. Słyszano już uprzednio od profesora, że cała Niespucha ma być obrócona na użytek ludu, że staną tam szkoły i różne domy, wobec których dom gminny w Mielnie staje się niepotrzebnym. Zwłaszcza parobkom zawróciła w głowach wieść, niewiadomo skąd pochodząca, że folwarczek będzie eksploatowany na rzecz chłopów i zyski z gospodarstwa mają być rozdzielone między tych, którzy tam rolę uprawiać będą. Kto się zapisze do wspólnictwa Niespuchy, będzie robił pługiem, kosą, czy przy maszynie, ale za to otrzyma swoją część „sumienną“ zbioru i wszelkiego dobytku.

Tak opowiadał Michał Bembenista, parobek od Rykoniów, i coraz częściej wymykał się z domu do kompanji z innymi parobkami i gospodarzami, którzy „nowe czasy rozumieli”.

— Już tam za granicą takie porządki zaprowadzone. — A potem, kiedy zechcemy, to se i folwark rozdzielimy między te ręce, co się nad nim siłowały.

Nie wszyscy i niezupełnie wierzyli Bembeniście, że to głowę miał gorącą, ale i gospodarze osiedli, Kołaczyński, Goździk, Maryniak, powtarzali, że Niespucha ma być cała urządzona dla gminiaków na różne pożytki, więc dom, który się buduje w Mielnie z ciężkich składek i wielkim kosztem, nic wart nie będzie —

tak to im mówił sam profesor Owocny, dobry przyjaciel Mielna, nie to, co Jan Rykoń, który, z panami zmówiony, prze tyło gromadę do tego, żeby się panom i jemu kłaniała.

Obecnie przyjazd Wintera i „mierzenie pól“ Niespuchy wzmogły łakome pogwary, zwłaszcza w tem powietrzu, coraz wonniejszym wiosną, pełnem głodów i obietnic. Siarczyste zaciekawienie ogarnęło wieś; wielu podchodziło do granicy Niespuchy, aby popatrzeć, co się tam robi, Ale krążenie trzech mężczyzn po rozmiękłych drogach i polach było zupełnie zagadkowe, zwłaszcza, że trzeci, nowy nie miał ani czapki z gwiazdką, ani żadnego pozoru urzędowego. Owocny, prawie ślepy, nie widział tych zwiadów, Durmaj nie kwapił się wcale przywołać ciekawych, a Winter nie zwracał na nich uwagi.

Bembenista uciekł od Rykoniów do chaty Mateusza Kołaczyńskiego, gospodarza, z którym przyjazną miał komitywę. Mateusz, choć mruk, miał swój rozum dla siebie i wielce był niechętny Rykoniowi; lubił też przy kieliszku przysłuchiwać się narzekaniom na stare porządki. Niebogaty był osadę miał tylko połowiczną i gospodarstwo marne. Michał dogadzał mu swą śmiałą wymową, a czasem i gracką wesołością, których to zalet brakło Mateuszowi.

Wpadł Bembenista do chaty i zawołał:

— Mierzę tam dla nas Niespuchę, a my po domach siedzimy, abo się od granicy gapimy kiej te cieleta zaparkanione! Rusz się, Mateusz, pojdziewa się naszego profesora rozpytać.

— Pytaj się sam, to mi powiesz.

— Jakże to będzie? ja sam tylko parobek — gospodarza tam potrza, a mądrego!

— Gadał ja nie będę.

— Powiedz-no tylko „pochwalony“, abo inaczej, ja się już dalej wywiem.

— Kiej tak, to dobrze.

Ruszyli najkrótszą drogą po miedzy i doszli do dworku w Niespusze, gdzie zastali profesora, siedzącego beczynn timer, i Wintera, pochylonego nad mapą folwarku.

— Przyszliśmy się panu profesorowi pokłonić... Kołaczyński i Bembenista — mruknął Mateusz na początek, wedle umowy.

Owocny aż podskoczył z radości:

— Witam, witam kochanych panów i braci! Panie Winter! dwaj najlepsi nasi ludzie z Mielna, gospodarz i pracownik rolny. — Siadajcież, gdzie możecie, w tym osieroconym domu.

Winter skinął głową, nie odrywając się od roboty, Owocny zaś obmacał gości jak najuprzejmiej i rozpoczął rozmowę:

— Cóż panie Kołaczyński, wiosna? — —

— A przychodzi — odrzekł Mateusz.

— Żeby nam tylko co dobrego przyniosła — zagadnął Bembenista.

— Niewątpliwie przyniesie. Oto właśnie pracujemy tu dla was, Niespucha stanie się waszem ogniskiem oświaty.

— To niby ma tu być jeno szkoła? zapytał Bembenista, źle ukrywając rozczarowanie.

— Szkoła rolnicza dla włościan, przy niej różne inne nauki. Gmachy staną wielkie, w których będziecie mogli i zbierać się, i radzić, i zabawić się czasem.

— —

— Za te domy panowie zapłacą, czy znowu z nas, gminiaków, składkę z morgi ściągają będą? — zapytał Kołaczyński, którego, jako posiadacza ziemi, ta sprawa bezpośrednio obchodziła.

— Budowa i założenie wszystkiego, co się tu urządzi, nikogo z was nie kosztować nie będzie. Cały folwark kupię dla was, na wasz wyłączny użytek, lepsi przyjaciele, niż ci, którzy wam ten dom ludowy w Mielnie doradzili.

— Zdawna my wiemy niektóre, na ten przykład Mateusz i ja, że pan profesor niby ojciec nam życzliwy — rzekł pochlebnie Bembenista — ale jak to z tym folwarkiem będzie i komu z nas go panowie nadzielicie, tego my nie rozumiemy i przyszliśwa się wywiedzieć.

Profesor skupił się, miarkując, że Bembenista zbyt dosłownie pojmuje ofiarowanie folwarku ludowi, i jął tłumaczyć:

— Uważacie, mój przyjacielu, będzie najprzód tak: pan Czemski sprzeda Niespuchę gronu ludzi, oddanych wam całym sercem, do których należą ja i tenże pan Czemski, i kilku innych. My tu założymy własnym kosztem szkołę i urządzimy na folwarku wzorowe gospodarstwo. Dochody z folwarku będą używane najprzód na pokrycie kosztów budowy i udoskonalenia gospodarstwa. Za lat kilka, gdy się zapomożemy i wzmocnimy, może będziemy obracali dochody na inne wasze potrzeby: na dawanie wam po niskiej cenie dobrych nasion, na pożyczki i zapomogi dla biedniejszych... Wszystko, co tu zrobimy, będzie wyłącznie dla Was.

Chłopi kiwali głowami, jakby przez grzeczność. Wreszcie Bembenista, z uśmiechem napół przymilnym, napół zuchwałym, zaproponował:

— A przepraszam pana prefesora, nie lepiej to byłoby tak, jako słyszałem, że w cudzych krajach mają: szkoła szkołą — ale my wedle folwarku ciekawe jesteśmy. Toby nas, na ten przykład bezrolnych, do folwarku wziąć, robotę nami podzielić, a co się zbierze i przychowa, też dzielić między te same pracownicy? — — I robota byłaby piękna, bo każdy robiłby, jak dla siebie.

— To się nie da zrobić — odrzekł zimniej Profesor. — Słyszeliście coś, przyjacielu, o fabrykach, w których robotników dopuszczają do udziału w

zyskach, ale w gospodarstwie rolnem to się, jeszcze nie praktykuje i dużo trudniej byłoby obliczyć. Zresztą — rzecz przyszłości — może być!... Tymczasem będziecie chyba radzi mieć pod bomem dla waszych chłopców szkołę rolniczą, a dla was miejsce zebrania i doskonałe wzory gospodarstwa?

— A no, myśleliśmy, że kiej łaska, to już łaska — rozśmiał się Bembenista, pokazując zęby, raczej drapieżne, niż wdzięczne.

Owocny mrużył oczy, przecierał szkła okularów i mówił dalej delikatnie:

— Niewłaściwie mówicie: łaska, Ani to łaska, ani my panowie jacyś; jesteśmy, jak wy, z ludu, tylko doświadczeńsi. Pragniemy tu urządzić dla was rzecz pożyteczną, ale w miarę możliwości i za waszą nieprzymuszoną zgodą. Zgadza się przecie na szkołę rolniczą?

— Co się ta zgadzać mamy na cudzem? Żeby nam dali Niespuchę, tobyśmy wiedzieli.

— Nie o to pytam, ale czy wam ta szkoła jest po myśli?... Przecie to zakład użyteczny dla całej, okolicy, dla kraju — —

— To niby nie dla nas tylko, Mielniaków?

— Dla was przedewszystkiem, jako najbliższych sąsiadów, ale i dla innych. Jesteście przecie obywatelami kraju!

— Takie tam nasze obywatelstwo! Chudziaki my, panie profesorze, — Inna rzecz. Jednak rozumiecie, zdajecie sobie sprawę, że taka szkoła jest dobrodziejstwem dla ogółu? — —

Bembenista wzruszał ramionami, a z oczu mu błyskała buntownicza ironja. Aż się Kołaczyński za niego zawstydził i przemówił:

— Niechta będzie szkoła — nie przeszkadzam.

Od pewnego czasu Winter przerwał robotę i słuchał, nie mieszając się do rozmowy. Gdy się zaś ta urwała, bez zadowolenia czyjegokolwiek, i włościanie odeszli, agronom zapytał profesora:

— Czy pan ma zupełną pewność, że Czemski folwark sprzeda i że powstanie tu instytucja, którą z takim i szczegółami obiecujemy?

— Liczę na Czemskiego i on mi zupełnie ufa — odrzekł Owocny, starając się odętą powagą twarzy zastąpić realne uzasadnienie swych działań.

Ale Winter ze słyszanej przed chwilą rozmowy nabrał różnych wątpliwości; że zaś lubił jasne sytuacje, nacierał dalej na profesora:

— Bo gra wydaje mi się niebezpieczną. Czemski siedzi w więzieniu, niewiadomo, kiedy wyjdzie i co pocznie. Wiem, że zamiar kupna i założenia powzięli ludzie niepożądani i że Czemski chciał ich zmajoryzować w radzie szkolnej. Ale teraz pan rozgłasza, że my kupujemy Niespuchę i zakładamy szkołę — — to jest kto? — — Czy pan zebrał inne gremjum i pieniądze?

Owocny opowiedział pośpiesznie, jakby pragnąc pozbyć się badania:

— Czemski zgodzi się na pozostawienie prawie całego szacunku na hipotecę. Mamy zapewnioną sumę na początek — — z folwarku wyrobimy się...

— Przepraszam! — odparł nieustępliwy Winter — to się nie zgadza z tem, co pan opowiadał, choćby przed chwilą. Folwark ma się wyrabiać, czyli niema sumy dostatecznej nawet na kupno. Za coż tedy będziemy stawiali budynki, organizowali szkołę i fermę?

— Znajdziemy ofiarnych, niech was o to głowa nie boli — zniecierpliwił się profesor.

— Owszem, muszę wiedzieć, co ja tu robię i dla kogo. Mam wiele przyjaźni dla Czemskiego i gotów jestem mu pomagać, ale muszę znać dokładniej jego zamiar.

— Jakto? — więc mnie, towarzyszowi, i grupie „Ludowca” odmawiacie pomocy?

— Zasadniczo nie odmawiam. Wierzę w wasze szczere chęci, ale nie w zmysł praktyczny. Nic jeszcze niewiadomo, nawet kto da pieniędzy, a już pan dajesz obietnice jakichś gmachów, może nawet falansteru rolnego! Przecie to gorączkuje chłopa, który nic z tego nie rozumie!

— Trzeba stawiać wysokie ceny wytyczne, trzeba pobudzać wyobraźnię ludu, aby go do celów tych zagrazać — próbował bronić się profesor.

— W każdym razie — odrzekł Winter — trzeba się opierać na realnych podstawach, których tu jeszcze nie widzę. — — A dlaczegóż pan zniechęca mielniaków do tego domu ludowego, który sobie budują?

Profesor najeżył się okrutnie.

— Do tego domu?! Nie wiecie, jak on powstał i co to za forteca obskurantyzmu!

— Wiem, opowiadał mi Czemski. Nie widzę w tem żadnej tragedji. Dom buduje przecie gmina.

— Za pożyczkę tych wsteczników, Godziemby i jemu podobnych!

— No, za pożyczkę... przecie na lichwę nie pożyczyli i domu nie zagarną. A dom jest już faktem, zasadniczo dodatnim, i szkoła w Niespusze, jeżeli nawet stanie, tamtego domu ludowego nie zastąpi. Więc pocóż go dyskredytować?

— Ależ powtarzam, że to forteca wstecznictwa, nowa Bastylja! Ten dom chcą wyzyskać dla swoich celów wrogowie ludu i nasi, zapomocą przekupionego mielniaka, Jana Rykonia!

— Rykoń przekupiony?... — wzruszył ramionami Winter i przestał się spierać.

Owocny, poczytując to za kapitulację, chciał rozczulić nieubłaganego agronoma:

— Kochany panie Stanisławie! nie znacie nędzy i przewrotności tych

knowań...

— Może ich nie doceniam. Ale wiem jedno, że ja tu nie wydam żadnej opinii na piśmie o szkole, ani o fermie, póki ten projekt nie będzie pewniejszy. Nie żałuję, że przyjechałem; gdy rzecz cała będzie przychodziła do skutku, będę miał o gruncie wyobrażenie.

Stanowcza niechęć odbiła się w głosie i postawie Wintera tak wyraźnie, że zmroziła Owocnego ostatecznie.

— Więc mnie opuszczacie?

— Wyjeżdżam.

— Ha trudno. Ja tu jeszcze pozostanę; przywykłem do samotnego pionierstwa.

I rzeczywiście, za godzinę profesor pozostał dworku bez pomocnika. Przywołał Agatkę i poprosił, aby go zaprowadziła do Mielna, do chaty Maryniaka. Sam nie chodził do wsi, gdyż psy, nieprzywykłe do jego postaci, srodze go nie lubiły.

Szli tedy we dwoje w grupie rozrzewniającej; dziewczyna, zawinięta w chustę, i mędrzec — krótkowidz. Głaskały ich po skórach powiezy łagodne,, zaprawne wieścią, że tam daleko, skąd wiatr wieje, już nowa zieleń roztacza swą kusicielską woń młodości. Ale gdyby nawet chcieli wyskakiwać z ochoty, jak nimfa i satyr, nie mogli, bo tłusta, rozmiękła ziemia zatrzymywała im stopy. Przez błoto brnęli w kraj wiosny.

Jednak profesor zdołał oderwać ducha i kalosze od prozy życiowej do wyższych rojeń i przemówił głosem zdyszany:

— Agatko — —

— Czego trzeba? podać rękę?

— Tymczasem nie... Jedyna jesteś, która mnie rozumiesz w tym kraju, pełnym jeszcze panowania ciemności, Jedynaś ty, córko ludu...

— Ee, córką to ja jezdę ojca i matki, nawet że rodzice mieli swój sklep w Sochaczewie... Ale pana lubię.

— Lubisz, Agatko? — czy to prawda? czy mówisz z namysłem?

— Jak Boga kocham.

— Wolisz, niż pana Czemskiego?

— A bo i prawda, że wolę... Pan Czemski to kobiety nie ma za człowieka!

— I wolisz, niż tego... Antka, którego u ciebie zastałem? — dodał profesor ciszej i boleśniej.

— Niech-że pan nie wydziwia! Co mnie Antek? chłop! Ja do ludzi inteligentnych przywykłem.

— Więc zgodzisz się na to, cośmy mówili... żeby mi towarzyszyć na resztę mego pracowitego życia?

— A no już... — uznała za stosowne zawstydzić się trochę — tylko wiedzieć muszę, na co idę — bo na służącą już nie chcę.

— Na towarzyszkę równo uprawnioną — rzekł: Owocny uroczyście.

— To niby... na żonę? czy jak?

— Między nami ślubów nie potrzeba — bronił się słabo profesor.

— To nie! to nic z tego! nie chcę już, żeby mnie ludzie palcami wytykali!

— Bądźmy wyżsi nad przesady, Agatko. Czy nam klecha zwiąże ręce, czy nie, będziemy się kochali do śmierci. Nie pozwolę cię nikomu nazywać inaczej, jak profesorową.

— A ja chcę tak być zapisana! Dostyc mam tego, żeby mi lada chłop mówił po imieniu i jeszcze się przystawiał!

Owocny zadumał się, jakby walczył z sobą, choć wiedział już od paru dni, że inaczej, jak pod tym warunkiem, nie dostanie Agatki. Ale chciał wygrać uroczyście swój największy i jedyny atut:

— Masz słuszość, Agatko: stanie się, jak Pragniesz — pobierzemy się urzędownie.

Ciepło uczyniło się dziewczynie od zadowolenia miłości własnej; ujęła profesora pod ramię, Podziękowała mu przysunięciem do boku całej swej jędrnej postaci, aż mędrzec zdzięcinniał, jął podrygiwać i majaczyć.

— Więc zatem... cóż to chciałem? — aha! — dzisiaj na noc zabieramy się do Warszawy — prawda? — co tu czekać? — wiosna idzie... Mój ty kwiatuszku polny! — —

— Dać pokój! — odsunęła się Agatka — gdzież tu się całować na powietrzu? — Mielno pod nosem.

XVII.

Od czasu uchwały o budowie domu ludowego zajątrzyły się w Mielnie pomruki przeciw Rykoniowi, który, choć nie wójt, ani sołtys, narzucał gminie swoje plany. Pomruki urosły jeszcze, gdy przy składce gminnej zwyczajnej zaczęto ściągać dodatkową na budowę domu. Niechętni od początku Goździk, Kołaczyński, Orlik, Maryniak sarkali na ten podatek, powtarzając, że takie wymysły niech sobie panowie z własnej kieszeni opłacają, kiedy im pozwoliliśmy, nie żeby miała iść na to ciężka krwawica gminna. Gdy przed zimą założono fundamenty, zaczęto drzewo zwozić na wiązania i obrabiać podług wymiaru, inne wieści obleciały Mielno. Rykoń, który mocą uchwały gminnej został wykonawcą i kasjerem budowy, otrzymywał miał od panów większe sumy, niż te które wydawał na roboty mularskie i ciesielskie. Wyrachować to się on potrafi, bo fizyk jest, ale co do kieszeni schowa, to jego, a na gminiaka zawsze grosz więcej przy składce wypadnie.

Nikt tego w oczy nie śmiał powiedzieć Rykoniowi, bo się bał jego ciężkiej ręki, któraby pewnikiem takie słowa napowrót w gębę wepchnęła mówiącemu, a możeby mu i zęby połamała. Ale Jan czuł około siebie zacieśniające się kręgi nieprzyjaźni i obmowy, wietrzył — od kogo pochodzą, i że wzmagają się po każdym przyjeździe do wsi profesora Owocnego. Nie był Jan obojętny na ludzkie gadanie, owszem — kochał ludzi i, dbając o ich pożytek, spodziewał się od nich wdzięczności i dobrej sławy; ale gdy napotykał ich opór lub nieufność, nie opuszczał rąk, robił swoje dla nich przemocnie, według swego rozumienia.

Nie siedł też sam przeciw całej gromadzie; miał przyjaciół zupełnie oddanych, jak poczciwy Selwestrowicz i rozsądny Pełka; miał i zwolenników z zastrzeżeniami: wójta Skierskiego, który bał się zbyt władz, Workowskiego, który trochę zazdrościł Rykoniowi przewagi i znaczenia; miał wreszcie nawet większość stronników jeszcze niedawno w gminie, skoro uchwałę o budowie domu przeprowadził. Ale teraz, pod wiosnę czuł jakby wsteczny odpływ zaufania gospodarzy, a przyrost buntowniczego usposobienia u parobków i wyrostków. Wiedział, że to robota profesora, który i po zakładach szkolnych w Niespusze obiecywał niestworzone rzeczy i jawnie działał przeciw budowie domu gminnego w Mielnie. Z profesorem nie widywał się; obaj nie pragnęli spotkania; ale gdy mu powtarzano rozsiewane przez Owocnego wiadomości i rady, Rykoń nie powściągał oburzenia:

— Wilka puszczacie do owczarni, abo paskudnego psa do izby! Ani on wie, co tam jeszcze będzie w Niespusze, a gada, aby was tylko od porządnej roboty

we wsi odciągnąć.

Wielu słuchało Rykonia przychylnie, ale wielu leż dawało ucho obietnicom profesora. Żeby on jednak przypadkiem prawdę mówił, byłoby dobrze: wszystko w Niespusze darmo mieć, nie zaś tutaj wielkim kosztem dom gminny stawiać i składkę wyższą płacić, która teraz, na przykład, na przednówku, wypada niby głodnemu ujęcia chleba z przed gęby. Żeby przynajmniej z tą jedną ratą wiosenną poczekali — —

Z namysłów i pogwarów w parę dni urosła niby cicha uchwała: nie płacić teraz dodatku do składki na budowę — niech go do raty jesiennej odłożą! Dawni przeciwnicy domu ludowego oświadczyli głośno, że płacić nie będą, a nawet i zwolennicy ociągali się, rozumiejąc, że gdy inni nie wnoszą należności, może cała budowa stanie, a tymczasem ich pieniądze przepadną. Tylko Jan Rykoń, Workowski i Selwestrowicz wnieśli z Mielna całkowitą ratę wiosenną, przed terminem, manifestacyjnie.

Tymczasem pieniądze były natychmiast potrzebne na wypłaty majstrom mularskim i ciesielskim, i wpłynąć miały z raty gminnej według preliminarza budżetowego. Rykoń, kierujący robotami, rozgniewał się mocno na gromadę, ale gniew nie wywoływał w nim rozpacz, ani słabości, owszem, zawziętość do wykonania dzieła pomimo wszelkich przeszkód. Poczuł jednak, że sam tu nie poradzi — i po krótkim namyśle wyruszył do pana Bronieckiego, do Sławoszewa.

Ten początek wiosny był wszędzie zamącony przez troski. I dwór sławoszewski wydał się Rykonowi ciszej zadumanym, niż zwykle, a dziedzic pochmurnym, choć przyjął sąsiada mielniaka uprzejmie.

— Przyjechałem — rozpoczął bez przebiegów Jan — do pana dziedzica, jako do dobrego radcy. Siła jest zawichrzenia w Mielnie, a wszystko dlatego, że w niewiadomości zostajemy, co tam w Niespusze dla nas szykują. Tobym ja wiedzieć rad, panie dziedzicu, bo nie wdęzający człowiek może przeciwieć się robocie dobrej, abo i przystać do ledajakiej. Z panem Czemskim nie zdarzyło mi się gadać jesienią, przed jego aresztowaniem. A ci, którzy tam nieraz za niego robią i obiecują, to — z przeproszeniem uszu pańskich — honcwoty są.

— Któż tam co robi i obiecuje? — żywo zagadnął Broniecki.

— Ten profesor Owocny — czy jak mu tam? — mało że nie mieszka w Niespusze, tak często dojeżdża, a ile razy przyjedzie, zaraz się nowe bajdy po wsi lęgną, że to w Niespusze wszystko darmo będzie dla gminiaków; i szkoła, i dom ludowy, i nawet zboże rozdawać będą. A niby dlatego nasz dom gminny w Mielnie ma być niepotrzebny.

— Rany Boskie! co też opowiadacie?! — zawołał Broniecki wzburzony.

— Miarkowałem i ja — odrzekł Rykoń — że ten profesor nie mówi

akuratnie, abo i poprostu łye. Jednak on się tam przecie z panem Czemskim kuma, to coś w tem prawdy musi być? — — Jeżeliby pan dziedzic wiedział, co pan Czemski zamyśla w Niespusze urządzić, dopraszałbym się łaski, żeby i mnie powiedzieć, bo tak człek jest w ciemności i nie wie, co gromadzie doradzić.

— Wam powiem, Janie boście chłop w Mielnie jedyny, który rzecz rozumie i przed czasem jej nie rozgłosi. Byłem na tej radzie, gdzie panu Czemskiemu proponowano nabycie Nespuchy na szkołę rolniczą dla włościan.

— Patrzajta ludzie, jakem ja to zgadł, że pan dziedzic wie o wszystkim — uradował się Rykoń.

— Nie cieszcie się zanadto, bo sprawa nie postanowiona i przerwana została przez uwięzienie pana Czemskiego. Niespuchę nabyć chce pan Godziemba, jako przedstawiciel towarzystwa rolniczego, i założyć tam szkołę rolniczą.

— No, to chwała Bogu! — rozpromienił się Rykoń — szkoła będzie dobra i pan Godziemba nie popsuje nam domu gminnego w Mielnie, kiedy go sam z nami zakłada!

— Jakbyście wiedzieli, sąsiedzie. W tem tylko sęk, że projekt niegotowy; pan Czemski chciał ze swoimi przyjaciółmi naradzić się, kiedy go capnęła policja w Warszawie, bo jej się niepodobał. Ale nie słyszałem wcale, aby wymieniał tego warchoła, Owocnego, jako pełnomocnika. Mnieby to powiedział — w ostatnich czasach dużo z nim gadałem. To porządny chłopiec i syn zanego człowieka... i pragnie z wami pracować, tylko jeszcze nie wie, jak się wziąć do tego. Znacie go, Janie?

Rykoniowi przebłysło wspomnienie, jak pan na Broniecka gorąco odzywała się przed nim o Czemskim; teraz ojciec go chwali i tłumaczy... Jan zrozumiał, że trzeba się dobrze odezwać o Czemskim, widocznie przyjacielu Sławoszewa.

— Znam, panie dziedzicu. Bodajby wszyscy młodzi tyle mieli chęci! Żeby tylko pan Czemski nie zadawał się z profesorem abo takimi tam, jeno z panem dziedzicem, z panem Godziembą. Bo jak to mówią: czem skorupka za młodu nasiąknie...

— O to, to właśnie — uradował się Broniecki — lubię z wami gadać, bo jest z kim... Poczekajcie — ja się wam dowiem, co pan Czemski zamyśla o tej szkole w Niespusze. Choć to z więźniem niełatwo się porozumieć, już ja potrafię — — Spodziewam się, że pan Owocny prztyczka w nos dostanie.

— Dziękuję za jedno, panie dziedzicu, ale druga bieda gorsza, przy samej skórze — rzekł frasobliwie Rykoń, jakby się wstydził za swych sąsiadów gminnych.

— No? co tam?

— To, że podatku wiosennego na budowę nie chcą mi z gminy płacić — —

— O psia! to gorzej — —

Zaległo krótkie milczenie, które przerwał Broniecki:

— To już wasza rzecz, Janie. Albo trzymacie gminę za łeb, albo jej nie trzymacie — — Ja tu nie poradzę.

Znowu zamyślił się i po chwili rzekł mniej stanowczo:

— Chyba pan Godziemba? —

— Postanowione było tak, że od pana Godziemby dopiero na świętego Jana nowe pieniądze nadejdą, a na teraz miały być z gminnej składki wiosennej — objaśnił Rykoń.

— W takim razie już nie wiem... ja także na przednówku pieniędzy nie mam... Ale przecie ten podatek jest uchwalony — niech go wójt egzekwuje.

— To się wie, że będzie egzekucja; ale póki ona będzie, roboty mi staną. A tu już murarze przyśli aż z Lubartowa, najtęższe, belki i krokwie wszystkie na miejscu — tylko się prosi ta chałupa, żeby ją do nieba dźwignąć — — i ciepło — ochota w człeku zbiera.

— Rozumiem, rozumiem — rzekł Broniecki, ujęty przez zapał chłopca do dzieła — no... jakżeby tu? — — chcecie, żebym napisał do Modrzewca, aby pan Godziemba przyspieszył wypłatę raty świętojańskiej?

— Można, kiedy łaska — odrzekł Jan bez przekonania.

— Jakże? nie chcecie?

— Bo to, proszę pana dziedzica, trochę wstyd wyznawać się panu Godziembie, że już w samym początku robota staje u mielników. U niego to wszystko silnie idzie i sporo, a jak pomiarkuje, że my słabe i głupie, to nas może opuścić.

Zastanowił się Broniecki nad ojcowską iście pieczołowitością Rykonia o dobro Mielna i rzekł, patrząc mu przyjaźnie w oczy:

— Ciasno wam, Janie, między tymi wszystkimi szkodnikami i podmówioną gromadą — co?

— Póki ta jeszcze ręce chodzą, wytrzymam uśmiechnął się dzielnie Jan, robiąc wyraziście ramionami.

— Trzasnęlibyście w pysk na prawo i na lewo?

— Kiedy potrza — ale nie lubię...

— No, widzę, sąsiedzie, że chcecie ode mnie pożyczyć pieniędzy do świętego Jana? — — Mogę wam dać dwa papierki.

— To jużby trzy, panie dziedzicu, a robotaby się ruszyła!

— Niech was! ostatnie stówy zabieracie mi z domu. — — Wypiszcie mi rewers płatny 5 lipca, z kasy budowlanej. Procentu nie chcę.

Pokłonił się wdzięcznie Rykoń za gromadę swoją, a po ubiciu interesu poczuł się do obowiązku grzeczności sąsiedzkiej:

— Jakże też zdrowie panienki, naszej ślicznej Marji?

— Dziękuję wam, dobrze — odrzekł pan Józef bez fantazji — odwiozłem ją przed kilku dniami do Warszawy, do ciotki.

— O, proszę! to się im na wsi zecniło?

— Tak; dziewczyna już na odlocie...

I Broniecki zmienił przedmiot rozmowy:

— Na polu dobrze tymczasem, żeby tylko wycinków w kwietniu nie było.

— Mogą i być — jutro czterdziestu męczenników, a na noc zdaje się, że mróz chwyci.

— Jakoś ta wiosna tegoroczna trudno się gramoli — utkwiał Broniecki badawcze spojrzenie w siwe oczy drugiego znawcy ziemi.

— Wiosna, jakie bywały — odrzekł Rykoń — a że ta mogą przyjść czasy jeszcze krzyнкę gorsze, także nam nie nowina; już tak zawsze na polskiej ziemi jest. Nie łatwo tutaj żyć, ale co trudno dobędziesz, to mocno posiędziesz. Takie nasze chłopskie przysłowie, panie dziedzicu.

— Dobre przysłowie — odrzekł Broniecki, trochę skonfundowany przez gotową na wszystko odwagę chłopą.

XVIII.

Już się była ruszyła ruń pod ciepłym wiatrem odwilży i szare bałki nabrzmiały na wierzbinię, i rozlane na niskich łąkach kałuże przerastały krótką, niby zatopioną w żur, zieleniną — — znowu przymrozek ścisnął ziemię, oszklili stojące wody cieniutkimi szybami, wysrebrzył pola ozime. A przez powietrze sypał nie śnieg zimowy, puszysty i zaścielający, lecz gradzik ostry, pryskliwy na roli, a przekorny człowiekowi, który już poczuł był wiosnę i wydierał się do niej pragnieniem. Ale woda na młyn waliła bez przerwy, drwiąc sobie z takich tam przeszkód, waliła przez oblepione zamrozem zastawy, na wszystkie koła i przez otwarte ślepe upusty. A słońce, już przez pół doby gospodarne, coraz to rozdzierało chmury przekosami błękitnymi, albo i wytaczało na błękit oblicze najjaśniejsze, pod którego wejrzeniem grady proszące krysztaliły się przez chwilę i nikły.

Z otuchą człowiek wiejski wychodził o świcie przed chatę, badał niebo, pociągał w płuca smakowitego powietrza, dobywał ze stodoły pług, albo wory ze zbożem siewnem ładował na wóz i wychodził w pole, które od tej pory miało się stać jego powszedniem mieszkaniem na długie miesiące, pełne nadziei i zawodów. Tak poczynął gospodarz, przemyślający tylko o swojej chudobie.

Ale Rykoń myślał także o sąsiadach, o gminie, o szerokim kraju — przeto gorętsze miał nadzieje i cięższe troski. Znaczna większość gminiaków nie zapłaciła wiosennej raty na budowę domu, a nawet tego, co kapaniną wpłynęło, pisarz; nie chciał wydawać, póki się całość nie zbierze. Trzeba było na wypłatę mularzom i cieślom użyć trzystu rubli, pożyczonych od Bronieckiego; i tych mogło zabraknąć, jeżeli tak wszystko ma iść do świętego Jana — na ten zaś termin Rykoń zobowiązał się osobiście zwrócić pożyczkę. Dusił więc ruble w skrzyni i na robotach oszczędzał.

Żeby ta jedna tylko bieda! Ale nabierało ich więcej, niby wrzodów około pierwszego w zakaźnej chorobie. Nieprzyjaciele Jana odzywali się, że musi on mieć utajony interes w tym domu gminnym, skoro go tak gwałtem pod dach prowadzi, z uszczerbkiem dla gminy. Bo jakże? — na co Rykoniowi szkoła albo ochrona, kiedy nie ma dzieci? — na co mu miejsce zebrania, kiedy ma sam chałupę wielgachną i w niej swoich kmostrów przyjmuje? — na co mu sklep spożywczy, kiedy ciągle rozjeżdża po świecie, sprzedaje, co chce, w Łowiczu, albo aż w Warszawie, i stamtąd sobie kupuje, co mu potrzebne? — — Nic, tylko mu obiecali panowie za wystawienie tego domu grubą łapówkę, do której się kwapi — i tyle!

Zaprzeczyli tym oszczerstwom uczciwsi gospodarze, ale tłumaczyli upór Rykonia przy budowie jego znaną zarozumiałością i pychą:

— Sam ci o tym domu bez dwa roki stękał, uchwałę przeforsował, nad robotami przełożęństwo wziął, to mu tera nijako ręce odjąć od swojego niby dzieła, żeby mu nie powiedzieli: zawział się i nie zmógł, niedorajda — — To my dla jego honoru tera płacimy i od gęby sobie odejmujemy.

Nawet najbliżsi przyjaciele Jana, przekonani o potrzebie domu nie ludowego, doradzali pomiarkowanie i zwłokę.

— Wieki tego domu nie było, a żyliśmy z łaski Boskiej — mówił Pełka — czy ta on będzie w tym roku, czy w przyszłym, oj jej! wytrzymamy! A kiedy ludzie na przednówku do składki są ciężkie, pofolgujmy im do jesieni — —

Niecierpliwił się Rykoń:

— Znam ja was! Żeby wam po piętach nie deptać, a kijem was do pospólnego dobra nie napędzać, wiekbyście cały każdy sobie rzepkę skrobali! Myślałem, żeście, Dominik, lepiej rozumiejący.

Zrażał sobie najbliższych przez swą hardość i nieustępliwość i, chociaż do zamiaru nie osłabł, począł się rozglądać naokoło siebie i miarkować, na kim może się oprzeć, na czyją liczyć pomoc. Gromada gminna, jeżeli nie buntowniczo, to mdło i obojętnie była usposobiona do jego przyznań; zwracał oczy ku dworom. W okolicy jedyny Broniecki mógł pomóc i pomagał często radą, albo i pożyczką, jak to niedawno uczynił, — ale doraźnie, pod dobry humor; pochłaniały go sprawy własnego gospodarstwa na wsi i jakieś tam w Warszawie. Inni obywatелеle sąsiedni, Świdorski, Drużbacki, choć rozsądni i przychylni, mieszały się bardzo rzadko nawet do narad nad sprawami gminnymi, a o pomoc czynną próżno ich było nawet et prosić. — Rykoń polegał głównie na poparciu osiadłego stąd daleko Jerzego Godziemby.

Kilka razy tylko go spotkał, a przecie do niego miał niezachwianie zaufanie; Godziemba był znacznie mniej majątny, niż Broniecki, ale należał do silnej, zmówionej z sobą gromady, która, gdy coś postanowiła, czepiała się sprawy tysiącami rąk zgodnych, — gdy potrzebowała pieniędzy, mogła zsypać grosze w przeważne kupy. Godziemba znajdował się niby pośrodku tej wielkiej gromady, naczelny nad wielu, zależny od kilku, ale skupiający w sobie pierwiastek ruchu i mocy, jak serce w organizmie żywym. Gdy on sprawę publiczną popierał, nie była to akcja jednego, choćby najsilniejszego człowieka, ale jakby dotknięcie łącznika elektrycznego, który robocie użyczał w mgnieniu oka siły stu koni.

Czuł to Rykoń i trzymał się oburącz tego przewodnika ogromnej siły zrzeszenia. Tem bardziej nie chciał w nim obudzić podejrzenia, że jego potężna pomoc może daremny tylko ruch wywołać wśród niespojonej, kłótlivej gromady Mielna.

Pogoda rozkaprysiła się znowu, i od rana sypała z nieba kaszka śnieżna. Rozmyślił się Jan, że groch ma już zasiany, na owies dzisiaj niedobry dzień, więc postanowił stanąć sam z parobkami do obróbki budulcu na dom ludowy, dla przykładu i oszczędności. Dał stosowny rozkaz Fudale i Bembeniście.

Ale Bembenista na ławę opadł, ramiona skrzyżował i ponuro zapytał:

— A ileż to my podziennego dostaniemy za tę cudzą robotę?

Rykoń zacisnął zęby, oczy roziskrzył i byłby może poturbował parobka, gdyby przez wrodzoną sprawiedliwość nie uznał nagle jego żądania za uzasadnione, choć samolubne.

— Miałbyś i u mnie dzisiaj robotę, ale kiedyś taki już psia wiara, że się ruszyć nie możesz dla gromady, jeno dla swego kałduna, dostaniesz: dwa złote dodatku z kasy budowlanej.

Bembenista kręcił głową, ale wkrótce zdecydował się, pociągnął nosem, wstał z ławy i wziął topór do ręki.

— A Ignac? — zwrócił się Rykoń do Fudały — chcesz także dodatku?

Pokorny parobek podrapał się w głowę:

— Kiej Michałowi, to już chyba i mnie?...

— Tfu! z takim narodem! — splunął Jan — to ja tylko, gospodarz, darmo robił będę.

Ruszyli we trzech, wzięwszy topory, na plac, gdzie dom ludowy budowano.

Właśnie potrzeba było dozoru i pomocy, gdyż murarze czekali na dziewczki do wapna, a przy obróbce belek zabrakło też paru zamówionych najemników. Rykoń rzekł do Fudały:

— Skocz no, Ignac, do chałup po dziewczuchy i wyciągnij z pod pierzyn te śpiochy!

— Tobym i ja poleciał! — ofiarował się Bembenista.

— Nie; tuś mi potrzebny.

Kazał mu trzymać sznurek, według wskazówki głównego cieśli, na jednym końcu nieobrobionej jeszcze belki, sam zaś przytrzymał sznurek na drugim końcu. Cieśla uczernił suto sznurek zwęgloną głownią i wyrychtował po granicy odcięcia oszastu od kłoca. Potem napięty sznurek uniósł trochę pośrodku i puścił — na białym miąższu sosny zarysowała się węglem żądana linja.

— Tera mi tu, Michał, obrobisz belkę po lenji do ostrego kantu — rzekł Rykoń — tylko sumiennie! Robota płatna — jak mi „śledzia” zrobisz, nie zapłacę.

Westchnął grubo Bembenista, okraczał bęlkę i jął dziabnąć toporem.

A Rykoń przygotował z cieślą zadanie dla Fudały, potem dla siebie, rzucił kożuch i wziął się szczerze do toporowania.

Śnieżna kaszka sypała wciąż z nieba, szemrząc i odpryskując od

rozrzuconego budulcu, więznąc cicho w żółtym kobiercu trocin. Ale gorąco było przy ziemi, przy robocie; powoli i obaj parobcy Rykonia i inni robotnicy ciesielscy zrzucili kożuchy, pozostając w lejebikach, spencerach lub kamizelach. Zagrały barwami szaty wierzchnie, amarantowe i czarne, spodnie jaskrawo pasiaste, księżackie — niby rój pstrokatych dzięciołów objadł smolne, pachnące drzewo i kuł je żelaznemi dziobami toporów. A w pobliżu ptasim też głosem świstała piła w kłodzie sosnowej, położonej na wysokich kobyłkach. W innej stronie mlaskał mokro mur pod kielniami, zaledwie nad poziom dźwignięty, ale już wymiarami swego zakładu obiecujący. I taka się zawzięła wesołość w tej ciężkiej pracy pod opryskliwem niebem, że dziewczuchy od wapna zaczęły śmieszłą piosenkę, przytupując po chodnikach drewnianych, a podśpiewywał i niejeden z robotników ciesielskich. Nawet Bembenista zagrzał się, zabawił w tym prawowitym gwarze i, skończywszy wyznaczone zadanie, odskoczył od belki, wołając ochoczo:

— Ejże, robota gracka! prościusieńka!

Dom budowano przy samym placu przed kancelarią gminną, gdzie się kręciło ciągle trochę ludzi. Zawsze też ktoś, czy zwolennik, czy przeciwnik budowy, zatrzymał się, aby popatrzeć na wielki warsztat, z którego, bądź co bądź, wyrośnie dziwowisko, dom ludowy, Tem bardziej dzisiaj zatrzymywali się przechodnie, poznając między robotnikami samego Jana Rykonia. Zagapiło się kilku chłopów i kilka bab z dziećmi, a że kupa przyciąga do siebie, więc każdy, kto przechodził, musiał choć na chwilę przystanąć, zadając sobie najprzód pytanie, czy też Rykoń za pieniądze robi, czy z łaski i ochoty? — —

Przechodził prędko młody gospodarz, Żulek, jakby się bardzo do czegoś śpieszył. Ale, poznawszy Rykonia, zboczył z drogi i przez belki i wióry dopadł do niego: — Bójcie się Boga, Janie! toście wy do prostych robotników przystali?!

— Jako widzicie: dom dla wszystkich, niech wszyscy ręki przyłożą.

— Za darmo robicie?

— Jużci za darmo: wstydby gospodarzowi za taką robotę pieniądze brać. Parobkom swoim dokładam za dzisiaj, bo użyteczności wspólnej nie rozumieją.

— Poczekajcież! — rzekł zapalczywie Żulek — to i ja po topór dla siebie skoczę — jesszczetam może kogo namówię — —

— Toś mi brat, Żulek! idź-że i powracaj, a chybko — —

O dziesiątej wypoczynek nastął zwyczajny na śniadanie. Anastazja przyniosła dla Rykonia i parobków gorący posiłek. Za grubą i niezgrabną dziewczką szła druga, całkiem innej urody, z zapaską, narzuconą na głowę. — — Poznał ją niebawem Jan po wielkich, zapatrzonych na niego oczach i po twarzy gładkiej a

bledszej, niż miały je dziewczyny polne. Poznał ją Jan i chwycił go za serce radosna pewnością, że ta jedna jest mu oddana całą duszą.

— Magdusia?!... co wy tutaj?

Olczakówna uściśnęła, długo milcząc, wyciągniętą dłoń Jana; potem rzekła uroczyście:

— Już ja wam wytłumaczę; zjedzcie tylko najprzód śniadanie.

— To se chodźmy tam dalej, na te belki pod stodołę. Pod okapem nie tak w oczy prószy i będziemy na widoku ludziom, wedle przyzwoitości.

Rozmówianemi oczyma podziękowała Magda Janowi, że łaskawie chce z nią gadać.

Usiedli, Jeść nie chciała, bo była już po śniadaniu. Rykoń zagadnął poważnie:

— Cóż powiecie, Magdalena?

Dziewczyna trudno przystępowała do wyznań; zrzuciła zapaskę z głowy na ramiona, okazując piękny ubiór, cały według prawdziwej mody łowickiej. Rzekła, spuszczaając oczy:

— Już ja się pożegnałem z panienką i ze Sławoszewem; chcę mieszkać w Mielnie — —

— Nawet żeście się już całkiem przebrali po mielniacku, i stanik, i spódnica — uśmiechnął się Jan uprzejmie.

— Przecie choć raz zauważyliście! — odrzekła Magda ośmielona. — Chcę wam tutaj być przydatna, Janie!

Spojrzał Rykoń pytająco, znowu spoważniał a dziewczyna znowu pokorniej tłumaczyła się:

— Potrzebujecie sklepowej do tego domu? — — sami mówiliście mi w zimie, kiedyśmy się to z panienką przed waszym domem zatrzymały, jadąc do Łowicza? — —

— A no, potrzebna będzie — jeno jeszcze i domu niema, i różne trudności przeszkadzają.

— Ja poczekam, Janie!

— Gdzież to? w Mielnie?

— Zgodziłam się na służbę do waszej siostry, Workowskiej Jagny.

Rykoń skoczył z podziwu:

— Nie mówiła mi! Jakaż to dla was służba po dworskiej wygodzie?!

— Poczekam, aż mnie będziecie potrzebowali...

Upór dziewczyny podobał się jednak Rykoniowi. Oglądał ją uważnie, przychylnie, zgadując łatwo jej wybieg prosty, skierowany do jednego zawsze celu. Pochlebiało mu to nawet, lecz i niepokoiło go, gdyż postanowienia co do swego życia osobistego miał niezłomne. Mówił z rozmyślną obojętnością.

— Potrzebował ja was nie będę tymczasem, Magdalena; a jeżeli kiedy, to do

domu gminnego. Dopiero ci ma stanąć — a czy w tym roku sklep otworzymy? — daj Boże! — — Umiecie dobrze pisać i rachować?

— Od tego czasu, kiedyśmy mówili, jeszcze dużo lepiej. Od kasjera w Sławoszewie lekcje brałam — — w Warszawie w sklepie siadywałam dla praktyki — — dwie książki o ochroniarstwie przeczytałam — —

— To dobrze, Magdusiu — przypatrywał jej się Jan — ale kiedy wam to dopiero potrzebne będzie? U Workowskich prosta służba, zapomnicie nauki... To niby nastajecie na miejsce ich dziewczki, Karolki?

— Na drugą, bez pensji — odpowiedziała, rumieniąc się, Olczakówna.

— O wa! cóż to dla was?!

— A nie mogę to ja waszej matuli przy warsztacie tkackim pomóc? — tłumaczyła się Magda przymilnie — spojrzycie tylko, jak umiem robić, — — najświeższa moja robota — —

Przesunęła prawie pod nos Janowi stanik swój obcisły, długi i pełny, w misterne poprzeczne „mrążki“. Chłop spojrzał, zmrużył oczy, nosem jakby tabaki pociągnął i rozśmiał się szczerze:

— Oj, wy dziewczuchy, dziewczuchy!

Tem śmielej znowu ofiarowała się Magda:

— A wam nie mogłabym to robić rachunków z tego domu? — przecie muszą być? — Piszę liczby i litery tak pięknie, że mi niedawno kazał pan Wierzbowski na nowych workach wielkie napisy porobić: „Dobra Sławoszewo“, a potem jeden, dwa, trzy — po porządku — aż do końca.

— To będzie z was sklepowa — zakonkludował Michał.

— Ii, na wszystkobym się zdała! — palnęła dziewczyna nieopatrzenie.

— Jak komu czego potrzeba — dodał Rykoń.

Znowu Magda poczuła boleśnie odporność Rykonia, znowu spokorniała:

— Nie zabronicie mi do was przychodzić?

— Matki się dopraszajcie. Jeżeli pozwolą, i ja bronił nie będę.

Tyle tylko uzyskawszy, Olczakówna nie czuła się jednak nieszczęśliwą. Miała nadzieję, że ujmie tych twardych ludzi swą pracowitością, samozaparciem, wreszcie osobą swoją, tak przecie chwaloną przez innych! — I blisko będzie Jasieńka, napatrzy mu się przynajmniej — —

Przypatruje mu się i teraz: taki chłop piękny, nie chłystek karczemny od wywijasów — mądry — i grzeczny nawet — innyby jej nagadał głupstw wedle tegoż, że jej chce, albo że nie chce; ten gada słowami tak miłemi, jako muzyka, ale czego chce? — doprawdy zgadnąć trudno — —

Chyba że, wędrując po świecie, pokochał inną i tai się z miłowaniem swoim? — — To przypuszczenie tak przejęło Magdusię, że oczy jej zaszyły łzami, i spostrzegł to Rykoń, gdy spojrzał na nią po długim milczeniu.

— No, co wam to, Magdusia? — zawołał innym zupełnie głosem, rzewnie.

Roztkliwiona dziewczyna zaczęła płakać na dobre, twarz zakrywając dłońmi.

— Nie płaczcie przecie, bo ludzie pomyślą, że Bóg wie, co jest między nami, — odezwał się znów Jan po sensacku — powiedzcie — może się da poradzić.

— Bo już nie wiem — szlochała Olczakówna — tacyście ze mną, jak ksiądz — — alboście gdzieś po świecie z jakąś kobietą zmówieni?

— Nie, Magduś, z żadną — odpowiedział Rykoń szybko i stanowczo.

Pocieszyła się znacznie Magda, ale nie wiedziała, jak tu znowu zacząć, aby wybadać Jana, Sam Rykoń, czując rozmiłowanie dziewczyny, zechciał jej nareszcie objaśnić swe postanowienie:

— Pamiętacie, Magdusia, na okrężnem m ówiłem wam, że mi nie wolno się żenić?

— Oj, pamiętam każde słoweczko! Ale nie rozumiem.

— Widzicie, jest tak: robót na siebie przyjąłem siła i odpowiedzialnych. Zanim ich nie skończę, nie chcę się z kobietą wodzić, bo to niby pomoc, mówią, ale poprawdzie tylko zasypianie społecznych obowiązków.

— Więc odkładacie sobie postanowienie aż do skończenia tego domu? — zapytała Magda.

— I temu, i wielu innym sprawom trzeba mi leszcze podołać — odrzekł Rykoń — trzeba ten cały naród sąsiedzki i okoliczny do wysokości jego przeznaczeń podwyższyć, nie — żeby odstawał za innymi i w ciemności tej pleśniał, co go w niedolę byle komu podaje.

Przez połowę tylko zrozumiała Olczakówna.

— Pięknie to — rzekła — ale żeby każdy, co ma tam coś robić dla gromady, nie chciał żony brać, toby rychło gromada wymarła.

— Każdy, to każdy — rzekł wyniośle Rykoń — a ja jeden jestem osobny, któremu Pan Bóg dał większe rozumienie i więcej zrobić kazał.

— Niby ten król... — szepnęła Magda.

Nie zaprzeczył Rykoń. Ale jakby pożałował, że się zwierzył kobiecie z tajników swej duszy, jął zacierać wrażenie słów poprzednich:

— Możeby inaczej człek wyrozumował — ale i ochoty niema do wesela w tych czasach. Gmina się buntuje przeciwko mnie, nic sporo nie idzie — — przewleka się niewola...

— Kiedy wam ciężko i samotnie, Janie, toć dobrze mieć przy sobie kogo, coby już was, jak pies, słuchał... Ja tu nie dla uciechy przyszedłem, jeno dla roboty i dla bliskości z wami — —

— Wierzę wam — rzekł Jan goręcej — i dziękuję, żeście przyszli; zawsze mam społeczność z siostrą, to się i z wami, Magdusia, widywać będziemy. — —

A pomagaliście mnie we wszystkim, co? — dodał wesoło.

— Pomagałabym; tak mi Panie Boże dopomóż!

— Robota mi wypada rozmaita — śmiał się Jan — czasem z panami szerokie sprawy rozważać, a, jak dzisiaj — to przy budowie z najemnikami pospołu. —
— No cóż? pomogliście, na ten przykład, wapno dla mularzy nosić?

Zerwała słę dziewczyna, odrazu gotowa.

— Tylkobym te sukienki zmieniła, bo szkoda.

— Chwacka wy, Magduś! Jest w was piękna ochota do pracy i dworska wygoda was nie nadpsuła. — Aleście tu dzisiaj niepotrzebni; dziewczki do wapna na cały dzień najęte i starczą. Idźcież do Jagny, bo czas nam powrócić do roboty. Bądźcie dobrej myśli.

Pomimo całej wyrozumowanej wstrzeźliwości, zagrzało się serce Rykonia. Radośnie mu było dowiedzieć się, że Magda kocha go nie jak pierwsza lepsza zalotnica pod wiosnę, lecz że uparcie praktykuje na godną i umiejętną towarzyszkę. I dzień odtąd rozweselił się: śnieg przestał padać od południa, — ciągnęły przez powietrze łube wonie wiosenne; ptaki w sąsiednim ogrodzie rozszczebiały się drobnym, piskliwym chichotem. Żulek przyszedł do pracy z drugim chłopem, na jutro obiecywał jeszcze paru bezpłatnych ochotników do topora. Zawrzała robota i czuło się przez skórę, że czasy nadciągają lepsze.

XIX.

Stefan Czernski siedział w Warszawie, na Pawiaku, przy ulicy Dzielnej, Obiecywano mu wolność już dwa razy na terminy, które upłynęły jednak w więzieniu; te dni zawiedzionej nadziei były najcięższe. Zresztą nie przeklinał dni więziennych, podczas których przemyślał wiele i porządkował swe myśli. Miał nawet w tych murach trochę chwil jasnych, tem jaśniejszych, że oprawnych w mrok powszedni, jak ten list Manieczki do ojca jego — z opłatkiem — i przynoszone mu przez ojca dowody życzliwości czynnej od osób mniej mu znanych, na których sympatje nie liczył uprzednio.

Ze strony tych osób była to może tylko kurtuazja, ale pamięć Manieczki o więźniu płynęła chyba z głębszego źródła. Wspominał ją z przyszłego roku, ponętą i niezależną, wspominał z rozmów w salonie pani Obichowskiej, już gorących, ideowo poufnych; chował wreszcie w pamięci jej obraz z ostatniego dnia wolności. Przecie to była już narzeczona, nie przez wyraźne umowy, lecz przez mocniejsze obietnice serc. Przekonam się teraz, jak taka panna z feodalnej szlachty zapatruje się na podobne zobowiązania niesformułowane. Może o nich zapomnieć bez jawnej skazy na swym honorze, może też... pamiętać. List z opłatkiem, już dawny, był jednak pocieszającym symptomem. Im więcej rozmyślał Czernski, tem silniej pragnął nie zawieść się na ślicznej, dzielnej, dobrej Manieczce; im dłużej siedział w więzieniu, tem bardziej wystawiał na próbę jej stałość. Ta względna pociecha dodawała mu czasem cierpliwości, częściej jednak wyrывał się na wolność, w której wszystko się wyjaśni. Instynktowo wierzył tej pannie, choć czuł, że związek z nią byłby gruntownem zawikłaniem w programie jego działań obywatelskich. A może ona pójdzie ślepo za nim? Może on coś zmodyfikuje dla niej w swych zapatrywaniach na ludzi, na kasty, nie na samą istotę pracy społecznej. Powoli niektóre z tych zapatrywań zaczęły mu się wydawać czczemi formami, nawet przesadami do odrzucenia. — Coraz łatwiej pozwalał sobie kochać pannę Broniecką.

W pierwszych dniach niewoli miotало nim młodzieńcze oburzenie. Do żadnej winy się nie poczuwał, raczej do opieszałości w służbie publicznej. Nie ma on czasu do marnowania w tem głupim więzieniu śledczem! Rozpoczął właśnie pożyteczne zabiegi na wsi i w mieście. — Z badań widział, że nic mu więcej zarzucić nie zdołają, jak to nielegalne zebranie młodzieży. Czyż za takie przewinienia karzą miesiącami zamknięcia? Gdzież kodeks i gdzież zasada *neminem captivabimus*?!

Przy powtórzonych śledztwach spostrzegł, że starano się z niego wyciągnąć

zeznania donioślejsze, któreby skompromitowały jego i innych. Przytaczano mu zdania, których nie powiedział, wymieniano nazwiska, których nie wyjawiał, wmawiając mu, że to treść jego uprzednich zeznań. Uzbroidł się w nieufność i baczniejszą jeszcze ostrożność, odpowiadał jak najmniej i potwierdzał tylko fakty oczywiste, wiedząc, że gdyby wyrażał swe opinie, miałyby ich w głowie mnóstwo karygodnych, z punktu widzenia tych sędziów.

Po paru miesiącach nauczył się jednak rezygnacji; los jego nie był wyjątkowy, dzielił go z wielu znajomymi, z tłumem nieznanym, z pokoleniami, zasadniczo z całym narodem. Ileż razy na tak zwanej wolności czuł rozpacz więzienną, osnuwającą wszelkie pragnienia obywatelskie — ile razy te najczystsze pragnienia kazały mu się „pod ziemią kryć z gniewem i być, jak otchłań, w myślach niedościgły“!

Zdała od roztargnień towarzyskiego życia więzień szeregową dawne i nowe namysły, dochodził do wniosków, nawet praktycznych, których wprowadzenie w czyn musiał odkładać do dnia wyzwolenia.

Gdy w ostatnim dniu kwietnia oznajmiono Czemskiemu, że jest wolny i po załatwieniu formalności wypuszczono go na ulicę, poczuł zrazu radość osłabiającą, bezradną. Dzień był ciepły, lecz zaduch żydowskiej dzielnicy, w której się znalazł, mniej napawał wiosną, niż ogród przy ulicy Pawiej, miejsce przechadzki więźniów, — — No, ale świat szeroki — i otwarty. Dokąd najprzód? — — Machinalnie skierował się Stefan ku środkowi miasta i najął pokój w hotelu Europejskim. To nie sybarytyzm, lecz higieniczna kompensata: po kilku miesiącach zamknięcia wykapać się, ostrzyżć i zjeść dobry obiad. — Ile dozwolonych rozkoszy w tych pospolitych zajęciach! Woda w łazience pachnie wiosną, sklep fryzjerski, restauracja pełne czystych ludzi i smakowitych woni — cały świat pachnie! Uch, te zaduchy w murach przy ulicy Dzielnej! —

Po obiedzie wysłał Czemski parę depesz, jedną do ojca, drugą do Jerzego Godziemby, I wcześniej spać się położył. — Co za łóżko!

Obudził się bardzo rano, odświeżony, z gotowemi projektami. Ruch warszawski zelektryzował go, gwar głosów żywych, wiadomości i zabiegów dał mu poczuć, że chociaż hamowane systematycznie, wre jednak życie. Trzeba się przyczynić do ulepszeń w życiu publicznem wszelkim możliwym wysiłkiem dobrej woli prywatnej.

O południu tego dnia dojeżdżał Stefan od stacji kolei do Modrzewca.

* * *

Wiść o uwolnieniu Czemskiego przysłała do Sławoszewa w taki sposób: Mańka dowiedziała się w Warszawie, że Czemski wyszedł z więzienia i

wyjechał na wieś. Natychmiast pod pierwszym lepszym pozorem, a nawet bez pozoru, powróciła do Sławoszewa. Uradował się pan Józef córce tak rozpogodzonej, jak już dawno jej nie widział.

— No, wyglądasz mi przecie znowu wesoło, nie na jakąś spiskującą sufrażystkę!

— Czy tak wyglądałam?... Ale już maj, tatusiu, — trzeba być na wsi. — —

— Trzeba, trzeba, Maniuś. Nawet ogród warzywny dopytuje się o ciebie. —
— Co ci to? — coś cię ponosi? — badał Broniecki, sam rozweselony.

— Nic tak bardzo... Cieszę się, że tatusia widzę.

— Ej-że? — — tak cię nagle tutaj przywiało — ręczę, że mi coś masz do oznajmienia — dopytywał się pan Józef, a uśmiech mu się zmieniał w wyraz twarzy troskliwie ojcowski.

— Parę nowin z Warszawy... — rzekła Mańka, nagle zarumieniona.

— Poczekaj! to zgaduję — pewno pana Stefana puszczono z klateczki?

— A no, tak... myślałam, że tatuś wie... Nie był jeszcze w Sławoszewie?

— Ani w Niespusze. Dziś rano miałem stamtąd wiadomości.

— Dokądże pojechał?

— Jakże ja to mam wiedzieć? — zastanów się córuś. — — Może ci bajkę powiedziano?

— Nie, nie. Przedwczoraj go wypuszczono, nocował w hotelu Europejskim i rano wyjechał na kolej — myślałam, że do Niespuchy.

— Proszę, proszę — co za wywiady! Reportera posłałaś, czy detektywa?

— Wszystko ciocia Obichowska, tatusiu. Szkoda tylko, że o jeden dzień zapóźno się dowiedziała, boby go pewno do nas zaprosiła. Ta złota ciocia! — wszystkiego mu zapomniała, nawet tego żartu o byczej głowie w jej herbie... Ciągle deptała za jego uwolnieniem.

— Ale po uwolnieniu gdzieś prysnął — — no, może do ojca?

— Prawda! — zawołała Mańka — niech tatuś pośle depeszę!

— Sfiksowałaś, Maniuś?! Nie można okazywać, że nam tak pilno go oglądać!

— Ależ nie, tatusiu — rzekła Manieczka, jakby zawiedziona na domysłności ojca — depeszę z powinszowaniem! A doktor przecie coś odpowie.

— Hm... to można — nawet się należy doktorowi, z którym sojusz zawarłem.
— Oj, ty, Metterniszku różowy!

Wysłano więc niezwłocznie depeszę, a Manieczka napełniła zaraz dwór wesołym gwarem. Nie było już, niestety, w garderobie Magdy Olczakówny, przyjaciółki, zato nowa praktykantka na pokojówkę, Zosia Pełczanka, rozśmieszała wszystkich swem nieobyiciem z pałacową kulturą.

— Tatuś! — krzyczała Manieczka przez drzwi swego pokoju, gdzie się ubierała — Zosia mi podaje do czesania szczotkę od zębów!

— Pilnuj, żeby ci pachnącego mydła nie zjadła, bo gotowa się otruć — odpowiadał zdaleka pan Józef.

Cała służba krzątała się rażniej po domu i kuchni, widząc znowu dziedziców w dawnym, promiennym usposobieniu, a kanarki w klatkach zaczęły śpiewać na zabój.

Po obiedzie poszła Mańka sama do sadu, którego pilnie dozorowała.

— Tu mi dopiero wiosna!

Wielki sad szalał dziewczyczymi zapachami z nabrzmiałej roli i młodego liścia, które ogarnęło drzewa owocowe cieniem jeszcze rzadkim, pełnym zielonego słońca. A cała kwatera śliw i wisien już kwitła niezmierną, rzewną bielą, ułożoną w bukiety kuliste, lub w snopy związanych tysów. Kwitły tak bogato, że budziły żal nad milionami kielichów, które uschną i opadną daremnie, a najchciwszy ogrodnik nie mógł żądać, aby ćwierć tego weselnego wybuchu wydała owoce — połamałyby gałęzie. Manieczka muskała leciuchno twarzą chłodne kwiaty, jakby chcąc przyrównać do nich swoją urodę dziewczęcą, a twarz jej rozpalona przecuciem pocałunków, plamiła dojrzałą czerwienią białosc drzew niewinną. Zaszedłszy głęboko między kwitnącą gęstwę, zwierzyła się głośno kochanym kwiatom:

— Tędy on przyjdzie — tutaj go zaprowadzę.

Ale mając w pogardzie romansowość, zaraz się poprawiła:

— Pewno właśnie gdzieindziej! Trzeba obejrzeć grędy między drzewami, co i gdzie zasiał ogrodnik, jak się udało. Skierowała Mańka oczy na dół, oglądając troskliwie flance sałaty, każdy w zwilżonym dołeczku, leżące na ziemi, niby obumarłe. Ale na sąsiedniej grzędzie flance, widać wcześniejsze, już się rozparły w swych dołkach gospodarnie, zdrowo zieleniejąc. — Tu znowu wзираły z szarej roli białe, blade zielone i różowe kielki, albo jak misterna pleśń, wschodziły różne warzywa, w których Manieczka rozpoznawała marchew, pietruszkę, koper, majeranek... A groszek cukrowy rodził się bliźniaczami parami okrągłych listków. Najśmielej rozkrzewiła się wczesna rzodkiew gruntowa w szaro-zielone krzaczki. Pociągnęła Mańka za jeden, którego korzonek okazał się jeszcze bardzo wątłym, ale go Mańka otarła fartuszką i schrupała, kręcąc noskiem od ostrego smaku surowizny.

Rzuciwszy okiem na oszklone inspekty i wysokie szanice szparagami, pomyślała, że dosyć na pierwszy raz oględzin, trzeba się przecie i z parkiem przywitać.

Murawa już była w nim świetna, pachnąca miętą i fiołkiem, ale niektóre korony wysokich drzew jeszcze kreśliły na niebie powikłania nagich gałęzi. Chyba że brzoza albo Czeremcha zawieruszyła się gdzie, w zieloną gazę wystrojona, między tłumem ciemnym zalotnica. Albo świerk powagą swych

ramion, nakrytych ciężkim ornatem, zdawał się uciszać powstające między drzewami załoty. Ale przy ziemi gminne bzy i jaśminy otworzyły już do słońca krocie głodnych dziobków zielonych i od nich to szło ku wierzchom zaraźliwe pragnienie wiosennej pieszczoty. Około rzeczki, pełnej figlarnego prądu, w podcieniach, dyszących jeszcze chłodem roztopów, z dnia na dzień wytrysły kępy konwalij; z bladych, tutkowatych liści wyzierały gdzieś białe grona kwiatów.

Szła do nich właśnie Manieczka, wiedząc z lat poprzednich, gdzie się rodzą.

— Są już, są! — ucieszyła się.

Bo znowu przyszło jej do głowy, że przyprowadzi Stefana do konwalij. On musi je lubić namiętnie, jak ona? — On kocha lud, ojczyznę, postęp — jak ona. Niepodobieństwo, aby nie lubił i konwalij — —

— To głupstwo — pomyślała — powiedzieć tego niepodobna, ale pomyśleć tutaj tak miło...

Powróciwszy o zmroku do domu, zapytała, czy niema odpowiedzi doktora na depeszę. Jeszcze nie było, a nawet, po obliczeniu czasu, być nie mogło. Niezbyt zasmuciła się tem Manieczka, bo miała w sercu uporczywą, radosną pewność, że nic złego stać się nie może.

Tak upłynął dzień niesyty ciepła, ani zupełnych zadowoleń, ale przepojony obietnicą i nadzieją, dzień wczesnej wiosny.

Nazajutrz było gorzej. Do południa nie przyszła odpowiedź doktora, ani żadna wieść pożądana. Mógł wprawdzie doktor odpowiedzieć listem. — Manieczka starała się nie okazywać ojcu zasepionej twarzy, jednak z jej nerwowego niepokoju miaikował pan Józef, jak mocno jej serce było zajęte. Cieszyć się z tego, czy smucić? — sam nie wiedział. Młodzi powinni się kochać — to pewnik — ale tymczasem wiadomo dopiero, że zakochana jest panna Broniecka, pan Czemski zaś pozostaje pod wielu względami nieodgadniony, bo, chociaż człowiek uczciwy i naogół sympatyczny, nie wypowiedział się dotąd wyraźnie nawet co do swych uczuć, on, któryby powinien drogę z Niespuchy do Sławoszewa przebyć na klęczkach, prosząc o rękę Manieczki! A co do działań publicznych — dobre ma chęci, lecz „kiełbie we łbie“. — Że siedział w ciupie, to jeszcze nie patent na obywatela i zięcia — —

Tak ocenia sytuację pan Józef, ale po cichu, gdyż wiedział zgóry, że przychyli się ostatecznie do woli Manieczki. Pragnął więc już tylko, aby Stefan okazał się jak najodpowiedniejszym dla Manieczki i aby nareszcie się zjawił. Przyjmie go serdecznie.

O trzeciej po południu ktoś szybko zajechał przed ganek. Ojciec i córka, z równym przeczuciem, podążyli do przedpokoju. Rzeczywiście, przyjechał nie kto inny, tylko Stefan Czemski.

Uściskał go pan Józef, Stefan oddał uścisk ze szczerą przyjemnością, a Manieczkę z rozpędu pocałował w rękę, pierwszy raz w życiu. Tak być powinno — nikt się nie zdziwił. Rezolutna dziewczyna była jednak w tej chwili wyjątkowo blada, szeroko otwierała oczy. Poczuła bowiem chwilę stanowczą, losową: jaki jest ten, o którym marzy od przeszłego roku? —

— Dobry i własny! — stwierdziła błyskawicznie, oddając Stefanowi drżący od mocy uścisk dłoni.

Gdy tak w jednym zetknięciu elektrycznym powiedziano sobie rzecz najgłówniejszą, rozpluskała się dopiero rozmowa, niby po gromie deszcz wiosenny, ciepły i radosny.

— Wina! — wołał pan Józef — maślacza 1811-go! Niech-że cię pokrzepię, wyzwolenicze, najprzedniejszym kordjałem z mej piwniczki! Musiało cię trochę poderwać to siedzenie? — Schudłeś — —

— Nie tak źle mi było — — choć bardzo już rad jestem ze swobody ruchów i z możliwości podziękowania łaskawym protektorom, którzy się o moje uwolnienie starali.

— Staralem się, przyznaję — odrzekł po prostu Broniecki — ale z mizernym skutkiem. Jeżeli kto co zrobił, to Godziemba i pani Obichowska.

— No, i ten prezes warszawski, do którego Pani raczyła... — zwrócił się Czemski do Manieczki z pełnym wdzięczności ukłonem.

Ojciec spojrzai na córkę zdziwiony. A ona rzekła z zakłopotaniem:

— Mówiłam z prezesem parę razy... Tak, staraliśmy się wszyscy.

— Jednak wiem napewno, że ostatecznie moje uwolnienie zawdzięczam wstawieniu się tego prezesa, a więc — pani.

— Bardzo byłabym dumna...

Powiedziała zaś to właśnie skromnie, chociaż z przekonaniem, Broniecki, nierad trochę, że znowu nie wiedział o tych zabiegach córki, zaczął o czym innym:

— Ale gdzieżeś-to pan bujał po świecie przez ostatnie dni?

— To chcę opowiedzieć dokładnie.

— Bardzo słusznie. — No, dali już tam to wino? — — Jest? — dobrze. Przejdźmy do jadalnego. Jadłeś obiad, panie Stefanie?

— Jadłem dopiero co w Niespusze.

— Wybornie. Właśnie wino deserowe.

Przy stole w jadalni Broniecki ujął ostrożnie brudną, staroświecką butelkę, na której widniał niezgrabny biały napis: „M. 1811, R.“, przejrzał pod światło, cmoknął i powoli nalał wino w trzy lampki.

— Napijesz się z nami, Maniuś, ze względu na protegowanego. Co?

— Wypiję, tatusiu.

— No, panie Stefanie, za zdrowie i szczęście twoje, które nas wszystkich serdecznie obchodzi — rzekł Broniecki tonem niezwykle uroczystym.

Wypili, stojąc. Ale właśnie dlatego, że pomyśleli o rzeczach ważnych, ponieważ rozrzucających, pan Józef chciał się wymknąć z tego nastroju:

— Cóż, Maniuś? — rzekł siadając — jakże ci wchodzi to wino?

— Dobrze — odpowiedziała swobodnie — ma jeszcze więcej bukietu, niż rok 1805-ty. To chyba z naszych najlepsze.

— O, widzi pani — zawołał uradowany Broniecki — wyparłbym się jej, gdyby się nie znała na winie. — Ale teraz pan gadaj, coś przez te dni porabiał: Byłeś w Lublinie, u ojca? — Poznałem go, wiesz pan? Tuszę sobie, że mi płaci wzajemną przyjaźnią.

— Wiem. — Ale nie byłem teraz w Lublinie — pojechałem do Modrzewca.

— Proszę! — do Jerzego? —

— Tak. Sprzedałem Niespuchę panu Godziembie na szkołę rolniczą dla włościan.

— Doprawdy?! Na warunkach, które omawialiśmy razem w Modrzewcu jesienią?

— Tak jest. Wymówiłem sobie tylko miejsce w zarządzie dla siebie i dla mego przyjaciela, Stanisława Wintera.

— A reszta? Plan, kierunek... według życzenia Godziemby i tamtego towarzystwa? — badał Broniecki z rosnącą radością.

— Tak. Doszedłem do przekonania, że nikt lepiej, niż oni, nie zużytkuje ziemi i nie poprowadzi tej instytucji.

Broniecki, że to miał w herbie serce na talerzu, ku przyjaciołom skłonne, a siedział obecnie przy wybornem winie, rozrzucał się i wyciągnął rękę do Czernieckiego:

— Winszuję ci, panie Stefanie. Widocznie jesteś dobrym obywatelem w duszy, choć się w dyskusjach upierasz.

— Wiele przemyślałem w więzieniu. Wiele odrzuciłem haseł bez treści, a przekonałem się do ludzi i rzeczy, niesłusznie piętnowanych.

Pan Józef wpadł w najlepszy humor:

— Gdybym miał syna, zanego chłopca z przewróconą głową, wsadziłbym go na kilka miesięcy do ciupy, aby mi z niej wyszedł podobny do pana. Dalibóg! — pyszna kuracja — no, dla ludzi uleczalnych i z dobrej gliny. —

Stefan nie obraził się wcale, uśmiechnął się pogodnie, Ale spoglądał na Manieczkę, która jakoś nie zapaliła się jaskrawo do tej transakcji.

— A pani — zapytał — czy nie pochwała mego postąpienia?

— Jakżeby?! naturalnie, skoro tatuś i pan Godziemba... Tylko ja niebardzo znam tę sprawę... Więc pan wynosi się z naszej okolicy?

— Ani myślę! Będę tu mieszkał nadal, przy szkole i przy fermie; będę miał robotę.

— A, tak, to rozumiem. Bardzo dobry projekt.

— No, panie Stefanie, — przerwał z uśmiechem Broniecki — opowiedz mi całą rzecz ze szczegółami. Nietylko szkoła mnie obchodzi, ale ta twoja zbawienna... ewolucja, jakbyś powiedział, a po staropolsku: ustatkowanie się zapędzonego młodzieńca.

— Przepraszam — odrzekł Czemski z upartą zmarszczką na czole, którą Manieczka przypomniała sobie z lubością — ja się znów nie zmieniłem tak bardzo, jak pan przypuszcza, nie zapisałem się do stronnictwa pana Godziemby, nie wyznaję wszystkich jego zasad.

— Masz rację, panie Stefanie; tęgi człowiek, ale pedant i abstynent.

— To jego rzecz. Mnie obchodzi jego ogromna praca i siła woli, bardzo rzadkie u nas. On chce dobra kraju, a specjalnie ludu wiejskiego, o którym i ja myślę. Więc zasadniczo jest mi sprzymierzeńcem. Z takim nie można nie trzymać, bo za nim stoi zorganizowany zastęp, który jest dużą siłą, zastosowaną do naszych i do moich celów. Walczyć zaś z dodatnimi działaniami tej siły dlatego tylko, że nie od mojego obozu pochodzą — to, co najmniej, błąd w robocie postępowej.

— Widzę, żeś kochany chłop i ćwik w dodatku, Stefeczku. Pozwolisz, że cię panem nazywać nie będę, a ty mi mów, jak sobie zechcesz — — I spełnię nowy kielich, aby ci powinszować.

Manieczka nadstawiała też swoją lampkę.

Dosyć już, córuś. Koło szkła robota jest męska.

— Chciałam tylko powinszować panu Stefanowi.

— Daj mu łapkę, to go bardziej ucieszy, ręczę ci.

I łapka została ucałowana już z ojcowskiego upoważnienia.

— Kobięcym zaś wydziałem jest śpiżarka i kuchenka. Idź, Maniuś, dopilnować, abyśmy dobrą mieli wieczerzę.

— Prawda! — powstała ochoczo Mańka z pełnemi szczęścia oczyma.

A pan Józef został ze Stefanem i mówił z nim, już zupełnie pojednany:

— Cóż zastałeś w Niespusze? harmider? — Owocny tam za ciebie gospodaruje?

— Niema go już od dość dawna.

— Więc w roli dziabie Durmaj, a w kuchni pietrasi ta... jakże jej tam?

Czemski zamyślił się o czymś niby, czoło zmarszczył, ale widocznie się zarumienił.

— Gadaj-że, chłopie! Cóż to myślisz, że ja święty kiedy byłem, albo że już jestem?! To mnie nie znasz!

— Agatka wyjechała z profesorem.
— Jakto: wyjechała? — to znaczy, że nie wróci?
Czernski teraz wybuchnął hamowanym, nerwowym śmiechem:
— Cała tam awantura. Ten Owocny, to osioł!
— O tem jestem przekonany. Ale jakimże znowu bryknął konceptem?
— Zastałem w domu jego list, że... no, że się żeni z Agatką!
— To mu się rzeczywiście udało lepiej, niż agitacja w Mielnie. Cóż ty na to?
— Ach, panie! uszczęśliwiony jestem! bo nie wiedziałem właśnie, jak się pożegnać z tą dziewczyną.
— Nie masz z nią żadnego... przychówku?
— Nie mam, na szczęście.
— Więc cóż? — doskonale! wygrałeś na loterii paręset rubli i krowę.
— To też odpisałem, że życzę szczęśliwego pożycia, że błogosławię! śmiał się Czernski nerwowo, bo i trochę wstydliwie.
— Człowiecze! cóżeś uczynił?! — — wysłałeś ten list?
— Nie jeszcze; mam go z sobą — — Bo co?... — zdziwił się Stefan.
— Podrzyj-że go natychmiast! — Czy dbasz o stosunki przyjazne z tym fabrykantem sieczki dla ludu?
— Ani trochę. Owszem, sporo omyłek mu zawdzięczam.
— Więc obraż się na niego! obraż się śmiertelnie za Agatkę! — nie pisz — daj mu znać przez znajomych, żeś się zawiódł na nim — — gdy go spotkasz, nie witaj się z nim i przeszywaj go wzrokiem pogardy!...
— Kiedy ślepy — nie dojrzy.
— To mu daj nogą... gdzieś! Cel ten uświęci środek, który do niego zastosujesz.
— Rzeczywiście, najlepsza rada... dziękuję — śmiał się teraz Stefan serdecznie.

XX.

Pierwsze odwiedziny uwolnionego Stefana w Sławoszewie przyniosły Manieczce pewność szczęścia, a panu Józefowi dużo nawet uspokojenia co do losu córki i jego własnego, jako teścia. Stefan był wyraźnie tęgim człowiekiem, sprzymierzeńcem, i podobał się Mańce tak bardzo, że aż pana Józefa korciło. Cóż u licha? nie nam, Bronieckim, robi on łaskę!

Najdziwniejsze było to, że upływały pierwsze dni maja, a Czemski nie powracał do Sławoszewa. Przysłał tylko list uprzejmy z prośbą o radę praktyczną, dotyczącą Niespuchy, z ukłonami dla „obojsza państwa“. Ależ maj był! Żeby choć kwiaty przysłał!

— Niema nic Wersalu w tym chłopie — mówił Broniecki do córki. — Szczur książkowy! Żeby to mnie za dobrych czasów taka gratka! Rany Boskie!

— Namysłą się, tatusiu.

— Nad czym, u kaduka?! Widzi aż zanadto.

— Ja czuję, co on myśli.

— No naprzykład?

— Że to przewrót w całym jego życiu...

— Spodziewam się! Do takiej zmiany pies na mrozie oblizuje się przed drzwiami ciepłego domu. — — A przecie drzwi otwarte!

— Otwarte, tatusiu? czy zupełnie? bez przymusu? — łasiła się Manieczka do ojca wdziękiem jasnych, rozkochanych oczu.

— Uważałaś przecie, jakem go przyjął, Maniuś. A nie wiedziałem jeszcze, jak sobie postąpił z Niespuchą. — Nie — chłopak dzielny i może... może wart ciebie.

— Więc między nami zgoda, tatusiu — jak była zawsze, tak będzie zawsze? prawda? Niech mnie tatuś pobłogosławi.

— Ja tam nie proboszcz... błogosławię cię pocałunkiem — i całym sercem, Manieczki moje! — rozrzewnił się stary, mocno przytulając do wąsów głowę córki i kreśląc jednak drżącym palcem krzyż na jej białym czole.

Przymknęła Mańka oczy.

A potem, całując gorąco szorstką rękę ojca, jeszcze w jego objęciu, dopraszała się ślicznym, kobiecym szeptem:

— Więc niech tatuś nie mówi tak brzydko o nim — tak niechętnie: to szczur, to pies...

— Ależ, dziecino! nie wiesz to, że mi się słowa sypią z gęby, jak je Pan Bóg stworzył?! — —

Ochłonawszy ze wzruszenia, spojrział Broniecki przez okno i rzekł:

— Tylko mi markotno trochę dzisiaj, bo podła pogoda.

Jako namiętny rolnik, pan Józef odczuwał bardzo wrażliwie zmiany pogody na swym barometrze moralnym. Nie podobały mu się trzy przymrozki z wiatrem, w kwietniu, tak zwane „wycinki”. Nie podobał mu się również dzisiejszy zimny wiatr, wcale nie majowy.

— Widać aż stąd, jak ta wichura okrada nam sad z kwiatu, A nowy sad założony w polu i droga do krzyża, którą obsadziłem — wiesz, Maniuś? — W polu jeszcze się bardziej rozjadło wichrzysko, z piekła rodem!

— Tyle tego kwiatu — pocieszała Manieczka — ten, co się utrzyma, da jeszcze piękniejszy owoc.

— Teoryjka do zlewu, córuś.

* * *

Trafnie przeczuwała Manieczka, że Stefan namyślał się gorączkowo w samotnym swym domku w Niespusze. Chociaż doszedł do przekonania, że ci, od których stronił dawniej z nieufnością, są właśnie urodzonymi sprzymierzeńcami od roboty z ludem; chociaż ujęło go wstawiennictwo za jego uwolnieniem tych „zacofańców“, których miał za wrogów, a którzy, widocznie, poznali w nim i ocenili dobrą siłę przyszłości; chociaż olśniony został przez przyjęcie w Sławoszewie i kochał naprawdę pannę Broniecką — uparta pycha przeszkadzała mu do odstąpienia teorii i nawyknień. Co innego zakładać szkołę ludową z gronem ludzi mocnych i roboczych, choć trochę odmiennie myślących, co innego zaś skojarzyć się nierozzerwalnie z rodziną staroszlacheckiego typu. Przypominał sobie Stefan salon pani Obichowskiej, a w nim próżniaczych panków i puste kobiety. Mająż-to być odtąd jego krewni? jego zwykłe towarzystwo? — Nigdy!

Ona, ta najmiłsza, zdaje się być zdecydowana na życie wspólne wyższego zakroju. — Ale trzeba ją wyprowadzić z towarzystwa, z którym obcuje. Nie odrywać od ojca, kochanego człowieka, — nie — lecz od szlacheckiej, zacofanej kliki. Małżeństwo zaś z panną Broniecką obowiązuje niejako do poszanowania tej kliki, do wdzięczności względem niej — — panna Broniecką jest bogata — —

Przemykały nawet Stefanowi przez głowę przewidywania, jak to jego koledzy z „Ludowca“ (taki Owocny!) sykać będą i nazywać go karierowiczem, spekulantem! Ale te względy pomijał, bo nie czuł w sobie ani cienia podobnej pobudki. Owszem — zrzekłby się posagu i dziedzictwa Manieczki — szczerze. Żałował, że się właśnie urodziła z bogatej, starożytnej szlachty.

Trzeba jednak było działać. Choć się dotąd nie oświadczył, czuł, że zachowanie się wobec niego Manieczki i jej ojca zmusza go do oświadczyn. Uczyni to niewątpliwie — tylko w jaki sposób: czy bezwarunkowo, czy z zastrzeżeniem swej niezależności ideowej, majątkowej...? Najlepiej — powie tej jedynej wszystko, co myśli i czuje, bez utajeń, bez dyplomacji. Będzie, co będzie.

Wtem do Niespuchy przyjechał ojciec Stefana, może przeczuwając, że syn potrzebuje na tym przełomie życia oparcia o ramię męskie mocne i niepodważalne. Jakoż Stefan pierwszy raz od czasów dziecięcych zwierzył się ojcu otwarcie, a doktor pierwszy raz wywarł stanowczy, energiczny nacisk na losy dorosłego syna. Nazajutrz, po długiej nocnej konferencji, obaj Czemsy pojechali do Sławoszewa.

Wzruszenie ogarnęło wszystkich, nawet Bronieckiego. Zdarzyło się nawet małe zamieszanie, gdy pan Józef poszedł do swego pokoju, aby się przebrać, a Mańka wybiegła za nim bez widocznego powodu — i goście pozostali sami w wielkim salonie.

— Tatusiu! jaki ten doktor miły i piękny! — zawołała Manieczka.

— A nie mówiłem? — — I Stefan będzie taki sam. Przecie ja ich obu wynalazłem!

— Tatuś?!

— A któż tego zacnego doktora Tomasza wyłuskał z Lublina? — —

— Prawda... — odrzekła Mańka ze szczyptą obłudnej pokory, przepadającą w niezmiernej radości ogólnego porozumienia.

— A widzisz! Skąd-żebyś go nawet znała, jeżeli nie przeze mnie? Nic ci jeszcze nie powiedział — —

Ale Manieczka przejrzała już doktora w jego postaci, promieniejącej wspaniałą siwizną i mądrymi oczyma, w sposobie uściśnienia jej rączki przez obie delikatne, magnetyczne dłonie uczonego.

— Tatusiu najukochańszy, najmądrzejszy!

— Tak, tak... Wracajże do nich, szczebiotko, bo pomyślą, żeśmy głowy potracili — —

Wróciła Mańka do salonu i rozpoczęła o pogodzie, która tym razem wymagała, aby o niej mówiono: zimny deszcz dukuczliwie i przekornie smagał po szybach okien.

Pogoda dostarczyła też wymówki powracającemu Bronieickiemu:

— Taki psi czas, że człowiek szlafrokuje w domu; tem większa jubilacja z odwiedzin najmilszych druhów.

Doktor odezwał się wreszcie o czemś ważniejszym:

— Tęskniłem dawno do możności odwiedzenia szanownego pana; od naszego

spotkania w Lublinie nabrało się wiele rzeczy do omówienia, wiele wyrazów serdecznej podzięk... Może mnie pan zechce zaprowadzić do swej pracowni?

— Gdzie chcesz, kochany panie Tomaszu! A młodzi bez nas się obejda, Stefan i Manieczka pozostali więc sami w dużym salunie. Oboje, choć ludzi odważnych, przejęło drżenie wewnętrzne przed nadchodzącą chwilą, upragnioną, ale tak zaciekawiającą, że nie śmieli jej przyśpieszyć, Stefan wyraził ponownie swą wdzięczność Manieczce za pamięć o nim w więzieniu.

Wzruszyła ramionami, uważając to za rzecz zupełnie naturalną; skrzyła do czego innego:

— W tym salonie pierwszy raz pana zobaczyłam.

— Prawda! Ale ja pani nie widziałem. Gdzież była kryjówka?

— O tam — za tamtymi drzwiami jest mój pokój pan siedział w tym kącie salonu i... strasznie nas nienawidził.

— Nigdy! — zaprotestował Stefan serdecznie — jednak radykalnie zmieniłem zdanie od owego czasu. — — Przedewszystkiem nie znałem pani.

— To ja inaczej. Kiedym pana usłyszała po raz pierwszy, odrazu poczułam, że pan chce czegoś dobrego... mojego...

— Czego ja chcę? proszę mnie wysłuchać, pani!

Czernski powiedział to gwałtownie; zerwała się w nim burza nieodgadniona i odbiła się o twarz. Manieczka spoglądała nań z gorączkową, uwagą. On zaś mówił:

— Prostu powiem, bo nie umiem inaczej, nie chcę mówić inaczej. Natura ciągnie mnie do prawdy nagiej, wszelkie jej osłony są mi wstrętne. W sferach towarzyskich, do których pani przywykła, nazywają takie usposobienie chamstwem.

Przerwał, spoglądając na Manieczkę, która odpowiadała spokojnie:

— Pan to sobie tak nazywa... ale ja rozumiem. Ja także niecierpię dróg krętych i jestem zawsze szczerą.

— Wiem to — przeczuwam — dlatego też pani jest jedyną i pierwszą w życiu spotkaną istotą, przed którą pragnę odsłonić całą swą duszę. Więc powiem najprzód to, co panuje we mnie nad wszystkim: kocham panią — —

Manieczka drgnęła — — wyciągnęła ręce — — ale je opuściła, gdyż Czernski nie ruszył się ku niej. O sprawie tej najdonioślejszej, najpożądańszej mówił z głębokim przejęciem, jednak bez spodziewanej słodyczy.

— Kocham — powtórzył — bo żadna kobieta, żaden przyjaciel, żadna powaga... nikt nie wywołał we mnie takiego wewnętrznego przewrotu, jak to uczyniłaś... pani... kilku rozmowami, kilku błyskami swych uśmiechów jedynych... Musiałem to wyznać — — jednak nie wiem, dokąd mnie to serdeczne i wielkie uczucie prowadzi...?

— Jakto? nie wie...? — cicho rzekła Mańka.

— Nie wiem najprzód, czy pani... to jest: jak pani zapatruje się, albo raczej odpowiada... — plątał się Stefan w sieci najpospolitszych wyrazów.

Aż Manieczka zawołała, prawie ze łzami:

— Ach, panie! proszę mnie nie męczyć! Gdzież ta szczerłość?! pan wie doskonale, co ja odpowiadam — pan wie oddawna!

— Więc mogę się spodziewać?!

— Możesz, możesz, mój jedyny! — —

Dopiero gdy Stefan rzucił się do kolan ukochanej, ucałował jej ręce — i oczy — i usta — gdy Manieczka zatrwożyła się nagle i znowu „panie“ spróbowała mówić narzeczonemu, — uspokoili się, usiedli blisko obok siebie, trzymając się za ręce.

— Więc co to było? — zapytała — co znaczyły te wahania? — Ach! raz jeszcze przeszkadzała mi ta głupia teoria... to jest nie teoria głupia, tylko ja sam, bom ją źle stosowałam.

— Opowiedz! — —

Drżenia serc niesytych, ponurość umyłów zaniepokojonych wątpliwością, troski o pomyślność osobistą i ogólną — wszystko, jak wielkie wody Po rozkołysaniu wracające do równowagi, wyrównało się w słońcu.

Z wiosny opieszalej gospodarze wróżyli, że jednak będzie łaskawa na żyto, którego kłosa już Wysypały się włochatą powodzią nad podwyższone łany; żdźbło mocniejsze będzie w kolankach, że wolniej rosło, i żyto nie wylegnie — — teraz tylko cichej pogody na kwit — i słońca, słońca!

Przybywało go coraz więcej, coraz cieplejszego. Nabierały otuchy serca rolników, chciwe błogosławieństwa niebios dla wypracowanych planów. I rosła w sercach wiosenna ochota do bujności życia, do zamiarów rozmaitych, wypieszczonych w zimowym zasklepieniu.

Zaręczyny panny Bronieckiej z Czemskim były tą chorągwią świąteczną, zatkniętą nad pan ującym okolicy domem, tym sygnałem wesela, na który zapatrywały się tysiące oczu rozradowanych; ludzie więksi i mniejsi wyciągali z tej nowiny wróżbę pomyślności dla spraw swoich: szczęście zjawiało się w krainie razem z wiosną i teraz wszystkich wedle upragnień obdzieli.

Hukały piosenki po chatach i na polach Mielna; obrzydzili sobie chłopci niedawne waśnie i bunty przeciw razem powziętym uchwałom, bo i w głowach uczyniło się jaśniej od powrotu Czemskiego a pod nieobecność Owocnego. W Niespusze stanie szkoła rolnicza, i to pod opieką tegoż Godziemby, który dom gminny w Mielnie popiera. Jednak Rykoń miał słuszość jak zwykle okazuje się po czasie! Ruszyła się składka na budowę domu, wielu gospodarzy przyłożyło

ręki do dzieła, które też pięknie rosło. Jakby nigdy nic nie zakłóciło zgody i pracy, gromada szykowała się ochoczo do nowych, lepszych czasów. Przeciwnicy Rykonia nawrócili się do niego w większej części, a najzatwardziałsi umilkli, Michał Bembenista, który już był podziękował za służbę, naprosił się sam znowu, aby pozostać, miarkując, że nie będzie tymczasem z jakiegoś tam nadziału gruntu parobkom, a że lepszego miejsca, jak u Rykonia, łatwo nie znajdzie. Jan, widząc, że się parobek usatkwował i zabrał do pracy, zgodzi się go zatrzymać.

Siły ludzi wzrastały w miarę powodzenia przedsięwzięć domowych, polnych i okolicznych. Niejeden, który już przeklął był swoją dolę, nabierał do życia ochoty i wydało mu się nagle godnem zapału. Byle silnie robić i trwać — rychło lepiej będzie! A przecie nic tak bardzo nie zmieniło się na świecie oprócz tego, że szła mocna i pobudliwa wiosna.

Odczuwały ją najradośniej dzieci, przez zimę zasepione, wyblichowane na policzkach w izdebnem zamknięciu, gdy teraz krążyły swobodnie po okólniku i pośród zielonych drzew sadu, znajdując co chwila nowe cuda kielków i kwiatów przy ziemi, a wesołe muszki, dziwne żuczki i podrygujące ptaki w przestrzeni powietrznej, przesłoniętej bogatą już gęstwą gałęzi — — i, wybiegłszy na słońce, łowiły je na pyszczki zarumienione, na chciwą ogrzewkę skórę, marząc lotnie o słodczy życia. Młodzież podrosła, wypędzona na pastwisko za inwentarzem żywym, dzieliła z nim radość wiosenną, przyglądała się szerszym jeszcze dziwom, ciekawszym zagadkom przyrody i czuła już we krwi podniecie mocy rodzajnej. Tęgie zaś chłopcy, pozbywszy osowiałości, godziły się ze swarliwymi niewiastami, a potem przemyślały o sprawach swoich i pospólnych. Staruszek, łagodnie zadumany, wygrzewał się tu i owdzie na przyzbie.

Dużo było wesela i nadziei w Mielnie z wiosennych pędów i rozkwitów — coś dopiero w Sławoszewie, gdzie w niezmiernych bukietach zieleni tkwiły już filigranowe stożki kasztanowego kwiecia, kiście bzu rozbłękitnione na fioletach, różowe frendzelki kozodrzewiu, szafranowe kity złotej porzeczek. Co ranka wybuchały wysoko nowe rozkwity śnieżne, a na rabatach kwietnych już tęczą mieniły się barwy.

Idąc przez te krainy świeżości i woni, mówił Stefan do Manieczki:

— Najdroższa moja! nie wiedziałbym, co kochać w życiu, do czego dążyć, gdyby nie pani, gdyby nie Ty...

I głosy ich zharmonizowane cicho, myśli dopełniające się cudownie tonęły w bezmiarach wiosennej zieleni, wiosennego oczekiwania.

A pan Józef spoglądał przez okno, siedząc w fotelu, z dwóch powodów: nie chciał przeszkadzać pilnym rozmowom narzeczonych i — łupało go coś srodze w nogach — reumatyzm, czy artretyzm? — nie wiedział dokładnie, bo leczył się

dotąd tylko doświadczalnie, bez wielkiego zachodu i bez pomocy doktorów. Ale rozkosze wiosny niezupełnie dostępne i widok młodej pary, tak wybornie usposobionej do ich używania — nasuwały myśli trochę rzewne i trochę żałosne, naogół filozoficzne.

— Nie nam już gruchać, jak makolągwy! — myślał pan Józef w liczbie mnogiej dla pociechy, że ma wielu rówieśników co do wieku, kolegów artretyków i w sytuacji ojców wydających córki za mąż.

Czuł w sobie jednak wartką siłę życiową, dla której musiał znaleźć jakieś zadanie. — — Byleby zadanie przyjemne, nie zaś przymusową robotę. — — No, gospodarka rolna, kiedy się darzy, daje zadowolenia: pieniądze (nigdy ich za dużo!) i tę pociechę oglądania coraz bujniejszych plonów, piękniejszych okazów bydła, składniejszego porządku na uszczęśliwionej ziemi. — — Ale cóż z tego? — jeszcze jeden medal nagrodowy z wyobrażeniem byka w prawo, albo w lewo? — — A, przepraszam! dobry przykład i reputacja — stąd pozycja, która się nawet opłaca w życiu codziennym niemałemi słodyczami. — Jednak w zażywaniu słodczy przeszkadzała coraz bardziej pięćdziesiątka, nadciągająca razem z niektórymi defektami cielesnego aparatu. Pozostawałyby więc niezależnie od wieku zadowolenia z pracy nad dobrem ogólnem, z akcji obywatelskiej. — —

Broniecki aż nadał się od namysłu, czy też on rzeczywiście pracuje dla ogółu, czy tylko przez wrodzoną uprzejmość oddaje usługi, pod dobry humor, bliznim sympatycznym, a przez tolerancję lub obojętność nie przeszkadza cudzym robotom — jeżeli nie są wręcz przeciwne jego interesom? — —

— Gdy się szczebioce przed ludźmi o swoich dziełach — odpowiadał sobie — nazywa się to pracą dla ojczyzny; ale żeby się przyznać, jak na spowiedzi — robi się to, co przyjemne, i myśli się o Polsce jak o sławnym nieboszczyku pradziadku — —

Dochodził do wniosku, że wypada zabrać się ostrzej do działań publicznych, nie opuszczając swych prywatnych zabiegów, które też dają wyniki pożyteczne dla ogółu. Nie miał zaś wcale wątpliwości, gdzie i co robić, bo widział wyraźnie naokoło siebie zadania i roboty zbawienne. Tylko wykonywali je zawsze ci sami ludzie, nie tyle wielcy i sławni, jak silni przez znowę i zgodę: potężna Gromada — — Niema co! trzeba wejść w ich szeregi, przestać luzem chodzić i luźne tylko miewać porywy ku dobru ojczyzny.

Wre praca naokoło: w Mielnie, w Niespusze; ten młody... zięć wyrывa się do pracy społecznej. I on zrozumiał, gdzie są najlepsi sprzymierzeńcy do pracy z ludem. Broniecki wiedział to oddawna, tylko mu jakoś nie uśmiechało się iść pod komendę ludzi prostszych, czasem przeciętnych jako jednostki, ale składających armję czynną w narodzie. Bo przecie wszędzie, gdzie się coś na

wsi porządnego poczyną i rośnie, w okolicy i w szerokim kraju — wszędzie to się dzieje za przyczyną lub z udziałem Gromady — —

Narzeczeni powracali ku domowi. Zobaczył ich przez okno pan Józef i ucieszył się, że Manieczka śpieszy do domu, na godzinę szóstą, przeznaczoną na czytanie dzienników ojcu, dzisiaj niedomagającemu. Była właśnie szósta. — Zakochani szli wolno, zwracając ku sobie głowy; widać było po nich, że świat cały jest im tylko ramą spójni osobistej, jedynie dla nich istniejącej. — — Doszli do domu, prawie do otwartego okna, za którym siedział pan Józef — — nie spojrzeli na niego i zawrócili w dalszą przechadzkę.

Nie zawołał, ich Broniecki; przeprowadził oczyma, aż znikli za bukietami drzew.

— Mają słuszość... Jabym uczynił tak samo w ich wieku i na wiosnę — —
—

Późniejszym wieczorem rozśpiewały się słowiki, tęsknie dla ojca, rozkosznie dla dzieci.

XXI.

Dnia 13-go maja obudził się Broniecki przed wschodem słońca. Śnił, że podróżuje przez beznadziejne śniegi Syberji. — — Wzdrygnął się, — Rzeczywiście w pokoju było nadzwyczaj zimno. Bardzo chłodny był już i wieczór wczorajszy, ale dzisiaj — cóż się tam dzieje na dworze, do kroćset...?

Rozsunął firanki od okna i osłupiał. Przetarł oczy niedowierzające, dotknął palcami lodowatej szyby, pomacał się po żebrach i, przekonawszy się wreszcie, że nie śni, patrzył przez okno rozpaczliwie.

Śnieg zimowy, nawalny, przekreślał całą widownię zmienioną do niezapoznania. Dróg i murawy nie widać już było pod śnieżnem zasłaniem, biel ogarnęła niższe krzewy i wszystkie bzy kwitły białą. Dach tylko, nasiąknięty uprzedniem ciepłem, topił na sobie śnieżycę i płakał ciurkiem i z okapu.

Bunt wzbierał w Bronieckim, podczas gdy narzucał pośpiesznie ubranie, aby dom zbudzić i komuś się poskarżyć, kogoś stukać... aby mieć przynajmniej towarzyszy tej niespodziewanej, niesprawiedliwej klęski. Bo przecie żyto już się wykłosiło! I wszystkim stworzeniom boskim należy się nareszcie słońce!

Zadzwoił na kamerdynera Ignacego, który zjawił się dość prędko, całkowicie ubrany, widocznie pierwaj już rozbudzony przez kataklizm przyrody.

— Ogłuchłeś, arcybyku, że nie przychodzisz?!

— Jestem przecie, proszę jaśnie pana — odrzekł urażony kamerdyner.

— Pana Wierzbowskiego i ogrodnika!

— Zawołać? — —

— Nie; powsadzać na dach, żeby śnieg rozdmuchali — — Gawron! — no, ruszaj mi po nich, pókim dobry.

Przeszedł do jadalni, gdzie duże okna, nie zasłonięte, przepuszczały dzień jasny, grobowy. Słońce już wstało za tą nienawistną zamiecią. W pokoju było dużo wazonów z kwiatami, drażniącemi wonią dysharmonijnie, jak wieńce na trumnie. Broniecki przechadzał się, groźnie kłapiąc pantoflami, ziejąc zemstą na żywioł wrogi a bezmyślny, gotując się do jakichś zarządzeń, choć wszystko, co pomyślał, urągało jego bezsilności. — — Aż pociągnięty wdziękiem wiązanki bzu, moknącej w wazonie, zbliżył się do niej i zatopił twarz całą w jedwabistych kiściach.

Drgnął, poczuwszy lekką rękę na ramieniu. Manieczka już wstała i cicho przyszła do ojca. Na kogo innego pewnoby fuknął, ale córkę pocałował w czoło.

— Może jedyny ocalał? — rzekła Mańka, wskazując na bez.

— Pewnie... ale co tam bez, żyto przepadło!

— Ach, zaraz przepadło, tatusiu! Przecie ten śnieg prędko ustanie — jesteśmy w maju.

— Gdzież tam! trzydniówka — widać po niebie i po rozmachu tych djabelskich biczów. — To jest właśnie nasz kochany klimat, o którym miejskie gryzpiórki wywodzą trele. I pracuj tu na roli, bądź mądry!

— Już się i poetom dostało? — próbowała uśmiechnąć się Mańka.

— A pał ich sześć! niech nie lżą!

Spastwił się pan Jozef nad nieobecnymi, przeszedł się nerwowo, a potem mówił gorzko, jakby na złość sobie i córce:

— Miałem ja już w kwietniu złe przeczucia; to się dopiero zaczyna — nieszczęścia zawsze stadami ciągną; jak wrony.

— Tatusiu! nie trzeba tak mówić... — zasępiła się Manieczka, wspominając, że zdarzyły się niedawno wypadki bardzo szczęśliwe, równoważące utratę żyta, a nawet wszystkich plonów.

Weszli do pokoju rządcą Wierzbowski i ogrodnik Broniecki, trochę już ułagodzony i miarkujący, że ubliża jego powadze okazywanie bezsilnego gniewu, wydał jedyny rozkaz rozsądny, który mu przyszedł do głowy:

— Jak tylko śnieg przestanie padać, weźmie ogrodnik nawóz z obory, okopie wszystkie drzewa owocowe i podsypie im obornika. Głęboko na dwanaście cali. Panie Wierzbowski, całą siłę roboczą da pan na to.

Urzędnicy skłonili się, milcząc. Nie wiedział i Broniecki, co dalej poradzić. Można było tylko wypytać o szczegóły klęski.

— Skąd wiatr, panie Wierzbowski?

— Północno-wschodni.

— Tak — zgrzytnął Broniecki — od tej strony przychodzi nam wszystko najlepsze...

Ciągnął się dzień feralny bez żadnej pociechy, bo i Czemski wczoraj wyjechał do Warszawy dla podpisania ostatecznej umowy z Godziemką o sprzedaż Niespuchy; sprawa bardzo chwalebna, ale Manieczka nie miała przy sobie narzeczonego. Żałowała go serdecznie, że marznie gdzieś na drogach, ale może lepiej, że go niema w Sławoszewie, bo ojciec taki zły dzisiaj! gotowiby jeszcze się pokłócić. A Stefan przyjedzie jutro, gdy już śladu śniegu nie będzie.

Około południa była godzina otuchy: śnieg przestał padać i zaraz ziemia, jak omdlały chory, którego już obleczono śmiertelnym całunem, zaczęła ten całun na sobie rozdzierać. Znikły najprzód śniegi na piasku dróg, zaczęły potem wyzierać z grząd nieszczęsne, obumarłe twarze kwiatów; drzewa i krzaki ociekały kroplistemi sznurami. Ala wiatr lodowaty nie ustawał i po niebie pędził brudne chmury, niewyczerpane.

— Najgorszy właśnie ten przekłęty wiatr — narzekał Broniecki — czego

flaga nie zbiła, to wiatr rozniesie. Pustą słomę kosić będziemy. Co tu zresztą gębę psuć na prelekcję? — wszystko djabli wezmą: zboże owoce, łąki. — Wynieść się tylko z kraju, aby na to nie patrzeć! — —

Zbierała rzeczywiście taka pokusa — od drugiej po południu zacięła znowu śnieżyca, a termometr opadł niżej zera. Zima dzika i sroga ogarnęła krainę, jakby miała nad nią prawo na wiosnę, w maju!

Broniecki sposepniał, zamilkł i szukał zajęcia, któreby go odciągnęło od myśli o rosnącej wciąż klęsce. Manieczka spróbowała czytać ojcu na głos jakąś wesołą książkę, ale pan Józef nie słuchał. Trudno było oderwać oczy od trupio-białego dnia, który wdzierał się przez wszystkie okna. Ucichł gwar życia naokoło dworu; pospała się zapewne służba folwarczna z przymusowej bezczynności; gdy kto czasem przechodził pod oknami, chłop w kożuchu, lub dziewczyna podkasana, okryta fartuchem, widać było, jak nawalił kopny śnieg, powyżej kostek. Przekorne wrony łązić zaczęły blisko domu, radując się z powrotu zimy.

Przed wieczorem pan Józef przerwał nagle czytanie:

— Gdzież poczta? jeszcze nie przyszła? Nie było jeszcze; posłaniec miał ciężką dzisiaj drogę, a może, korzystając z tej wymówki, gdzieś posapał. Odtąd czekano niecierpliwie na przybycie poczty — może przyniesie chociaż wytłumaczenie wrogiego zjawiska przyrody w wiadomościach meteorologicznych dzienników — — albo jaką dobrą nowinę na pociechę? — — albo jeszcze gorsze wieści? — —

O zmroku dopiero służący wniósł do pokoju torbę pocztową nawskroś przemokłą, z której Manieczka dobyła parę dzienników, parę listów z reklamami, obojętnych, i jeden list urzędowy od naczelnika powiatu.

Broniecki wziął skwapliwie ten list rosyjski i po pierwszym rzucie oka na nieznamy charakter pisma zawołał:

— A! nowy naczelnik powiatu!... Słyszałem już, że mają naszego usunąć — — niezgorszy był sobie — szkoda.

W miarę czytania obruszył się:

— Co takiego?! wzywa mnie do siebie! — Cóż to za nowe mody? — A nie łaska „jego wysokorodja” do mnie przydryndać się z respektem?...

Czytając dalej, Broniecki zmienił wyraz twarzy; już nie zły humor, lecz zaciętość skurczyła mu rysy, rozświeciła oczy. Doczytał uważnie, ze złowrogim spokojem.

— Wyobraź sobie, Maniuś! — — Wzywa mnie, abym się wytłumaczył, na jakiej zasadzie, zwołałem w przeszłym roku w lipcu zebranie „różnych stanów” dla uchwalenia budowy domu gminnego w Mielnie, który dotychczas nie został przez władzę zatwierdzony!

— To jeszcze tatusia mogą wpakować do kozy, jak pana Stefana! — zawołała żałośnie Manieczka.

— Niech spróbuje! sam by koziołkiem wyleciał z siodła, gdyby się odważył na coś podobnego! Ale widzę z listu, że musiał, bestja, wstrzymać roboty w Mielnie... No, dzisiaj już zapóźno — dowiemy się jutro. — — Przeczytaj-no, Maniuś, gazetę — —

— Jakiś duży artykuł o naszej kolei... czy mam czytać? —

— Właśnie, właśnie! bardzo ważna sprawa.

Dowiedzieli się z artykułu, że skup kolei przez rząd jest postanowiony.

— A, ładna nowina! — zawołał Broniecki — tysiące rodzin polskich na bruk wyrzucone! — — Cóż dalej? — w telegramach z Petersburga?

W telegramach były echa beznadziejnego szamotania się garstki posłów polskich w Izbie państwowej z zażartami na „inorodców“ projektami prawicy rosyjskiej; szmermele bujnej wymowy za sprawiedliwością i ślepe uderzenia przeważnej siły.

— Mówiłem wtrącił Broniecki — nieszczęścia wałą się kupą, a wszystkie stamtąd, od północno-wschodu.

Ale już nie kłął, ani narzekał hałaśliwie, jak przeciw dopustom żywiołowym, wobec których nie było innej obrony. Od wrogiej mocy ludzkiej można się obronić. — — Można, ale jak ciężko, gdy ta moc prześladowcza jest codzienną atmosferą, prawem! Praca społeczna, rozwój, postęp — wszystko, w czym inne narody zakładają swą chlubę — dla Polaka jest buntem i katorgą. Żeby przynajmniej ta krwawa praca przynosiła normalne i trwałe owoce. Gdzież tam! Całej siły rąk, całego dnia potrzeba na wykonanie zadań, które w innych krajach szczęśliwszych są dziełem godziny i lekkiego wysiłku. — — Ani czasu na spoczynek, ani na smakowanie słodczy życia — ani wewnętrznego zadowolenia z wyników. Wszystkie nasze poczynania dla dobra i sławy własnego narodu są nam poczytane za zbrodnie; prześladowani jesteśmy i karani za nasze cnoty obywatelskie; dzieła nasze ścigane są i niweczone za tkwiący w nich grzech pierworodny: krajowy pożytek. — — Jaki wielki naród był kiedykolwiek na takie losy skazany? I gdzie Bóg na niebie?!

Noc przyszła rozpaczliwa, bezsenna, chłostana ciągle przez baty śnieżycy.

Nazajutrz rano śnieg ustał, ale o południu przyjechał Czemski wśród powracającej zawiei. Był już taki nasyp śniegu na ziemi, że stracono poczucie pory roku i zaczęto przywykać do wiekuistej zimy. Zagłada posiewów zdawała się faktem dokonanym.

Nie było nad czym długo się rozwodzić; Bronieccy i Czemski, po przywitaniu, pokiwali tylko smutno głowami, jak ludzie w żałobie. Od przybywającego ze stolicy oczekiwano wyjaśnienia groźnych wieści

publicznych. Ale Stefan przywiózł szczegóły jeszcze obciążające; nowe zarządzenia i projekty petersburskie nie liczyły się z elementarnymi potrzebami Królestwa, pomyślane były jak na przekorę interesom i pragnieniom jego mieszkańców, A klęski miejscowe były tamtej burzy centralnej niby ostatnią falą, najdotkliwszą, tą, która godziła bezpośrednio w obywatelskie zamiary gminy i jej gorliwych przywódców. Broniecki pośpieszył z zawiadomieniem Czemskiego:

— A tu mi nowy naczelnik, jakiś z piekła rodem, robi awanturę o przeszłoroczne zebranie u mnie w sprawie domu ludowego w Mielnie. I budowę, zdaje się, wstrzymał.

— Tak — potwierdził Stefan — powiedzano mi na wstępie w Niespusze, że przyszedł z powiatu rozkaz przerwania robót. I nasza szkoła ludowa zachwiana.

— Co znowu?! nie sprzedałeś Niespuchy Godziembie?

— Owszem, sprzedałem, To uparty człowiek ten Godzieba! Tylko przyszło z ministerjum wyjaśnienie, że język wykładowy w szkole projektowanego przez nas typu ma być rosyjski. Więc musimy się zredukować do kursów rolniczych kilkumiesięcznych, które wolno wykładać po polsku.

— Doskonale! — zawołał gorzko Broniecki — to niby wszystko niemożliwe, za co się wziąć w tym kraju!

Spojrzał gniewnie przez okno:

— A śnieg przywala jak na śmierć! — —

Powrócono do klęski najbliższej dotykającej skóry:

— Pewno pan futra nie wziął na tę podróż? — zapytała Manieczka Stefana.

— Nie wziąłem rzeczywiście. Któż mógł się spodziewać takiej pogody?

— No, to katar pewny — trysnął pan Józef niedobitym humorem. — Jak mi teraz kichniesz, Maniuś, będę wiedział, skąd to pochodzi — o!

— Ach, tatusiu! jak można żartować na te ciężkie czasy? — odparła, rumieniąc się, Manieczka.

— Jedyne, co nam pozostaje: pilnować swego nosa — dokończył żart Broniecki.

Ale Czemski osłonił zakłopotanie przez powrót do spraw publicznych:

— A jabym sądził, że nam co innego pozostaje: robota na własną odpowiedzialność. Zacząłem wierzyć w możliwość jakiejś pracy legalnej. Na nic!

— Wyrывasz się znowu do ciupy, Stefeczku! — rzekł pan Józef, mrużąc oczy badawczo.

Stefan odpowiedział zawzięcie i z zapałem:

— To trudno! Nie można ciągle wegetować, albo żyć, jak... no, jak Żyd, dla samych korzyści pieniężnych. Zwiąż mnie, albo nawet sprzątną na dobre —

pozostaną miliony, gotowe na to samo. Całego wielkiego narodu nie zwiążą!

— Gdzie ty widzisz ten wielki naród, mój drogi? Jest nas kilku w okolicy, którzy się ruszamy, w kraju — kilkuset. Reszta? — albo śpi, jak za króla Sasa, albo w najlepszym razie robi pieniądze.

— A nie! przepraszam! — zaprotestował Czernski — to pan mówi o sferze najbogatszej — już o stowarzyszeniach średnich i drobnych ziemian trudno to powiedzieć. A miasta? — przedewszystkiem Warszawa? — A lud wiejski?! Powie mi pan, że właśnie tego ludu miliony śpią, a kilkuset się rusza? Ale kto się ocknie i powstanie z ludu, jest odrazu Polakiem najlepszego, twardego gatunku. Dlatego to wspaniała i pyszna dla nas robota — lud budzić! Gdy właścianie wszyscy zrozumieją, co znaczy być obywatelem, w tedy naszą sprawę oprzemy na epocę!

— Racja, Stefeczku — daj gęby. — — Ale manewrujemy tymczasem tak, aby tych wszystkich, którzy lud budzą, którzy myślą, jak ty — nie wyłapano i pod klucz nie zamknięto, bo jak, zabraknie chłopyszków ochoczych, cała robota w łeb weźmie. A chłopyszek ma na wolnym powietrzu inne też chwalebne interesy. Ty, na przykład, Stefeczku, żenisz się — —

— O, ja pójdę z nim do więzienia — wtrąciła Mańka głosem tak stanowczym, jakby już pora była wybierać się.

— Moja pani najdroższa! — odrzekł szybko Stefan, przyciskając do ust obie ręce narzeczonej.

— Poczekajcie! to zabierzcie i mnie razem, bo jakżebym ja bez was tu wytrzymał? — dodał pan Józef jowialnie.

Tak się pocieszali, na krótko, bo co kto spojrzał przez okna, mroziła mu humor niesłabnąca, tragiczna śnieżycy.

Nagle zawołała Mańka:

— Ktoś jedzie! Przed gankiem zabręczą uprzęż pocztową, za którą cicho przesunęły sanie.

— Prawda, zapomniałem! — rzekł Stefan — Godziemba wybierał się tu następnym pociągami. A że u mnie ani miejsca, ani służby, miał przyjechać pocztą do Sławoszewa.

— Dlaczegoż nie mówiłeś?! — zawołał Broniecki i, uradowany, podążył do sieni.

Ogromny Godziemba, cały ubielony, na szubie, na czapce, na wąsach, wnosił do dworu mróz, ale i otuchę, że można ten mróz opanować, przez śniegi dojechać i nie pozbyć energii.

— Przyjechałem na majówkę... — mówił, zrzucając szubę.

A potem, otarłszy chustką twarz i rycerskie wąsy, przemówił z nawyknięcia parlamentarnie:

— Zdaje się, że trafię w myśl wszystkich tu obecnych, serdecznie życząc szczęścia zaręczonej parze.

I ucałował mężczyzn w policzki, a Manieczkę w rękę.

— Zawsze wersalczyk! — odrzekł Broniecki nie bez cienia dobrodusznej ironji. — Lampeczkę gohy, panie Jerzy? na zagrzanie gospodarza?...

— Herbata lepiej to uskuteczni — —

— To, to, to — herbata! Niech cię nie znam, panie Jerzy! Chyba z rumem?

— Jak tam każecie.

Godziemba zwrócił się do Czemskiego:

— A my, panie Stefanie, będziemy zaraz mieli robotę w Niespusze. Telegrafowałem do Wintera; jutro przyjedzie.

— Bardzo dobrze — odrzekł Czemski.

— Jaka tam po śniegu robota! — wmieszał się Broniecki. — Dostaniecie tylko kataru, albo gorszego licha i położycie do łóżek trzech mężów ojczyźnie potrzebnych — o! — A szkołę i tak już djabli wzięli —

— Urwali, ale nie wzięli — poprawił Godziemba — z reszty się znowu złoży. Cała nasza sztuka, panie Józefie, to budować z resztek, które mamy jeszcze w ręku,

— Pięknie — — tymczasem proszą nas do stołu.

W jadalni zaraz wyładowano wszystko, co kto wiedział o sprawach krajowych i miejscowych, samych klęskach.

— Cóż na to powiadasz, panie Jerzy? — zapytał Broniecki.

— Ha! uczą nas niecierpliwości... A my ich nauczmy, że nas złapać niepodobna. W pojedynkęby nas zmagli, bo siła osobnika jest ograniczona, ale przeciw gromadzie jednomyślnej nie poradzą. Trzeba być w gromadzie, panie Józefie — — i panie Stefanie.

— Tak — odpowiedział Czemski — co do umówionych działań publicznych. Ale akcja ogólna, myśl całego narodu nie może być biurokratyczna. Składa się z wolnych pomysłów i dążeń indywidualnych.

— Mogłoby tak być w jakimś wymarzonem społeczeństwie. Ale w naszym? — — Nas gnębi zorganizowany system, trzeba się bronić zapomocą innego zorganizowanego systemu.

— Dobrze to mówić! — rzekł gorzko Broniecki — ale organizuj tu, gdy ci z pod ręki wyrrywają robotę. Tak samo, jakbyś chciał siać w tę śnieżycę.

— Wiosna przemoże, nie dziś, to jutro — rzekł Godziemba.

— I pękną więzy — dodał Czemski.

— Bodajby! bodajby! — żyli sobie wszyscy.

— A cóż o wojnie, panie Jerzy? — będzie?

— Kto wie?... J a tymczasem robię wszystko tak, jakbym się jej nie

spodziewał.

Umilkli trochę, rozważając.

XXII.

Tegoż dnia, drugiego klęski, przed południem, w chacie Rykonia było jakoby posiedzenie żałobne. Przyszedł Workowski i Selwestrowicz, w części dla gawędy o spadających na wieś nieszczęściach, w części dla nawiedzenia Jana, który siedział na ławie, a nogę prawą miał obwiązaną i wyciągniętą na zydlu. W zeszły poniedziałek, przy budowie domu, belka osunęła się, uderzyła i zraniła Rykonowi kolano; dobrze jeszcze, że mu nogi nie przetrąciła. Zrazu mały czuł ból, ale potem kolano spuchło, matka i felczer ze Sławoszewa zaczęli Jana leczyć, może też i nagłe niezwykle ochłodzenie powietrza pogorszyło stan zapalny. Podrwiwał sobie Rykoń z tego niedomagania i wogóle był dzisiaj dziwnie żartobliwego humoru, jakby lekce sobie ważył wszystko, co dni ostatnie na niego i na wieś zwały.

— W porę mi to przyszło — odpowiadał na zapytania sąsiadów o zdrowie — kiedy pan Naczelnik z panią Śnieżycą zmówili się, żeby nam strajk od roboty przy domu nakazać. Dobrana z nich para!

Nikt żartu nie podtrzymał, nikt się nawet nie uśmiechnął; poruszone niedole paliły wszystkich zbyt boleśnie. Stara Pawłowa troszczyła się przedewszystkiem o zdrowie syna:

— Mówiłam odrazu: nic, tylko otuliłbyś się ciepło i do doktora, do Łowicza, pojechał. Pamiętasz, Jasieńku, jaką ci to maść cudowną dał tamtego roku na stłuczenie?

— Cobym nie miał pamiętać? dobra była.

— Na taką szarugę, jak wczoraj tobyś nie mógł jechać; ano dzisiaj od rana trochę ustało, może da Pan Jezus już uspokojenie? — —

Rykoń pokręcił głową, spoglądając przez okno:

— Chmurzyska jeszcze paskudne i wiatr ten sam; znowu padać będzie — —

— Dalibyście już pokój, Janie, z tem krakaniem na nieszczęście, mruknął Workowski.

— Ja kraczę?! — zawołał Jan niecierpliwie, jakby go nosiła gorączka. — To wy po wsi łazicie i na pola pozieracie, kiej te wrony! Ja wiem, że złe minie, uskubnie nas krzynkę, ale nie zmoże. Nie zginiemy.

— Toć wiadomo, że śnieg bez całą wiosnę padał nie będzie — rzekł Selwestrowicz — ale jakże dom budować będziecie przeciw zakazowi pana naczelnika?

— A będę! — rzekł Rykoń uparcie.

— Składkę skąd tu dawać, kiej wszystko przepada? — dodał Workowski,

powodząc tragicznie ręką przez oba okna, za którymi zalegało śnieżne spustoszenie.

— Nie dacie? to się bez was obejść! — rzekł Jan gwałtownie.

— Chyba żeście do nas, na gubernatora nastali? — wtrącił Workowski ironicznie.

Pomiarkował się Rykoń, że za dużo powiedział, więcej, niż sam wie. Jak to będzie? — jeszcze nie wykalkulował, miał tylko niezłomne przekonanie, że mozolne dzieło gminne musi doprowadzić do końca. W odpowiedzi sąsiadom trochę zrejterował:

— Wszyscy my sobie gubernatory, którzy dobro pospólne rozumiemy. Na składkę zrobiliśmy uchwałę — święty nasz obowiązek płacić.

— I na co, kiej budować nie pozwalają? — ostro zapytał Workowski.

— Naczelnik nie ma mocy przeciw gminnej uchwale. Zatrzymał budowanie — stanęliśmy, ba i ta psia pogoda przeszkodziła. Ale kazać zmarnować tylą robotę nie ma mocy.

— Pytał się was będzie?

— Jensi nim potrzachną. A my to pluć w kaszę sobie pozwolimy?

— Pewno, że nie — rzekł Workowski odruchowo, przez butę, choć niezupełnie przekonany.

Tymczasem na przekorę dzielnej otusze Rykonia batogi śnieżne znowu zacięły w spocone szyby okien.

— Jezus, Marja! — zawołała Pawłowa — a toć już pokaranie za cudze, nie nasze winy!

Posępność ogarnęła izbę zamroczoną. Nie było już o czym radzić. Sąsiedzi chcieli się pożegnać, ale próbowali jeszcze przeczekać śnieżycę. Długo milczeli wszyscy, podpierając dłońmi zasępione czoła, albo krzyżując ramiona z rezygnacją.

— A cóż to Magdalena dzisiaj nie przyszła? — zapytał Rykoń matki.

— Nie przyszła — odrzekła stara głosem miękkim i rozżalonym — porzuciła węlniak, cośmy go wczoraj zaczęły.

— Olczakówna? — zapytał Workowski.

— A juści nie inna — nawet że obiecała.

Magdusia wkradła się była już w łaski Pawłowej przez słodkie pochlebianie, tęgą pomoc w robotach, a zwłaszcza przez niezwykłą zdolność do tkactwa, które było namiętnością starej. Przychodziła też codziennie do Rykoniów.

— Magda, skoro świt, zabrała się ze Stańczakami do Łowicza — objaśnił Workowski.

— To jakże wróci, kiedy Stańczakowie tu nie wracają? — zapytał Rykoń.

— Mówiła, że na południe będzie z powrotem.

— Zachciało jej się też na taki czas! — troskliwie zawołała Pawłowa.

— Nie padało nic o wschodzie słońca — tłumaczył obojętnie Workowski.

Zato teraz smagał śnieg od wschodu na zachód niemiłosiernie; ruchoma ściana zawiei, zaledwie przezroczysta, spodem oparta o niepokalaną bieliznę ziemi, szczytem tonąca w męcie chmurnym, zasuwiała krainę mrozem i zniszczeniem, a choć już doszła i przeszła, trwała ciągle w swym zaborze, w nieprzejrzanej grubości, ścisnęła ze wszech stron, gnębiła z góry, ścinała lodem lży ludzkie i słabszym sercom dawała przedsmak śmierci.

Pora była na obiad; rozeszli się sąsiedzi każdy do swego ogniska.

Dopiero teraz Rykoć, gdy sam pozostał z matką, poskarżył się:

— Oj, źle matulu — —

Pawłowa spojrzała w świecące oczy syna i na jego policzki zaognione:

— Gorąc cię zmagą; legnij se w pościeli, Jasieńku.

— Nie legnę; żebym się położył, tobym na dobre zachorował. Co mi tam noga! — fraszka. To mniej boli, niż zła dola pospóła.

— Może Pan Jezus i ta Matka Częstochowska nagrodzą choć na jarzynie? — pocieszyła syna ciałniej patrzącą Pawłowa.

— Taka nasza wiosna, takie i życie! — westchnął krótko Rykoć.

I wiedząc, że w sercu matczynem znajdzie odgłos tylko fizycznego bólu, zamilkł. Potem dał sobie odnowić zioła na spuchniętem kolanie i przewiązać.

Zjadł niewiele na obiad — miał się zabrać do czytania wczorajszych dzienników — gdy nagle błysło mu w oczach i zapytał niespokojnie:

— Powiedzcie-no, matka, niech Fudała skoczy do Workowskich i zobaczy, czy Magdusia wróciła z Łowicza!

— Bo i prawda — ucieszyła się Pawłowa — zawołaćby ją do nas, zarazby choć młode gadanie rozległo się w chałupie.

Do Workowskich było od Rykoniów nie więcej, jak pięćset kroków, ale Fudała, rad z rozrywki w dniu ponurym i beczynnym, powrócił dopiero za godzinę.

— Gdzieżeś się podział i co tam? — zapytał Jan niecierpliwie.

— Dowiedziałem się o wszystkim sumiennie. Magda zabrała się ze Stańczakami o świcie. Nie ma kozucha, to się w wełniaki owinęła potrójnie. Miała se najać furmankę na powrót z Łowicza, a wzięła z sobą grosiwo, bo po sprawunek do miasta pojechała.

— Mówiła, że powróci na południe?

— Mówiła, że jeszcze jej niema; na drodze buchanina okrutna, Rykoć wyliczył, że jednak od świtu, który w maju jest wczesny, upłynęło już dziewięć godzin. Dwoma podwodami można było powrócić z Łowicza, choćby stępa jechać całą drogę. Wstał z ławy, prawą nogę rozprostował i, choć syknął

odruchowo, przeszedł izbę nie kulejąc.

— Matka! — rzekł — zaprzęę do sanek i wyjadę na drogę do miasta. Może się na taki czas dziewczucha zmarnować.

— W imię Ojca i Syna! — zawołała Pawłowa — gdzież takiemu gospodarzowi?... i jeszcze z chorą nogą? — —

Rzeczy niecodzienne wydawały się starej niemożliwemi, a nawet zdrożnemi.

— Nic mi nie będzie — przekładał Jan — a nawet tak siedzieć w izbie najgorzej: krew się nie rucha i gęstnieje w kolanie. A dla ludzkiego stworzenia, i dobrego, można zarezykować. Już ona dla ninie także...

Nie domówił, lecz rażna ochota, z którą się zabrał do przyodziewku, mówiła za niego. Tkliwa, a uparta miłość dziewczyny, jej poświęcenie i uczciwe zabiegi wzruszały coraz mocniej jego serce, kamienne tylko przez rozkaz nieubłaganej woli. I matka lubiła już piękną, przymilną i sprawną Magdusię. Teraz zaś wiedziała, że gdy Jan coś postanowił, darmo go od zamiaru odwodzić.

— Weź chociaż drugi kozuch — rzekła, zniewolona — będzie ci na nogi, abo i dla niej?..!

— O! dobra rada, matczyzna! — odpowiedział Jan wesoło.

W całkowitej zimowej odzieży wyruszył sankami, zaprzężonemi w najlepszego konia.

— To ci cholera! — zaklął, oślepiiony blaskiem ziemi i ostrym nawiewem śniegu w oczy.

Mijał chaty zamknięte, bezbarwne, uszczuplone od spodu przez zaspy. Na drodze nie było żywego stworzenia. Może go tam przez zamglone szyby wypatrzyły czyjeś oczy i poznały, ale on nie dojrzał nikogo. Jechał, jak widmo, przez cmentarne Mielno..

Koń wyrывał jednak szybko po szosie zaśnieżonej, bez kolei. Musieli i Stańczakowie z Magdusią jechać sporo, zwłaszcza, że rano śnieg nie padał; tem dziwniejsze, że Olczakówni niema jeszcze z powrotem. — Gdy jednak sanki zjechały z szosy na zwykłą polską drogę, jazda stała się uciążliwszą; drogę znaczyły wprawdzie tu i owdzie drzewa, ale nasyp był miejscami bardzo kopny, choć puszysty; miejscami znów śnieg tajał od spodu, od ziemi nie zamarzniętej, i koń wyrzucał zpod kopyt brudne tryski rzadkiego błota.

Najgorzej będzie przed Mastkami, gdzie droga jest mylna i nieobsadzona — przewidywał Rykoń. — Ale gdzież Magdusia? — przecie droga jedna, nikt inną nie jeździ. — Czy wypadnie dojechać aż do Łowicza?

Oswoił się trochę z zawieją, wypatrywał pilnie na drodze, a nawet po bokach; dostrzegał przez zamęt powietrzny drzewa i domy dosyć oddalone, bystremi oczyma, które niejedną już widziały śnieżycę w polu. Ujechał około mili i nikogo nie spotkał pieszego, ani na kołach; nikomu się nie chciało wyjedźdzać

na taką pogodę. Tylko ci dwoje, Jan i Magda, dążyli ku sobie przez niezmierne, wrogie zamiecie. — Mogła ona być w Łowiczu i czekać na łaskawsze niebo, — Ale Jan miał pewne przeczucie, że ona dąży do niego, myśli o nim, a nawet potrzebuje pomocy. — —

Zatrzymał konia. — Tutaj droga gubiła się w płaszczyźnie białej, jak zimowe jezioro, niczem nie naznaczonej. A jednak tędy szła napewno, w wiadomym kierunku, możliwem do odnalezienia dlatego, że wiatr nie kręcił, lecz dął równo, z północo-wschodu. Wiedział Rykoń, gdzie jechać, wiedział i koń — ale czy równie dobrze pokieruje się Magda, jeżeli jest w pobliżu? — — Jan postanowił trochę na nią zaczekać. —

Przy wielkiem napięciu woli, zdążającej do wyraźnego fizycznego celu, budzą się w człowieku rozpięchłe w nim kiedyindziej władze przeczuc i odruchów instynktowych, te, które są rozumem zwierząt. Rykoń też nie myślał ani o swych biedach, ani o klęskach ogólnych, o niczem innem, jak tylko o znalezieniu Magdy. I wiedział już napewno, że ona jest w pobliżu. Gdyby go kto zapytał, dlaczego tak sądzi, zacząłby myśleć, a przeto wątpić; teraz czuł tylko, przeto wierzył.

O kilkadziesiąt kroków na prawo od kierunku drogi, wytkniętego w wyobraźni Rykonia, zaczęło się coś ruszać na granicy między bielą ziemi a mętem zamieci — coś małego, szarego, niby grudka roli nie całkiem ośnieżona, oderwana, zmagająca się z przemocą wichury. — — Bliżej kłębek, ten zabarwił się, zapstrokał. — —

— Heta! — krzyknął Rykoń, zdzierając konia naprawo, i cwałem puścił sanki ku brodzącej przez, pole żywej istocie.

Była to Magda.

Ujrzawszy rozpedzone sanki, stanęła, chciała zawołać ale pierwszej usłyszała wołanie:

— Magdusiu! to ja, Rykoń! poczekajcie! zabierę — —

Cud oczywisty stanął przed oczyma zmordowanej dziewczyny, otworzyła usta nieme, rozkrzyżowała ramiona, zachwiała się i upadła, jak podcięty kwiat, na obrus śnieżny.

Rykoń wyskoczył z sań na lewą nogę, nie puszczając lejców, chwycił Magdusię oburącz, lekko podniósł i położył na sanki. Leżała martwa, blada na twarzy, jak te śniegi, otulona w kwieciste wełniaki. Cucił ją Jan potrząsaniem i tarciami śniegu po skroniach — niedługo. Otworzyła oczy, mrugnęła kilka razy i zbudziła się do życia rozmiłowanym uśmiechem.

— O rety! jakżeście mnie nastraszyli, Jasieńku — — —

— Kładź kozuch, mam tu drugi dla ciebie — mówił Jan szorstko, ale głosem od szczęśliwego wzruszenia nabrzmiiałym.

— Tak mi ciepło, jak w puchu — odrzekła Magda, tuląc się do ukochanego, a patrząc mu już żywym ogniem w oczy.

— Kładź, kiedy ci mówię. Kawał drogi do domu, zgrzałaś się, mogłoby cię co złego chwycić.

Posłusznie odziała wielki męski kozuch, przepadła w nim ze swemi barwnemi obsłonkami, tylko główka nakryta zapaską, jak pęk kraśny, wyglądała z baranich kudłów kołnierza. Jan nawrócił konia na świeży ślad, jeszcze niezupełnie zasypany, parsknął koń, zrozumiałwszy zamiar powrotu do domu — pomknęli.

— Toście po mnie wyjechali, Jasieńku? — zapytała Magda zalotnie, ale i trwożliwie, bo bała się omylić.

— A cóż miałem wam dać zmarznąć? — odrzekł Rykoń wesoło — szkoda byłoby dziewczuchy; — a że niemądra, trzeba się nią opiekować, jak dzieckiem. Kto słyszał na pieczę puszczać się w zawieję?!

— Nie chcieli jechać z Łowicza! — tłumaczyła gorąco Olczakówna. — Jeden mnie dowiózł na kołach do Mastek, bo miał interes. Rubla ze mnie wziął. Ale dalej ani rusz, nikt jechać nie chciał — a trafić przecie musiałam dzisiaj do Mielna — —

Nagle przypomniała sobie.

— A jakżeż to? przecie wy na nogę chorzy — i wyjechaliście?!

— Już wyzdrowiałem.

— Tak prędko! — rzekła Magda, jakby zmartwiona. — To ja na próżno wybrałam się do Łowicza. — —

— Niby dlaczego?

— Ano... chciałam przywieźć wam tej maści! na stłuczenie od doktora.

— Kto ci kazał?... — zaczął Rykoń, ale głos mu załkał i urwał się.

Puścił lejce, koń przyśpieszył kroku po znajomej drodze między topolami.

A Olczakówna, pewna już, że jej biedna dola zmienia się na szczęście, łąsiła się do Jana kuszącymi słowami:

— I mam ten słoiczek, tutaj go włożyłam — sięgnęła od szyi za stanik — tylko mi ręce zgrabiały... Chyba sięgniecie sami? —

Jan patrzył przez chwilę mocno w piękne, dobre, poddane oczy Magdusi i wyczytywał w nich wreszcie wspólny swój z nią los:

— Niechta już będzie, Magdusiu; jak ma być — — daj gęby słodziutkiej — —

Oj, nie broniła jej Magda, nie!

Dopiero gdy Jan od ust jej oderwał usta, a ramieniem potężnem jeszcze ją obejmował, miażdżąc kozuch i wełniak około kibici, dziewczyna zapłakała:

— Tyli czas! tyli czas mnie nie chciałeś, Jasieńku!...

— Bo jeszcze nie była nadeszła pora. Tera chociaż przyszła najgorsza,

człowiek zrobił, co tylko mógł — — z Panem Bogiem spierał się nie będę, Jedno wziął, drugiego nie dopuścił, ale ciebie mi dał, widać, Magduś, boś jest i czująca mnie i rozumiejąca lepiej, niż inne kobiety, a żoną mi będziesz pomocną na dolę i niedolę. — — Dobraś do roboty, do kochania jedyna; syny mi będziesz rodziła na tę lepszą przyszłość, która przyjdzie, bo się nam od Pana Boga należy. — — I my jeszcze nie starzy — dożyjemy.

Słuchała Magdusia, jak wyroków, jak organów kościelnych. Łowiła usta ukochanego, kiedy chciał, a kiedy je umykał, całowała go po rękach. Ciepło było obojgu, ani tej śnieżycy widzieli przed sobą, ani czuli; topniała na ich ustach gorących. Maj się przedzierał z ich serc na okolicę, moc czuli w sobie, przemieniającą wszystkie niedole na szczęście i nadzieję, — moc ziemi, której nic nie wstrzyma od wydania kwiatu i plonu, moc serc, których klęska nie zwycięża, lecz je opancerza.

Nie pilno im było do domu w tej podróży, dla innych nieznośnej, dla nich ślubnej i błogosławionej.

W oddaleniu dwóch wiorst od Mielna ujrzeli na niebie dobre znaki. Śnieżycą zrzędlą i omdlałą w swej sile chłoszczącej. Na zachodzie ciężka pokrywa chmur uchyliła się od ziemi, odsłaniając pas żółtego mętu, który powoli nasiąkał coraz ognistszą łuną. Na jej tle występowała wieś ogromna, uszykowana w klamrę, najeżona topolami, prowadząc niby za sobą upał letni przeciw wrogiej, najeźdniczej ze wschodu zamieci. Czuć było nawet przez śniegi, potężny wiew powracającej wiosny, słyhać jakby daleki marsz triumfalny.

— Pośwituje na zachód — rzekł Rykoń — i wiatr się zmienia: w nocy to paskudztwo precz sobie od nas odleci.

— Pora, bo pora! — odetchnęła Magda pełną piersią.

KONIEC.